

PAULINA PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1969

Mark Adams - B.

BIUROKRACJA TOTALNA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 179

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

PAULINA PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1969

WSTĘP

„NAJBARDZIEJ RACJONALNY SPOSÓB SPRAWOWANIA KONTROLI NAD LUDŹMI” — tak przed kilkudziesięciu laty określił biurokrację socjolog Max Weber, dodając że jest to sposób oparty na naukowych podstawach i absolutnie nieodzowny dla masowej administracji we współczesnym świecie.

Cele organizacji biurokratycznej mogą być różne: eksport piwa i nawracanie na jedyną prawdziwą wiarę, nakarmienie głodnego kraju albo zniszczenie go w wojnie, przewożenie i doręczanie listów albo posyłanie ludzi do gazu. Zdobycie i utrzymanie władzy.

Zasady działania są te same. Oto kilka najważniejszych:

— Podział kompetencji; każde ogniwo organizacji wykonuje czynności wynikające z systematycznego podziału pracy, posiada władzę niezbędną do ich wykonania i dysponuje niezbędnymi środkami przymusu które może stosować w określonych warunkach.

— Hierarchia; każde niższe ogniwo i każdy członek personelu organizacji znajduje się pod kontrolą i nadzorem ogniwa wyższego, personel podlega ścisłej i systematycznej kontroli i dyscyplinie.

— Działanie organizacji jest kontrolowane przy pomocy przepisów narzucających bezosobowe stosunki między ludźmi oraz przy pomocy centralizacji decyzji.

Weber był zdania, że system działania zbiorowego spełniający między innymi te warunki jest najbardziej racjonalnym ze sposobów sprawowania imperatywnej kontroli nad jednostkami ludzkimi, opartym na naukowych podstawach i że z jednakową łatwością daje się zastosować do wszelkich zadań administracyjnych w różnych dziedzinach, jest zdolny do osiągnięcia najwyższego stopnia sprawności, przewyższa wszystkie inne formy pod względem precyzji, stałości, ścisłości, dyscypliny i stopnia niezawodności; w szczególnie wysokim stopniu zapewnia możliwość przewidywania wyników i pozwala na prowadzenie operacji na wielką skalę. Rozwój nowoczesnych form organizacji zrzeszonych grup jest równoznaczny z rozwojem i stałym rozszerzaniem się biurokratycznej administracji, która jest najważniejszym, kluczowym zjawiskiem we współczesnym społeczeństwie. Co więcej, Weber uważa, że dla celów masowej współczesnej administracji biurokracja jest *n i e z b ę d n a*.

Spora część istotnych poglądów Webera została potwierdzona w następnych dziesięcioleciach. Życie przynosiło i nadal przynosi coraz większy rozwój organizacji formalnych o cechach weberowskiego systemu biurokratycznego.

W miarę rozwoju teorii biurokracji narastała krytyka Webera, między innymi zarzucano mu zbyt słabe oparcie się na danych empirycznych, ale kolejni krytycy wprowadzali do studiów nad biurokracją nowe punkty widzenia, odkrywali nowe zagadnienia, raczej uzupełniając Webera niż przekreślając jego sformułowania. Najnowszy badacze często przyjmują za punkt wyjścia jego klasyczne ujęcia.

Bardzo wcześnie jednak dostrzeżono że tak skuteczne, sprawne i potężne narzędzie jakim jest organizacja biurokratyczna kryje w sobie pewne niebezpieczeństwa. Już Weber rozwodząc się nad doskonałością i niezbędnością biurokracji rzuca mimochodem parę uwag świadczących że dostrzegał też inne jej aspekty. Jednym z nich jest

problem biurokratycznego monopolu, który Weber szkicuje tylko, stwierdzając, że wydostanie się spod wpływu istniejącego aparatu biurokratycznego możliwe jest normalnie tylko poprzez stworzenie własnej organizacji, która z kolei również ulega procesowi biurokratyzacji. Wspominając krótko o bardziej ogólnych społecznych następstwach biurokratycznej kontroli Weber mówił o tendencji do tworzenia się plutokracji oraz o panowaniu ducha formalistycznej bezosobowości. W dalszym ciągu rozwoju teorii biurokracji zjawiska te przesuną się w centrum zainteresowania.

Klasyczne prace Webera interesowały się niemal wyłącznie funkcjonalnym aspektem organizacji biurokratycznej. Późniejsi autorzy wydobywali na światło dzienne coraz to nowe aspekty dysfunkcjonalne. Podstawę dla tego nowego, krytycznego punktu widzenia dał Merton, stosując do zagadnień biurokracji swoją metodę analizy funkcjonalnej. Opisany przez niego mechanizm przemieszczenia celów jest jednym z podstawowych dysfunkcjonalnych mechanizmów biurokracji, odbijającym się na wszystkich jej układach odniesienia: na personelu organizacji biurokratycznej, na jej klientach i na szerszej społeczności państwowej, w której działa biurokracja.

Sprawną biurokracja wymaga niezawodnych reakcji personelu i ścisłego podporządkowania się przepisom. Merton stwierdza że skuteczność społecznej struktury zależy w ostatecznym rachunku od przyjęcia przez uczestników grupy odpowiednich postaw i wytworzenia w nich odpowiednich uczuć. Często się zdarza że te uczucia i te postawy są intensywniejsze, głębsze i mocniejsze niżby to wynikało z technicznej potrzeby. Ten właśnie nacisk prowadzi do *przeniesienia uczuć z celów organizacji na określone szczegóły zachowania narzucone przez przepisy*. Dokonuje się w ten sposób proces przemieszczenia, przesunięcia się celów, w wyniku którego wartość instrumen-

talna, na przykład dyscyplina, zgodność działania z przepisami, staje się dla członka organizacji wartością bezpośrednią, samą w sobie. Przepisy stają się wartością absolutną, przestaje się je traktować w odniesieniu do celów. Te same elementy które pozwalają zwiększyć sprawność organizacji, w poszczególnych przypadkach prowadzą do braku tej sprawności: przepisy które mają zwiększyć prawdopodobieństwo konformistycznego zachowania się personelu prowadzą do przesadnego przejścia się ścisłym podporządkowaniem tym przepisom. Pojawia się rytua l i z m — dążenie do tego aby być przede wszystkim w zgodzie z przepisami.

Następstwem przemieszczenia celów jest też d u c h k a s t o w y. Merton stwierdza, że funkcjonariusze mają poczucie wspólnego losu, dzielą te same interesy, agresja wewnątrz grupy jest mała a układ ten jest pomyślany jako funkcjonalny dla biurokracji. Jednak w takich sytuacjach rozwija się zazwyczaj *esprit de corps* i organizacja nieformalna, co często rodzi dążenie personelu do obrony własnych interesów w systemie biurokratycznym.

Dimock pisze, że im silniejsza lojalność grupowa wśród personelu i im bardziej urzędnicy przeniknięci są dumą swej służby tym wyraźniej przejawiają tendencje do życia w izolacji, do szukania kompensaty ze szkodą dla innych, do utraty poczucia współzależności i współodpowiedzialności. Ci dla których, jak się przyjmuje, istnieje organizacja, są traktowani raczej jako ś r o d k i do sprawowania władzy niż jak klienci którym się służy.

Lipset określa to w ten sposób, że administratorzy rozwijają swoje własne interesy które mogą być sprzeczne z interesami tych, którzy ich osadzili na urzędzie. Wydaje mu się powszechnie prawdziwe, że ludzie u władzy dążą do jej utrzymania i do umocnienia władzy, statusu, przywilejów.

Już Michels z emfazą demaskował ten aspekt biurokracji w odniesieniu do współczesnych mu partii politycznych i związków zawodowych: wykazywał jak pro-

fesjonalni organizatorzy i działacze tworzyli biurokratyczny aparat, który stopniowo zaczynał istnieć sam dla siebie a masa członków stawiała się coraz bardziej tylko środkiem dla osiągnięcia celów biurokratycznego aparatu organizacyjnego.

Również najnowsze badania biurokracji (Blau, Raphael i in.) prowadzą do wniosku, że podstawowa dysfunkcja biurokracji w odniesieniu do jej klientów polega na tym że traktuje się ich jako środki do osiągnięcia celów nie mających poza tym wiele wspólnego z klientami.

Dalsze możliwe następstwo mechanizmu przemieszczenia celów to izolacja personelu od grup poza organizacją lub nawet konflikt między personelem a szerszą społecznością. Zdarzają się sytuacje kiedy organizacja świadomie i celowo dąży do izolacji personelu lub do wywołania stałego kontrolowanego konfliktu personelu z otoczeniem. Przykładem może być aparat policji w podbitym kraju.

Istnieje szczególna sytuacja w której dysfunkcyjne następstwa biurokracji ulegają spotęgowaniu. Sytuację tę stwarza monopol biurokratyczny, który występuje wtedy gdy istnieje tylko jedna organizacja, jeden system posiadający wyłączność zaspokajania potrzeb klientów w określonej dziedzinie.

Merton wskazuje na źródło konfliktów tkwiące w strukturze biurokratycznej a polegające na tym, że biurokrata, po części niezależnie od swojej pozycji w hierarchii, działa jako przedstawiciel władzy i prestiżu całej struktury. Prowadzi to często do postawy dominowania nad klientem, a rozbieżność między pozycją urzędnika w hierarchii a jego pozycją wobec klienta może tylko wzmocnić tę postawę. Protesty i odwoływania się do innych urzędników okazują się często nieskuteczne, z powodu *esprit de corps* łączącego urzędników.

Otóż w sytuacji kiedy istnieje organizacja konkurencyjna zdolna zaspokoić tę samą potrzebę klienta, przedstawione źródło konfliktów zmniejsza się, skoro klient

może mimo wszystko skutecznie zaprotestować przenosząc się po prostu do innej organizacji we współzawodniczącym układzie.

Monopol organizacji biurokratycznej wyklucza ten zasadniczy mechanizm łagodzący dysfunkcję. W przypadku monopolistycznego charakteru publicznej organizacji napięcie staje się jeszcze większe na skutek rozbieżności między ideologią a faktami: uważa się urzędników za „sługi ludu”, lecz w rzeczywistości są oni jego przełożonymi.

Badacze biurokracji dostrzegli też, że sytuacja monopolu biurokratycznego odbija się niekorzystnie na s p r a w n o ś c i funkcjonowania systemu biurokratycznego. Dimock na przykład stwierdza, że brak konkurencji wywołuje w monopolistycznej organizacji rozluźnienie i osłabienie siły motorycznej w dążeniu do celów oraz sprzyja rozrastaniu się biurokratycznego formalizmu i wszelkich biurokratycznych wynaturzeń.

Blau widzi w monopolu biurokratycznym zasadnicze niebezpieczeństwo dla szerokich grup społecznych: jest zdania, że tendencja monopolizacji rynków lub monopolizacji władzy rządowej jest dysfunkcjonalna w odniesieniu do demokratycznego społeczeństwa i stwierdza wręcz, że koncentracja władzy grozi zniszczeniem instytucji demokratycznych.

Dysfunkcjonalne następstwa niesie też związana z przepisami biurokratycznymi b e z o s o b o w o ś ć stosunków między ludźmi. Najczęstsza dysfunkcja polega tu na samej reakcji klienta, traktowanego jako jednostka typowa dla pewnej kategorii podczas gdy czuje się on i jest w gruncie rzeczy niepowtarzalną indywidualnością. Prowadzi to do alienacji klienta, do wyobcowania go z sytemu, który ma służyć zaspokojeniu jego potrzeb.

Jednym z najważniejszych problemów w teorii biurokracji jest związek między systemami biurokratycznymi a instytucjami demokratycznymi w społeczeństwie. Wska-

zuje się na następstwa biurokracji ograniczające instytucje demokratyczne, paraliżujące ich funkcjonowanie.

Krańcowe poglądy, absolutyzujące dysfunkcjonalne następstwa biurokracji wyrażał Michels, kiedy jeszcze teoria biurokracji była o wiele słabiej rozwinięta. Michels analizował konkretne biurokracje: lewicowe partie polityczne i administrację rządową w monarchii pruskiej. Wnioski uogólniał na wszelkie organizacje biurokratyczne. Uważał organizację biurokratyczną za z góry skazaną na nieodpowiedzialność. Wynikało to z samej jej natury, wyzwalającej tendencje do oligarchii. Techniczna specjalizacja wynikająca z zakresu, wielkości organizacji sprawia, że fachowe, wyspecjalizowane kierownictwo jest w organizacji niezbędne. Możliwość decydowania stopniowo wymyka się masom i skupia się coraz bardziej w rękach przywódców. Przywódcy którzy początkowo byli wykonawcami woli zbiorowości szybko odrywają się od mas i stają się od nich niezależni. Organizacja nieuchronnie zawiera w sobie tendencję do oligarchii. Tendencja ta bardzo wyraźnie przejawia się w każdej organizacji. W wyniku wzrastającego stopnia zorganizowania każda partia i każdy związek zawodowy dzieli się na mniejszość kierujących i większość kierowanych. Im większa organizacja z tym większą siłą występuje ten proces.

Nominalnie, zgodnie z literą przepisów, wszelkie działania przywódców poddane są zawsze czujnej krytyce ludzi z szeregów; w miarę jak działalność organizacji się rozrasta, staje się to czystą fikcją. W katechizmie partyjnych obowiązków naczelnym prawem staje się ścisłe przestrzeganie zasady hierarchii.

Oligarchiczna i biurokratyczna tendencja w organizacji jest techniczną i praktyczną koniecznością, jest nieuniknionym następstwem samej zasady organizacji.

Tyle Michels. W nowszych czasach mamy do czynienia z poglądami dla których charakterystyczne są prace

Burnhama, Neumanna i Brady'ego. Burnham* wychodzi z założenia niezbędności wysoce rozwiniętych technicznie kwalifikacji biurokratycznych w dzisiejszym świecie. Kwalifikacje te posiadają *managers* — kierownicy wielkich organizacji. (Burnham interesuje się organizacją gospodarczą). Analogicznie do rozumowania Michelsa stawia znak równości między niezbędnością kierowników, przywódców, a ich wielkimi i praktycznie coraz mniej ograniczonymi możliwościami decydowania. Doprowadza ten pogląd do skrajności wyrażając przekonanie że *managers* w coraz większym stopniu stają się panami współczesnego społeczeństwa i że w przyszłości zostaną jego absolutnymi władcami.

Koncentracja w dziedzinie gospodarczej i biurokratyzacja przemysłu doprowadzą do przejęcia władzy przez *managers*. W rezultacie władza będzie sprawowana na szkodę jednostki i całego społeczeństwa. (Książka Burnhama wywołała szerokie echa które do dziś nie całkiem ucichły. Ma ona jednak, zwłaszcza w swych skrajnych tezach, charakter bardzo publicystyczny. Dziś przyjmuje się jego skrajne tezy raczej jako wynik dość prymitywnej metody budowania sądów o zjawiskach społecznych. *Managers* pozostają nadal ośrodkiem zainteresowania, co jest między innymi zasługą Burnhama, ale ich działanie w społeczeństwie oceniane jest na podstawie bardziej wnikliwych i systematycznych analiz i badań terenowych dążących do przedstawienia mechanizmów wzajemnej zależności różnych grup w konkretnych warunkach. Szuka się czynników ograniczających ich wpływy, starając się przy tym nie odbiegać we wnioskach od sprawdzonego materiału empirycznego. Nie wynikają z tego wprowadzone teorie o wielkim zasięgu, ale za to formułowane tezy są nieporównanie lepiej uzasadnione. Biurokracji przypisuje się funkcje i dysfunkcje w zależności od systemu biurokratycznego, od miejsca i czasu działania).

* James Burnham, *Rewolucja menadżerska*. Str. 279. Instytut Literacki, Paryż, tom 35 „Biblioteki Kultury”.

Podobnie katastroficzne wnioski jak Burnham budowali, odwracając jego rozumowanie, liberalni ekonomiści, wśród nich von Mises. Administracja rządowa przejawiająca nieuniknione tendencje do przenikania we wszystkie dziedziny i do opanowywania ich, podporządkuje sobie całkowicie gospodarkę. Ostateczny wynik będzie się pokrywał z przewidywaniami Burnhama z tą jedynie różnicą, że inna grupa będzie stała na szczycie przytłaczającej wszystko piramidy.

Kiedy poglądy skupiające się na dysfunkcjach biurokracji i absolutyzujące te dysfunkcje dotyczą konkretnego systemu, mogą znajdować pełne uzasadnienie w sprawdzonych i systematycznie uporządkowanych faktach. Tak jest w przypadku poglądów dotyczących biurokracji w Niemczech hitlerowskich. Jednym z autorów którzy zajmowali się tym problemem jest Neumann.

Sytuację w niemieckiej społeczności państwowej z tego okresu definiuje Neumann jako *biurokrację totalną*. Jest to monopol biurokratyczny zbliżony do absolutu. Istota tej biurokracji polega na dążeniu do skonsolidowania grupy panującej, do atomizacji, rozbięcia i rozproszenia podległych warstw poprzez zniszczenie każdej autonomicznej grupy pośredniczącej między tymi warstwami a państwem i do stworzenia systemu autokratycznych biurokracji ingerujących we wszystkie stosunki między ludźmi. Proces atomizacji rozciąga się częściowo i na klasę panującą, towarzysząc zróżnicowaniu wewnątrz masowej partii i w społeczeństwie, tworzeniu się w każdej dziedzinie elit, pewnych i godnych zaufania systemu. W systemie biurokracji totalnej jednostka jest całkowicie bezradna.

Monopolistyczna organizacja biurokratyczna i depersonalizacja ogarniają całokształt życia. Zmiana warunków pracy członków związku zawodowego zależy od urzędników związkowych, w ich rękach spoczywa decyzja. Hierarchia partyjna określa politykę partii politycznej. W organizacji sportowej mechanizm złożony z prezesów, wice-

prezesów, sekretarzy i skarbników decyduje o rozgrywkach sportowych i o działalności całej grupy. Proces ten rozciąga się na życie kulturalne. Muzyka zostaje zorganizowana w rękach profesjonalnych sekretarzy, którzy wcale nie muszą być muzykami. Radio określa ściśle jakie dawki kultury mają być wydzielane publiczności, ile się będzie nadawać muzyki lekkiej a ile klasycznej, ile pogadanek a ile wiadomości. Biurokracja wkracza nawet w najbardziej intymną dziedzinę życia ludzkiego — w rodzinę. Istnieją organizacje dla rodzin wielodzietnych i dla kawalerów, stowarzyszenia kontroli urodzin, ciała doradcze w sprawach szczęścia rodzinnego, spółdzielnie konsumentów, faktycznie pozbawiające swoich członków możliwości swobodnego wyboru. Istnieje wielka sieć organizacji obejmujących każdy niemal aspekt ludzkiej egzystencji i funkcjonujących jako ciała pośredniczące w stosunkach między ludźmi. W takiej sytuacji wszelkie prawa człowieka zdane są na łaskę biurokratów.

Neumann przypomina, że przed przeszło wiekiem francuscy kontrrewolucjoniści de Maistre i Bonald oraz Hiszpan Donoso Cortez przepowiadali że liberalizm, protestantyzm i demokracja, których nienawidzili, niosą załazki emocjonalnie umotywowanego człowieka masowego i zrodzą w końcu dyktaturę miecza. Masowa demokracja i kapitalizm monopolistyczny, stwierdza Neumann, wyhodowały te ziarna i zbierają owoce. Uwięziły człowieka w sieci na wpół dyktatorskich organizacji kontrolujących jego życie od kołyski do grobu i zaczęły przekształcać kulturę w propagandę i towar produkowany na rynek. Narodowy socjalizm unicestwił instytucje jakie w warunkach demokratycznych zachowały jeszcze resztki ludzkiej spontaniczności.

Opisany przez Neumanna system biurokratyczny Trzeciej Rzeszy można uznać za szczegółowy, konkretny przypadek ogólnie określonego przez Mertona i innych autorów społeczeństwa całkowicie zbiurokratyzowanego jako takiego, w którym biurokracja nie odpo-

wiadają postawom i wartościom przeważającym w społeczeństwie lub są konsekwentnie kierowane w interesie jednej warstwy społecznej ze szkodą dla innych warstw.

Jak w świetle teorii biurokracji przedstawia się system działający we współczesnej Polsce? Po zapoznaniu się podstawowymi zagadnieniami tej teorii nabrałam podejrzeń że, podobnie jak Trzecia Rzesza, *PRL zbliża się do wzoru społeczeństwa całkowicie opanowanego przez biurokrację totalną.*

Dalszy ciąg tego opracowania jest próbą spojrzenia na współczesną polską rzeczywistość z tego punktu widzenia.

I.

BIUROKRACJA TOTALNA

1. *Elementarz władzy*

Najskuteczniejsze są pomysły mało skomplikowane, w rodzaju: zawsze strzelaj pierwszy, dobry Murzyn to martwy Murzyn, kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego zostanie. Jedynym w swoim rodzaju genialnym zbiorem takich prostych pomysłów jest książka która, jak sądzę, wywarła większy wpływ na losy dzisiejszego świata niż jakakolwiek inna rzecz opublikowana w dwudziestym wieku. Szczegółowy spis rzeczy należący do tej książki wyryty jest raz na zawsze w mózgach dziesiątków czy setek tysięcy ludzi składających się na silnik, który napędza tak zwany blok komunistyczny, treść tej książki zrosła się nierozzerwalnie z ich osobowością, uwięziła tkankę ich mózgu w łańcuchach odruchowych skojarzeń: na hasło „chłop” otwierają się szufladki — „biedniak”, „średniak”, „kułak”; słowo „imperializm” odsłania ekran z napisem „amerykański” oraz obraz czegoś gnijącego (bo imperializm, jak wiadomo, gnije), na przykład zdechłego szczura albo cuchnącego bagna. To jest silniejsze od nich.

„Krótki kurs historii WKP(b)”. Jej autor: Słoneczko, Wielki Chorąży Pokoju, towarzysz Józef

Wissarionowicz Stalin (co usta słodsze ma od malin) mógłby z powodzeniem wykładać socjotechnikę na naj-sławniejszych uniwersytetach.

Kiedy w „Krótkim kursie” mowa o władzy, chodzi o c a ł ą w ł a d z ę. (Pamiętacie, „cała władza w ręce rad!”). I tak właśnie myślą o władzy ludzie którym w swoim czasie wypchano czaszki tą książką. Władza ma być c a ł a, obejmować ma w s z y s t k o i ma się znajdować w jednych rękach. Oczywiście mają to być n a s z e ręce.

Słoneczko używa w swojej książce znakomitej metafory o garnku żelaznym i garnkach glinianych. Garnek żelazny to partia komunistyczna, garnki gliniane to inne partie i organizacje polityczne. Kiedy wsadzi się je do jednego worka, wynik jest z góry wiadomy: skorupy. Taki los spotyka konkurentów w walce o władzę.

Zbieg różnych okoliczności sprawił, że książka zniknęła z półek a nawet, zdaje się, nieopatrznie zmielono kilka milionów jej egzemplarzy, wydanych w języku polskim. Nie zmieniło to w niczym faktu że już od niemal ćwierćwiecza żyjemy w kraju, którego społeczna rzeczywistość opiera się na kilku mało oryginalnych lecz konsekwentnie realizowanych pomysłach, zaczerpniętych z tej książki.

Władza w Polsce spoczywa dziś w rękach jednej organizacji. Jest nią Polska Zjednoczona Partia Robotnicza — żelazny garnek z metafory Stalina, wobec którego wszystkie inne zrzeszenia ludzi są jak garnki gliniane. Partia typu leninowskiego, z żelazną dyscypliną dla członków, z jednym centralnym ośrodkiem dyspozycyjnym, gwarantująca jednolitość i koordynację działania wszystkich swoich członków, rozsianych na całym terytorium kraju, we wszystkich prawie środowiskach społecznych i na wszystkich piętrach społecznej hierarchii.

Partia wraz z całym podległym jej, lub kontrolowanym przez nią, aparatem tworzy system biurokratyczny który wyciska piętno na całym życiu w kraju, w stopniu

o wiele większym niż większość biurokracji w historii jakiegokolwiek społeczeństwa i w stopniu nieporównanie większym niż jakakolwiek organizacja we współczesnym świecie zachodnim — administracja państwowa, partia polityczna, organizacja gospodarcza czy religijna. Jest to bowiem system który z cechami wspólnymi zazwyczaj wszelkim biurom racjom łączy cechy szczególne, potęgujące jego siłę, sprawiające, że jest to biurokracja:

— *a u t o n o m i c z n a*, to znaczy niekontrolowana przez nikogo na podległym jej terytorium;

— *m o n o p o l i s t y c z n a*, czyli wolna od konkurencji we wszystkich sferach swego działania;

— *w s z e c h o g a r n i a j ą c a*, to znaczy przenikająca do wszelkich niemal dziedzin ludzkiego życia i w mniejszym lub większym stopniu kontrolująca te dziedziny.

Te właściwości współczesnej nadwiślańskiej biurokracji sprawiają, że najstosowniejszy termin dla jej określenia to *b i u r o k r a c j a t o t a l n a*.

2. Niedosiężny szczyt piramidy czyli biurokracja autonomiczna

W obrębie każdej organizacji biurokratycznej władza jest scentralizowana, niższe szczeble hierarchii podlegają wyższym. Komu podlega najwyższy szczebel? W praktyce Zachodu nie zdarza się by najwyższy szczebel *n i e p o d l e g a ł n i k o m u*. W polityce, w życiu gospodarczym, w każdej organizacji najwyższy ośrodek dyspozycyjny ma swoich mocodawców: parlament, elektorat, udziałowców. Odszedł Johnson i odszedł de Gaulle a wraz z nimi ich sztaby, posyła się na grzybki całe zespoły dyrekcyjne wielkich kompanii, dowództwa armii, liderów partyjnych.

Obywatel (konsument, wyborca, mieszkaniec, członek) jest przyzwyczajony do tego, że grupy lub jednostki

kierujące systemami mogą działać tylko w określonych granicach i że przekroczenie tych granic zazwyczaj automatycznie usuwa ich ze szczytu piramidy. (Choćby w obrębie organizacji, którą kierują, mieli najbardziej niezależną i najpełniejszą władzę). Innymi słowy — by pozostać na szczycie którejś z biurokratycznych piramid muszą spełniać określone warunki, takie jak utrzymanie większości parlamentarnej, nie przekraczanie obowiązujących w kraju praw, uzyskiwanie oczekiwanych wyników działania w organizacji którą kierują, lub po prostu pozostawanie na swoim kierowniczym urzędzie tylko poprzez okres jakiejś kadencji.

Na ustanowienie tych warunków i na ich zmianę albo wcale nie mają wpływu, albo są tylko jednym z wielu czynników mogących wywierać taki wpływ. W życiu społeczeństwa jest wmontowany mechanizm, który w określonym stopniu uzależnia najwyższy szczebel każdej biurokratycznej hierarchii od jakichś innych części społeczeństwa i sprawia, że jednostka lub grupa na tym szczeblu jest odpowiedzialna wobec innych grup spoza organizacji którą kieruje. Mechanizm ten często może być niedoskonały, podlegać zakłóceniom i stawać się przedmiotem ogólnego niezadowolenia i ostrej krytyki. Nie zdarza się jednak by na dłuższy czas mógł zostać całkowicie zablokowany (są wyjątki — państwka którym coraz to siadają na karku nowi dyktatorzy).

Otóż żaden taki mechanizm nie istnieje w dzisiejszej Polsce, na tym właśnie polega autonomia rządzącej w tym kraju biurokracji. Grupa ulokowana na szczycie biurokratycznej piramidy siedzi na absolutnie najwyższym szczeblu ponad którym jest już tylko niebo, gdzie majaczą złote kopuły cerkwi i czerwone gwiazdy Kremla. We własnym kraju sama dla siebie jest mocodawcą.

Nagi ten fakt (pozostający w krańcowej sprzeczności z ideologią) dekorują raczej niż zakrywają jakieś dwa, trzy listki figowe: „demokracja ludowa” z jej sejmem i

terenowymi radami narodowymi, „wybieranymi” w drodze „pięcioprzymiotnikowych wyborów”; „centralizm demokratyczny” w samej partii; „ludowa praworządność”.

Zatrzymajmy się na chwilę przy sejmie i radach narodowych, które mają reprezentować opinię i wolę społeczeństwa. Oszczędeć czytelnikowi komunałów w rodzaju wyśmiewania się z 98 procent głosów oddanych na listę Frontu Jedności Narodu, choć nie mogę powstrzymać się od dygresji.

Pewien wyższy urzędnik prowincjonalny, delegowany służbowo do stolicy, wraca wieczorem do swojego hotelu („Metropol” czyli nowa „Polonia” na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich). Wysiada z windy i stwierdza że coś się w zasadniczy sposób zmieniło na jego piętrze. Mimo późnej pory skoczna muzyka z tranzystorów miesza się z pijackimi śpiewkami, kelnerzy uwijają się balansując tacami z wódką i zakąską, łazienka zarzygana. Tu i ówdzie przemyka się na niepewnych nogach jakiś podejrzany typ w skarpetkach, wlokąc za sobą tasiemki długich gaci, z pokoju do pokoju wędrują tanecznym krokiem młode osoby płci żeńskiej, w dezabilu, raczej nie budzące wątpliwości co do swojej profesji. Delegowany służbowo do stolicy chowa głowę w ramiona i co prędzej chroni się w swym pokoju. Przekręca kontakt i cóż widzi? W jego własnym łóżku dwie osoby (zresztą co najmniej jedna z nich pełnoletnia) odbywają stosunek seksualny. W pięć minut potem, w biurze hotelowym: „Najmocniej pana przepraszamy, zaraz damy śliczny pokoik na innym piętrze, nie zdążyliśmy pana uprzedzić. Widzi pan, to zwykła rzecz, mamy to od czasu do czasu: właśnie przyjechała delegacja posłów i działaczy rad narodowych ze Śląska”.

Broń mnie Panie Boże, żebym rzucała kamieniem w posłów i działaczy rad narodowych — coś przecież muszą robić w czasie przeznaczonym na sprawy państwowe, a te zajęcia w Polonii były akurat najmniej szkodliwe.

Jako lekturę uzupełniającą poleciłabym tu też fragmenty „Widziane z góry” Stalińskiego, odnoszące się do naszego sejmu.

Analiza systemu działania sejmu i rad narodowych przeprowadzona tylko na podstawie oficjalnych, dostępnych bez trudu dokumentów (listy posłów i radnych z danymi personalnymi, ordynacje wyborcze, regulaminy, protokoły obrad itp.), wykazałaby w sposób oczywisty że w Sejmie i w radach, tak jak i gdzie indziej, działa prosty mechanizm sprawowania władzy, narzucania decyzji, podporządkowywania sobie całej instytucji — przez partię. Członkowie partii rozsiani we wszelkich „ciachach ustawodawczych” i „jednostkach wykonawczych” zajmują strategiczne pozycje i w swym działaniu w roli radnych, posłów, przewodniczących komisji, kierowników wydziałów, skrupulatnie i gorliwie wykonują instrukcje partii a ściślej instrukcje nadrzędnej instancji partyjnej, realizując aktualną linię partyjną.

„Demokracja ludowa” nie kontroluje góry partyjnej; wobec „demokratycznych instytucji” (sejmu, rad, itd.) partia, a tym bardziej góra partyjna, nie jest w najmniejszym stopniu odpowiedzialna. Odwrotnie: to właśnie te instytucje, te organa są faktycznie w pełni odpowiedzialne przed partią i są tej partii powolnym narzędziem.

Drugi listek figowy, „centralizm demokratyczny” w samej partii jest taki mały i tak już zwiędły, że nie warto byłoby mu wcale poświęcać uwagi gdyby nie czytelnicy spoza kraju, którzy może nie są w tej sprawie dokładnie zorientowani. Według zasad partyjnych centralizm demokratyczny polega na tym, że większość w demokratyczny sposób podejmuje zasadnicze decyzje i wybiera władze partyjne, a kiedy decyzje zostały podjęte i władze wybrane, cała partia musi poddać się centralnemu kierownictwu. Życie jest prostsze: po prostu cała partia musi poddawać się centralnemu kierownictwu, kropka.

Nie tylko musi ale i gorliwie się poddaje, w osobach wszystkich swych poszczególnych członków tak jak i w ciałach zbiorowych swych komitetów, egzekutyw, komisji. Celowi temu służy rozbudowany ale sprawny i pieczołowicie oliwiony system biurokracji partyjnej, w którym skonstruowano w miarę niezawodne urządzenia do przekazywania z góry na dół rozkazów, kontroli i korekty wykonania tych rozkazów, sankcji dla opieszłych, bodźców dla gorliwych. Szczególnie interesującym urządzeniem partyjnym jest instytucja czystek.

Pytanie: Czy członkowie partii, czy masy partyjne mogą wpływać w jakiś sposób na działanie góry partyjnej — może postawić tylko ktoś nie mający kompletnie pojęcia o podstawowych realiach świata po naszej stronie. Partię — tym razem bez żadnej już przesady — można porównać do gangu, do mafii, gdzie szef bez chwili namysłu faszeruje ołowiem każdego członka w momencie kiedy zaczyna go podejrzewać o cień wahania w ślepych wykonywaniu rozkazów.

W tradycjach partii komunistycznych, a zwłaszcza przodującej partii świata, mamy stawianie swych członków pod ścianą, detalicznie albo i hurtowo; ostatnio wyszło to z mody. Wyrzucenie z partii jest zazwyczaj dostatecznie skuteczną sankcją, pociąga za sobą odarcie delikwenta z przywilejów, zepchnięcie na łeb na szyję w dół hierarchii społecznej, często oddanie w ręce prokuratora.

Kiedy „wybierano” pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego partii w Krakowie, niejakiego Domagałę, pojawienie się jego nazwiska (jedyne z resztą) na liście kandydatów wywołało zdziwienie i zaskoczenie sali wypełnionej partyjnymi wyborcami. Domagała nigdy z Krakowem nie miał nic wspólnego, importowano go z Kielc co uraziło miłość własną krakowian. Rzecz zrozumiała, towarzysze rozsądnie pohamowali zewnętrzne oznaki tych uczuć i przyjęli wiernopoddańczą postawę wobec nowego pana, zanim jeszcze został formalnie osadzony na swym stołcu.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego, dyrektora krakowskiego radia, towarzysza Łabuza, przedwojennego komunisty z chłopskiej rodziny, obecnie raczej już zdziecinniałego i w przededniu emerytury. Ten w pewnym momencie obudził się z drzemki, poprosił o głos i oświadczył:

— Towarzysze, a cóż to ma znaczyć?! Kto to jest towarzysz Domagała? Towarzysze z terenu nic o tym nie wiedzą, przecież to jest kandydat przywieziony w teczce z Warszawy. To chyba jest jakieś nieporozumienie!

Cała wielka, wypełniona po brzegi sala wstrzymała oddech, ale tylko na ułamek sekundy. Partyjna etykieta każe zawsze podziwiać nowe szaty króla, nie tylko kiedy król jest całkiem nagi ale nawet kiedy go obdarto ze skóry. Ani jeden mięsień nie drgnął w żadnej twarzy. Poproszono następnego mówcę i „obrazy” potoczyły się dalej, płynnie i sprawnie, jak gdyby nigdy nic. Nikt nie dosłyszał głosu towarzysza z radia i nikt nań nie zareagował. Tylko gdzieś wyżej odpowiednie czynniki zdecydowały, że już najwyższy czas posłać biedaka na emeryturę.

Statut partyjny stanowi, że do partii można zostać przyjętym i z partii wykluczonym tylko przez podstawową organizację partyjną (najniższą komórkę organizacyjną). W 1968 roku podstawowa organizacja partyjna przy ambasadzie polskiej w Londynie, natchniona zapałem antysyjonistycznym i drżąca o swoje dochodowe posadki na placówce zagranicznej, wyrzuciła z partii towarzysza ambasadora Morawskiego. Coś im się w główkach poprzeręcało z tym centralizmem demokratycznym w partii, zapomnieli na chwilę że nieprzejednana gorliwość jest wprawdzie tym, czego się oczekuje od członka partii, lecz że ma to być gorliwość zgodna z odgórnymi instrukcjami. Góra mocno się w tym wypadku zdenerwowała, gdyż instrukcji nie było i towarzysze z podstawowej organizacji partyjnej czym prędzej przynieśli towarzyszowi ambasadrowi legitymację partyjną w zębach, czołgając się na brzuchach po wydeptanym dywanie ambasady.

Partyjne praktyki wymagają odpowiednio uległych i

giętkich członków partii; partia komunistyczna w Polsce nie potrzebuje dziś ideowych komsomolców. Pryncypialny, nieustraszony Pawka Korczagin (jeśli ktoś taki rzeczywiście istniał) sprawiłby dziś swoim towarzyszom trochę kłopotu i najprawdopodobniej skończyłoby się na tym że trzeba by go ulokować w mamrze.

Kiedy na przełomie lat 1967 i 1968 w organizacjach partyjnych w Warszawie zaczęła się „psychologiczeskaja abrabotka” aktywu partyjnego, mająca na celu zaostrezenie dyscypliny w szeregach i zapewnienie sobie ślepego posłuszeństwa wobec góry, przed przygotowywaną na wiosenny termin Wielką Rozróbą, speszonym i coraz bardziej zastraszonym towarzyszom zaczęto systematycznie wbijać do głowy:

— „dyskusja w partii jest nie tylko dopuszczalna ale i potrzebna — l e c z t y l k o z pozycji aktualnej linii partyjnej”.

A więc nie wierność klasykom, nie wierność wobec idei, wobec własnego komunistycznego sumienia, lecz pełne podporządkowanie się aktualnej linii, wyznaczonej przez grupkę towarzyszy na szczycie hierarchii partyjnej. Był to w dodatku okres kiedy linia partyjna wyprawiała najprzedziwniejsze łamańce i trudno było przewidzieć na 24 godziny naprzód jakie będzie aktualne hasło dnia. W takiej sytuacji trzeba było oczyścić partię z elementów, które mogłyby się zdobyć na najmniejsze choćby nonkonformistyczne reakcje, żeby nie zawracać sobie głowy partyjnymi dołami i mieć rozwiązane ręce na ringu w KC.

Doskonałym papierkiem lakmusowym do sprawdzania potencjału uległości w organizacjach partyjnych okazała się afera syjonistyczna. Żeby przełknąć ten nowy pomysł, który przez pewien czas miał być kamieniem węgielnym aktualnej linii partyjnej, członek partii (mam w tym wypadku na myśli trochę choćby myślącego i przejawiającego minimum charakteru osobnika) musiał się zdobyć na trzy niełatwe rzeczy:

— Przyjąć za prawdę koncepcję spisku syjonistycz-

nego, czyli coś co w jaskrawy sposób kłóciło się z jego codziennym doświadczeniem i z elementarnymi wymogami logicznego rozumowania, czyli musiał zadać gwałt swemu intelektowi i zdobyć się na to, by wołać czarne tam gdzie widział białe.

— Sprzeniewierzyć się równie elementarnym zasadom ideologii, w której jednym z filarów jest zasada równouprawnienia niezależnie od pochodzenia narodowego, wyznania itd. i w oczach której antysemityzm jest ciężkim przestępstwem, zarówno w świetle statutu partii jak i z punktu widzenia najistotniejszych zasad światopoglądowych.

— Już nie jako członek partii ale jako człowiek, mniej lub bardziej cywilizowany, musiał pokonać wewnętrzne opory, by dać swą aprobatę dla oczywistego łajdactwa.

Kto okazywał wątpliwości, kto się wahał, kto miał zastrzeżenia — tego *stante pede* wyrzucano, natychmiast, bez pardonu. Prawda, niektórzy sami oddawali legitymacje. Tym sposobem skład osobowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej coraz bardziej upodabnia się do struktury europejskich partii faszystowskich sprzed trzydziestu lat: masa uległych jak wosk karierowiczów plus gangsterskie bojówki aktywu. Dyktatura ciemniaków może liczyć tylko na draba z pałą w garści, możliwie najmniej zdolnego do samodzielnego myślenia za to doskonale nadającego się do tego by terroryzować otoczenie.

Kolejnym czynnikiem, który formalnie ogranicza pełną swobodę działania grupy rządzącej, jest p r a w o. W rzeczywistości jest to kolejna fikcja.

Grupa rządząca może kształtować to prawo w dowolny sposób, uruchamiając podporządkowane jej ciała ustawodawcze, które funkcjonują jak idealnie wytresowany personel dobrej restauracji (metafora z domem publicznym byłaby może zbyt wulgarna) dostarczając na zamówienie najwymyślniejsze potrawy: ustawy, uchwały, rozporządzenia wykonawcze, dekrety i wszelkie możliwe

decyzje, podejmowane szybko i z krzepiącą jednogłośnieścią.

Interpretacja prawa też nie spoczywa w niezależnych rękach. Niezawisłość wymiaru sprawiedliwości nie istnieje. Sądy, prokuratura, są częścią systemu, częścią aparatu władzy podporządkowanego centrali. Partia dysponuje całą gamą chwytów i sposobów służących sterowaniu aparatem wymiaru sprawiedliwości zgodnie z interesem góry partyjnej i z linią partyjną. Skutecznym sposobem jest polityka personalna: plasowanie na stanowiskach ludzi posłusznych i zależnych od partii, odsiewanie wszystkich co mają mniej giętkie karki. (Gimnastyka karku zaczyna się dziś już przed przyjęciem na studia, nie tylko zresztą prawnicze — szansę kandydata wybitnie zwiększa jego „aktywność”, „zaangażowanie społeczno-polityczne”).

Co jakiś czas przelewają się przez kraj kolejne fale obudzone przez twórców polityki wymiaru sprawiedliwości. Cały aparat wymiaru sprawiedliwości ustawia się wtedy w kierunku zgodnym z ruchem fali i wkrótce do aresztów śledczych, do brudnych pokoików noszących nazwę sal sądowych i do kryminalów, dopływają kolejne kontyngenty podejrzanych, oskarżonych i skazanych, zgodnie z panującą na danym etapie modą na określony typ przestępstw i wykroczeń.

Raz mogą to być księża oskarżeni o czyny niemoralne, najchętniej popełniane na osobach nieletnich a najlepiej jeśli nieletnia ofiara pozostawała pod opieką osoby duchownej odpowiedzialnej za jej wychowanie; ale pobudzona aktualną falą sprawiedliwość z braku wikarych gwałcących niemowlęta w parafii ukontentuje się jakimś prozaicznym pijaństwem, byle było połączone z małym zakłóceniem spokoju publicznego. (Nie musi to być od razu drastyczne tłuczenie luster w sali bankietowej restauracji kategorii „S”, wystarczy do sprawy i kufel przewrócony niechcący w miejscowej gospodzie. Jest człowiek — może być sprawa; stara ubecka zasada, zawsze aktualna). Ciekawe, że w tym kraju osoby duchowne mają jakieś

szczególne skłonności do tego typu wykroczeń, podczas gdy nie zdarzyło się, by posadzono za coś takiego jakiegoś sekretarza podstawowej organizacji partyjnej czy członka egzekutywy komitetu fabrycznego.

Innym razem mogą to być osoby czytające paryską *Kulturę* i jej wydawnictwa; podczas gdy w jednym roku do dobrego tonu należy dyskutowanie w kawiarni Mieroszewskiego i afiszowanie się w kręgu znajomych z tomikami w charakterystycznych okładkach, w innym roku idzie się do kryminału za jeden nigdy dokładnie nie przeczytany egzemplarz, który ktoś ze znajomych zapomniał pod wieszakiem w przedpokoju.

Ruch fal rządzi ilością wpisywanych na wokandę spraw o manka, kradzieże mienia społecznego i wielkich afer gospodarczych.

Rządzący zresztą bynajmniej nie muszą się troszczyć o to by ich działania były zgodne z prawem. Kiedy tylko jest im to wygodne, łamią prawo bez trudności. Prawo jest dla nich tylko wygodnym narzędziem, którym w razie potrzeby można się skutecznie posłużyć, ale można też i dowolnie zawieszać jego działanie.

Istnieją dziś w Polsce całe grupy przepisów pozostających na papierze, bo tak łatwiej i wygodniej rządzić. Na przykład: przepisy o bezpieczeństwie i higienie pracy, o ochronie wód i atmosfery przed zanieczyszczeniami przemysłowymi.

Warto zatrzymać się na chwilę przy sprawach BHP bo tu w sposób bardzo charakterystyczny przejawia się stosunek władzy do praw i przepisów obowiązujących w dzisiejszej Polsce (a przy okazji — stosunek władzy do robotnika). Stan bezpieczeństwa i higieny pracy w polskim przemyśle jest fatalny, o wiele bardziej zbliżony do tego co opisuje Engels w „Położeniu klasy robotniczej w Anglii” niż do przeciętnej sytuacji w którymś z uprzedmiotowionych krajów zachodnich.

Parę przykładów na chybił-trafił: w największej i najnowocześniejszej polskiej hucie, Hucie im. Lenina pod

Krakowem, na niektórych wydziałach panuje tak potworny hałas, że coraz większy procent robotników zaczyna cierpieć na organiczne zaburzenia, spowodowane olbrzymią ilością decybeli. Notuje się też przypadki zaburzeń psychicznych. Od szeregu lat wspomina się od czasu do czasu o konieczności zainstalowania urządzeń zmniejszających hałas lub wyposażenia robotników w hełmy izolujące od hałasu. Nie zrobiono nic.

W budownictwie tylko niewielki procent robotników posiada hełmy, większość pracujących na rusztowaniach i na wysokościach nie otrzymuje pasów zabezpieczających. Robotnicy używający na budowie środków chemicznych nie mają masek czy tamponów zabezpieczających i ulegają zatruciom.

W spółdzielniach pracy i zakładach przemysłu tere-nowego panuje często niewyobrażalna ciasnota, brak wentylacji, brak urządzeń sanitarnych, rozlatujące się instalacje elektryczne grożą w wielu wypadkach ciężkim porażeniem i pożarami. Bazy transportowe wypuszczają na trasy samochody w takim stanie, że stanowią one niebezpieczeństwo nie tylko dla kierowców, ale stwarzają sytuacje zagrożenia dla wszystkich ludzi i pojazdów na drodze. Jedna z wojewódzkich komend milicji po specjalnej akcji kontrolnej stwierdziła, że co najmniej 50 procent samochodów ciężarowych wyjeżdżających codziennie z baz transportowych to wozy niesprawne i bardzo niebezpieczne.

Otóż wszystko to dzieje się wbrew obowiązującym przepisom. Każdy taki przypadek jest naruszeniem jakiegoś punktu, lub kilku punktów jednocześnie, w istniejącym ustawodawstwie. Nikt jednak nie zamyka oddziału fabrycznego, nie wstrzymuje produkcji, nie zostawia wozów w garażach tylko dlatego by przepisom stało się zadość. Przepisy swoją drogą (można przy okazji pochwalić się przed zagraniczną delegacją, jakie są postępowe i jak doskonale bronią interesów robotnika) — życie swoją drogą. Dopóki to nie staje się niewygodne

dla władzy, życie może toczyć się wbrew przepisom bez żadnych przeszkód ze strony aparatu wymiaru sprawiedliwości, który nabrał imponującej wprawy nie tylko w dos-
trzeganiu tego czego nie ma, ale i w zamykaniu oczu na rzeczy najbardziej oczywiste.

Obywatele nie są równi wobec prawa. Wobec niektórych kategorii stosuje się prawo z całą surowością a także nagina się je i interpretuje tak, by jeszcze mocniej uderzyć. Innych traktuje się łagodnie, z matczyną wyrozumiałością (jak ostatnio Gnata, ministerialno-partyjnego aferzystę wielkiego kalibru, wyjątkowo szkodliwego społecznie). Jeszcze inni są ponad prawem i mogą się ewentualnie przejmować tylko niektórymi paragrafami kodeksu karnego, dotyczącymi najcięższych przestępstw. Jedną z uprzywilejowanych kategorii są funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa.

Swobody obywatelskie gwarantowane przez konstytucję w rzeczywistości społecznej kraju odnoszą się w różnym stopniu do różnych kategorii obywateli i są wydzielane stosownie do okoliczności.

Działania grupy rządzącej nie ogranicza też konieczność uzyskania określonych wyników gospodarczych. Gospodarka jest jedną z dziedzin ściśle podporządkowanych rządzącej biurokracji, ale nie nakłada to na rządzących żadnych obowiązków. Kierownictwo organizacji gospodarczej na Zachodzie może się utrzymywać w swojej roli tylko pod warunkiem, że wyniki działalności gospodarczej tej organizacji nie spadną poniżej określonych wskaźników. Nic co można by porównać z tym mechanizmem nie funkcjonuje w warunkach biurokracji totalnej.

Ster władzy równie mocno tkwi w rękach rządzących w rzadkich i przejściowych okresach względnej pomyślności jak i w okresach stagnacji i kryzysu, stanowiących zjawisko mniej więcej normalne.

Historia ZSSR wykazała, że nawet działalność gospodarcza, która przynosi spadek poziomu życia poniżej minimum biologicznego nie osłabia władzy w systemie

biurokracji totalnej. Wydaje się nawet, że śmierć głodowa milionów ludzi w latach trzydziestych zbiegła się ze wzmocnieniem aparatu władzy i zacieśnieniem kontroli sprawowanej nad krajem przez ten aparat. Być może była nawet jednym z czynników okrzepnięcia, stwardnienia władzy, zwłaszcza na niższych jej szczeblach w terenie.

Grupa ulokowana na szczycie polskiej piramidy biurokratycznej, nie mając mocodawców w kraju, nie kontrolowana przez żadne instytucje życia politycznego i społecznego, nie potrzebująca się liczyć z niższymi szczeblami własnego aparatu ani z wynikami gospodarki, którą kieruje, cieszy się rzadko spotykaną w historii, absolutną niemal niezależnością i jest w związku z tym grupą skrajnie nieodpowiedzialną. Cały opanowany przez nią system jest systemem biurokracji nieodpowiedzialnej, której egzystencja, władza i większość działań nie zależy ani od reakcji innych grup społecznych ani od niezmiennego przez dłuższy czas programu ani od jakichś stałych zasad ideologicznych.

Jest to jednocześnie grupa absolutnie monopolistyczna, nie ma konkurentów w żadnej z dziedzin które sobie podporządkowała na całym terytorium kraju.

Nic takiego nie wynika na przykład z książek telefonicznych: znajdujemy w nich bardzo liczne nazwy różnych organizacji politycznych, gospodarczych, kulturalnych, sugerujące, że to właśnie te organizacje zajmują się poszczególnymi dziedzinami i być może reprezentują interesy jakichś specyficznych grup ludności. Wszystkie te różnorodne szyldy tworzą dekoracyjny parawan, zasłaniający jednolitą maszynę sterowaną z tego samego pulpitu i ze swej natury niezdolną do żadnych samodzielnych odruchów.

3. Biurokracja wszechogarniająca

Żadna biurokracja znana z historii i żadna organizacja biurokratyczna istniejąca w dzisiejszym świecie nie

podporządkowała sobie człowieka w tak wielkim stopniu jak biurokracja totalna na wschód od żelaznej kurtyny.

W każdym kraju zachodnim działa jednocześnie szereg różnych scentralizowanych organizacji biurokratycznych, ograniczających swe funkcje do wybranych dziedzin życia; różne dziedziny podlegają różnym organizacjom. Istnieje poza tym szereg dziedzin, szereg płaszczyzn egzystencji człowieka wolnych od biurokratycznej kontroli.

Każda z istniejących tam biurokracji kontroluje tylko pewien wycinek ludzkiej egzystencji. Organizacja gospodarcza, na przykład koncern kapitalistyczny, sprawuje kontrolę nad swymi pracownikami, ale tylko w godzinach pracy i tylko w sprawach związanych z pracą. W swoim własnym czasie pracownik zachowuje niezależność od tej organizacji. W odniesieniu do klientów organizacja ma wpływ na poziom i sposób zaspokojenia ich potrzeb w zakresie produkcji czy usług, w których się specjalizuje. Klient uzależniony jest od niej o tyle tylko o ile zaspokaja ona jego potrzeby, ale ponieważ absolutny monopol praktycznie nigdy nie występuje, więc ta zależność jest ograniczona i względna.

Podobnie ograniczony jest zakres kontroli nad jednostką (grupami społecznymi) sprawowanej przez administrację i (lub) samorząd lokalny. W różnych krajach i w różnych okresach zakres ten zwiększa się lub zmniejsza, ale zawsze obejmuje tylko niektóre płaszczyzny, niektóre aspekty życia człowieka.

Zupełnie inna jest sytuacja w społeczeństwie opartym przez biurokrację totalną. Jedyna organizacja biurokratyczna, obejmująca całokształt życia na terytorium całego kraju, całkowicie kontroluje (albo zdążyła do objęcia coraz większą kontrolą) każdy rodzaj działania dostępnego człowiekowi, we wszystkich aspektach i na wszystkich płaszczyznach.

Stosunkowo najpełniejszą kontrolą udało się objąć materialne warunki egzystencji. W rękach panującej biurokracji spoczywają wszystkie istotne decy-

zie dotyczące produkcji i podziału dóbr materialnych. W ten sposób biurokracja podporządkowała sobie ogromny zakres życia ludzkiego:

— Sytuację człowieka biorącego udział w produkcji i podziale dóbr i świadczeniu usług, a więc człowieka z a t r u d n i o n e g o. Biurokracja jest bowiem jedynym, monopolistycznym pracodawcą (obok sektora uspołecznionego istnieje wprawdzie sektor prywatny ale zatrudnia tylko bardzo nieznaczny procent pracujących i działa w granicach ściśle wyznaczonych przez biurokrację). Ona decyduje o warunkach pracy i wynagrodzeniu za pracę, a także o tym czy jednostka w ogóle będzie mogła otrzymać stałe zajęcie.

— Sposób w jaki ludzie mieszkają, jedzą, ubierają się, podróżują.

— Troskę o zdrowie.

— Możliwości w zakresie kształcenia się i zdobywania kwalifikacji.

— W dużej mierze także sposób spędzania wolnego czasu.

Pełna kontrola nad materialnymi warunkami egzystencji daje również możliwość wywierania wpływu na formy i charakter s t y c z n o ś c i m i ę d z y l u d ź m i w objętym tą kontrolą społeczeństwie oraz na ś w i a d o m o ś ć ludzi: na ich osobowość, systemy wartości, ich obraz otaczającego świata. Biurokracja totalna stara się w pełni korzystać z tej możliwości a oprócz tego stwarza inne urządzenia sterujące i kontrolujące, które uzupełniają i potęgują wpływ wywierany poprzez materialne warunki egzystencji.

Przewidziano każdą dopuszczalną formę zbiorowego działania ludzi i stworzono dla niej ramy organizacyjne. Każda taka organizacja jest podporządkowana hierarchii biurokratycznej i jest przez nią kierowana i kontrolowana. Nie dopuszcza się do żadnego działania zbiorowego poza tymi organizacjami, wbudowanymi w biurokratyczną piramidę.

Ostatnią płaszczyzną egzystencji człowieka, którą system biurokracji totalnej usiłuje sobie podporządkować, jest to co człowiek myśli i czuje: ludzka świadomość. Ważnym elementem procesu podporządkowywania i kontroli świadomości mas jest przejęcie kontroli nad twórczym myśleniem jednostek. Służą temu dwa rodzaje działania:

— Tłumienie, hamowanie myślenia nonkonformistycznego, odbiegającego od wzorca stworzonego przez władze oraz zapobieganie rozpowszechnianiu produktów takiego myślenia.

— Narzucanie twórczym jednostkom kierunku myślenia zgodnego z tym wzorem.

a) Kontrola materialnych warunków egzystencji

Monopolistyczny pracodawca

— Rządząca biurokracja, i tylko ona, decyduje o możliwości zatrudnienia. Nie ma żadnej innej siły w społeczeństwie która mogłaby stworzyć i zaofiarować obywatelom miejsca pracy i możliwość utrzymania się. W ten sposób poziom życia, stopień zasobności całych regionów i całych wielkich kategorii ludności zależy od arbitralnych decyzji biurokratycznych. Od decyzji tych zależą też wielkie ruchy ludnościowe wywoływane migracjami zarobkowymi w kraju.

Władze wykorzystują pozycję monopolistycznego pracodawcy dla realizowania swoich celów politycznych, dla wywierania presji na różne kategorie społeczne. Mogą na przykład całkowicie pozbawić pewną kategorię ludzi możliwości pracy albo udostępnić jej tylko pracę najcięższą, wymagającą najniższych kwalifikacji i najgorzej opłacaną. Tak właśnie postąpiono z licznymi Żydami w roku 1968.

— Pełnej kontroli podlegają warunki pracy: jej czas, ilość zadań przydzielanych pracującym, wynagrodzenie, warunki bezpieczeństwa i higieny.

Formalnie obowiązuje czterdziestoośmiogodzinny tydzień pracy. Faktycznie zmusza się ludzi do pracy przez tyle godzin ile jest wygodnie dla pracodawcy. Wspomnijmy choćby o pracy od świtu do nocy w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, o górnictwie, gdzie przez długie lata przepracowywano pod ziemią większość niedziel w roku, o dwunastogodzinnym dniu pracy w uspołecznionej gastronomii.

Normy pracy narzuca pracodawca, operując nimi w sposób zupełnie dowolny, zgodnie ze swymi aktualnymi celami i interesami. To samo dotyczy wynagrodzenia za pracę. W najmniejszym nawet stopniu nie realizuje się zasady „każdemu wedle jego pracy”, zarobki zupełnie nie odpowiadają ani kwalifikacjom zatrudnionych ani uciążliwości pracy. Ogólna zasada, faktycznie kierująca polityką płac, każe lepiej wynagradzać pracujących w produkcji, tym lepiej im produkcja ważniejsza dla rządzących. Zgodnie z tą zasadą robotnik w stalowni zarabia parokrotnie więcej niż robotnica w fabryce włókienniczej i znacznie więcej niż lekarz w parę lat po ukończeniu sześcioletnich studiów.

Dorsz po grecku

Ilość, wybór, gatunek, cena towarów znajdujących się na rynku (co nie znaczy — zawsze, wszędzie i dla każdego dostępnych) zależą od decyzji płynących ze szczytów biurokratycznej hierarchii.

Kucharz w restauracji nie może gotować tak jak mu się podoba, czy też tak jakby sobie tego życzyli restauracyjni klienci. Każda potrawa ma swoją recepturę określającą jej składniki i sposób przyrządzenia, „receptury” opracowuje specjalny urząd państwowy. Ugotowanie czegoś co nie jest objęte recepturą równa się złamaniu prze-

pisów i grozi odpowiednimi sankcjami, nawet prokuratorskimi. „Receptury” są ogólnokrajowe i lokalne (tzw. regionalne), ale całe to zbiurokratyzowane gotowanie doprowadziło do tego, że wszystkie restauracje w całym kraju podają bardzo ograniczoną ilość zawsze tych samych i wszędzie mniej więcej jednakowo przyrządzonych potraw. Kiedyś układacz tych jadłospisów, za którymś z biur, w którymś z pokoi któregoś z ministerstw w Warszawie, wymyślił przepis na dorsza po grecku. Odpowiedni instruktor z odpowiedniego wydziału KC wziął udział w tak zwanej degustacji i zaaprobował. Od tego czasu, jak Polska długa i szeroka, w k a ż d e j knajpie w szklanej gablotce na bufecie stoją talerzyki z dorszami po grecku. A nie na przykład po szwedzku, to byłoby przestępstwo; dorsza po szwedzku nie ma w urzędowej recepturze, dorsz po szwedzku to byłoby przestępstwo, które musiałyby ścigać: MO, PIH, IKR, prokuratura i parę innych organów władzy.

Jest kilka gatunków kiełbasy o składzie i sposobie przyrządzania dokładnie określonym przez urzędowe dokumenty. Innych kiełbas nie ma, chyba że z nielegalnego uboju. (Zresztą teraz na ogół nie ma w ogóle żadnych kiełbas, więc jest to właściwie uwaga bezprzedmiotowa).

Architekci mogą projektować a budowniczowie budować mieszkania tylko w sposób ściśle określony przepisami, wydawanymi przez odpowiednie komórki urzędowe. W jednym roku przedpokój może mieć szerokość nie mniejszą niż tyle a tyle i nie większą niż tyle a tyle centymetrów i nie wolno budować balkonów, ściany mają być wielkopłytowe, na podłogach płytki PCW, a całe mieszkanie przeznaczone dla czterech osób nie może mieć więcej niż tyle i tyle metrów kwadratowych. Przepisów tych jest niesłychanie wiele i są one zdumiewająco drobiazgowo.

Kiedy w mieście buduje się nowa dzielnica mieszkalna, projekt powstaje zgodnie ze szczegółowymi przepisami, poza tym musi być jeszcze zatwierdzony na szczeblu

centralnym, przez Warszawę. I na przykład na jednym kilometrze kwadratowym musi się upchać tyle i tyle tysięcy mieszkańców; zostało to z góry, na czas dłuższy określone przez władze i obowiązuje cały kraj.

Ilość typów damskich majtek, ich fasony i kolory, materiał z którego są sporządzone przez przemysł krajowy jest również zjawiskiem regulowanym przez władze w sposób urzędowy. Nikt nie może tak, ot — sobie zabrać się do fabrykowania na przykład majtek z czarnej koronki z motylkiem w okolicach lewego pośladka. W tym celu trzeba wielu czynności urzędowych; tak wielu, że ani mi się ich nie chce opisywać ani tym bardziej czytelnikowi nie chciałoby się z nimi zapoznawać. Ostatcznym zaś, decydującym argumentem w sprawie takiej produkcji byłoby to, czy tego rodzaju majtki nie pozostają w kolizji z aktualną linią partyjną. Serio — na którymś etapie czynności urzędowych prowadzących do rzucenia na rynek nowego typu majtek partia, w osobie przedstawiciela jakiejś swojej specjalnej komórki, musiałaby się do tego zagadnienia ustosunkować. (Na obecnym etapie jest bardzo prawdopodobne, że partia uznałaby majtki z czarnej koronki z motylkiem w okolicy pośladka za niezgodne z linią, odzwierciedlające obce nam i wrogie wpływy gnijącego Zachodu. Pożądane byłyby raczej majtki narodowe w formie i socjalistyczne w treści, w kolorze nie wymagającym zbyt częstego prania, bez koronek, surowe i proste w kroju, a zamiast motylka demonstrujące jakieś zwięzłe antyrewizjonistyczne hasło).

Partia najlepszym lekarzem

Medycyna i służba zdrowia nie są wyjątkiem wśród produktów i usług wysztancowanych według wzoru stworzonego przez biurokrację. Tak jak architekt, czy majster produkcji na oddziale szynek wędzonych, lekarz jest skrępowany siecią skrupulatnych przepisów, ingerujących nie

tylko w sprawy organizacyjne szpitala czy przychodni zdrowia ale i w sprawy czysto medyczne, zawodowe.

Chory pracownik ma prawo do płatnego zwolnienia chorobowego. Mogłoby się wydawać, że obowiązkiem lekarza jest wydawanie zwolnienia lekarskiego w każdym wypadku kiedy stwierdza chorobę pracownika. Otóż nie, o tym ile zwolnień chorobowych można wydać w danym okresie decyduje biurokratyczny aparat władzy. Lekarz dostaje normę, jeśli ją przekroczy naraża się na surowe sankcje ze zwolnieniem z pracy włącznie. (Są lekarze zakładowi których premia z m n i e j s z a s i ę proporcjonalnie do ilości wydanych zwolnień chorobowych!)

Osobne przepisy decydują o ilości i rodzaju leków, jakie można podawać na oddziale szpitalnym. Obowiązują normy, jedną z nich jest ogólna wartość leków w złotych, której nie można przekraczać w danym okresie. Są lekarstwa których nie wolno zapisywać na ubezpieczalnię, choć można je zapisać prywatnie a nabyć w państwowym sklepie za dolary.

Elementarze według rozdzielnika

Władza rozstrzygając o podziale dochodu narodowego decyduje też o wielkości budżetu przeznaczanego na potrzeby szkół wszystkich typów i poziomów. Decyzje padają na szczeblu centralnym, z bardzo małym marginesem dla ingerencji lokalnych i odzwierciedlają jednolitą, aktualną politykę obraną dla tej dziedziny. To aparat biurokratyczny decyduje jaki procent młodzieży przekroczy próg między szkołą podstawową i średnią, jaki rodzaj wykształcenia średniego stanie się udziałem wybranych, ujętych w ściśle liczbowo określone kontyngenty, jaki procent młodego pokolenia dostąpi coraz trudniej osiągalnego przywileju studiów wyższych oraz ilu ma być ludzi z dyplomami lekarzy a ilu inżynierów-rolników.

Związek między tak zwanymi rzeczywistymi potrzebami kraju w tej dziedzinie a aktualną polityką rządzącej

biurokracji jest zupełnie iluzoryczny. Ostatnio na przykład ogranicza się nakłady na rozwój szkolnictwa średniego ogólnego oraz tak zwanych techników i skierowuje się coraz większy strumień młodzieży do zasadniczych szkół zawodowych, których ukończenie nie daje uprawnień do dalszego kształcenia się i wyposaża zaledwie w kwalifikacje wstępnie przeszkolonych robotników. Nie znaczy to że kraj cierpi na nadmiar ludzi z dyplomami, jest akurat odwrotnie, ale taka polityka oświatowa jest obecnie dla rządzącej grupy najwygodniejsza.

b) Kontrola zbiorowego działania

Ludzie mają skłonność do zrzeszania się i podejmowania wspólnych działań na najróżniejszych płaszczyznach i dla najrozmaitszych celów; żadna taka działalność nie może się odbywać poza polem widzenia czujnego oka rządzącej biurokracji i prowadzić w kierunku, który nie byłby przez nią wytyczony lub przynajmniej zaaprobowany. Kontroluje się pieczołowicie zrzeszenia zawodowe, organizacje młodzieżowe i kobiece, sportowe, naukowe, artystyczne, zawiązywane w celach rozrywkowych; Polska Akademia Nauk i kluby bridżowe, harcerstwo i Związek Młodzieży Socjalistycznej, Zrzeszenie Studentów Polskich i związki hodowców kanarków, stowarzyszenie architektów i związek dziennikarzy, koła emerytów i amatorów krótkofalowców, teatry amatorskie i bractwo kurkowe, cechy rzemieślnicze i chóry regionalne, automobilistów i rezerwistów, miłośników dawnej broni i barwy i wychowanków uniwersytetu, byłych kombatanów i byłych więźniów politycznych, Żydów z TSKŻ i Ukraińców, zwolenników ochrony przyrody i esperantystów, towarzystwa lekarskie i propagatorów świadomego macierzyństwa, ochotnicze straże pożarne i myśliwych.

Jak się ich kontroluje:

— Za pomocą przepisów. Każda organizacja, każde zrzeszenie musi mieć formalne zezwolenie władz, aprobu-

jące nie tylko sam fakt jej istnienia ale i statut i wszelkie inne zasady działalności. Bez takiego zezwolenia działalność jest nielegalna. Wydanie i cofnięcie zezwolenia zależy tylko od rządzącej biurokracji.

— Poprzez kontrolę materialnych podstaw działania: przydział lokalu, zezwolenie na prowadzenie działalności dochodowej (zbiórki publiczne, zabawy, prowadzenie kawiarni, produkowanie towarów, świadczenie różnych usług). Najpowszechniej stosowaną formą kontroli materialnych podstaw działania organizacji jest całkowite lub prawie całkowite uzależnienie jej od dotacji przydzielanych przez rządzący aparat i zastąpienie (lub zdublowanie) społecznych, honorowych działaczy — działaczami etatowymi, pobierającymi stałe wynagrodzenie; ich działalność w organizacji staje się zwykłą pracą na posadzie a ich zależność od aparatu władzy zupełnie taka sama jak zależność wszystkich innych urzędników i funkcjonariuszy tego aparatu.

Na zasadzie biurokratycznej instytucji prowadzonej przez funkcjonariuszy opłacanych z kasy rządzącego aparatu działają, na przykład, Zrzeszenie Młodzieży Socjalistycznej, harcerstwo, Zrzeszenie Studentów Polskich i wszelkie inne organizacje młodzieżowe, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Liga Kobiet...

— Powszechnie stosowanym sposobem kontroli jest polityka personalna, polegająca na piasowaniu na wpływowych stanowiskach w tych organizacjach ludzi którzy w swych innych rolach należą do któregoś z pięter elity władzy, lub w jakiś sposób są ściśle tej władzy podprządkowani. Często „praca społeczna” w jakiejś organizacji jest ich zadaniem partyjnym. (Zasadą w partii jest przydzielanie k a ż d e m u członkowi jakiegoś określonego, konkretnego zadania partyjnego, którego wykonanie kontroluje sekretarz podstawowej organizacji partyjnej).

Zrozumienie całego tego mechanizmu wyjaśnia dość dziwne na pozór fakty: że nagle wszyscy w całym kraju zaczynają dyskutować o tezach na piąte plenum a w nas-

tępnym tygodniu podejmują zobowiązanie na cześć czegoś tam, by z kolei „spontanicznie” potępiać oś Tel-Aviv - Bonn i wołać „syjoniści precz z obcej ziemi”, a potem zbierać makulaturę, a potem studiować niebezpieczeństwa rewizjonizmu.

Na Zachodzie organizacja społeczna to coś co powstaje zazwyczaj samorzutnie, poprzez spontaniczne zrzeszanie się ludzi, których coś łączy. W systemie biurokracji totalnej typowa organizacja to twór powstały na życzenie władzy i funkcjonujący zgodnie z rozkazami płynącymi z góry, twór w którym nie ma nic lub prawie nic autentycznego, płynącego od ludzi których nazwiska znalazły się na liście członków. Od programu działania po skład socjalny a często nazwiska członków a z zasady grupy kierowniczej, wszystko w takiej organizacji zostało zaprojektowane przy biurku partyjnego biurokraty wyższego szczebla — martwe ciało galwanizowane od czasu do czasu przez impulsy z centrali, w chwilach dogodnych dla władzy.

c) Kontrola świadomości czyli o s a c z a n i e m ó z g ó w

Próby kontrolowania świadomości mają długą i bogatą tradycję, zawiera ona wieszanie ludzi na krzyżu i salwy plutonów egzekucyjnych, stosy na których palono czarownice, uczonych, książki i obrazy — ale prawdziwy, rzecz można rewolucyjny, postęp w tym zakresie przyniosła dopiero biurokracja totalna.

I n f o r m a c j a

Informacja jest pożywką mózgu. Kto chce kontrolować mózgi musi zacząć od uchwycenia kontroli nad informacją. Na zadanie to składają się:

— Odcięcie mózgów od informacji niepożądanych przez kontrolującego;

— Nafaszerowanie mózgów informacjami pożądanymi.

Zadanie ma więc aspekt zarówno pozytywny jak i negatywny, niszczący i twórczy, wymaga blokowania, tłumienia, zagłuszania ale i przyciągania uwagi, tworzenia, rozpowszechniania.

Zadanie to wymaga też dążenia do ciągłej kontroli nad całym strumieniem informacji płynącej do wszystkich mózgów w podporządkowanym społeczeństwie.

Kontrola musi obejmować słowo pisane, mówione i obraz.

Rzeźnia informacji

Pierwszoplanową rolę w tej kontroli informacji w Polsce przydzielono instytucji cenzury, sprawowanej urzędowo i formalnie przez Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk a faktycznie także przez szereg innych ośrodków.

Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk ma swoje terenowe agencje we wszystkich miastach wojewódzkich. Przez sita tego urzędu musi przejść każda informacja, przeznaczona do rozpowszechnienia wśród publiczności, w jakiegokolwiek postaci. Oczywiście informacje filtruje się p r z e d rozpowszechnieniem. Publiczne rozpowszechnianie jakiegokolwiek informacji z pominięciem tego urzędu jest traktowane jak przestępstwo, ścigane i surowo karane. Wszelkie treści przeznaczone dla publiczności muszą mieć biurowatyczne imprimatur. Treści w każdej formie: drukowane, nadawane przez radio i telewizję, wygłaszane ze sceny i z estrady. Dotyczy to etykiet na puszki ze śledziami w pomidorach i biletów

wizytowych, artykułów w gazecie i wierszy lirycznych, programów kabaretu „Miś” i repertuaru opery warszawskiej.

W przypadku treści przekazywanych za pośrednictwem druku cenzura jest podwójna: najpierw trzeba otrzymać zezwolenie na druk a po wydrukowaniu osobne zezwolenie na rozpowszechnianie. Urząd decyduje też o wysokości nakładu i o gatunku przydzielanego papieru. Kontrola wysokości nakładu jest formą kontroli nad liczbą publiczności, do której dotrą określone informacje. Publikowanie gazet i wszelkich wydawnictw ciągłych wymaga specjalnego „przywileju” — osobnego zezwolenia cenzury na publikowanie określonego tytułu. (Posiadanie zezwolenia nie zwalnia od obowiązku poddania pod cenzurę urzędu każdego tekstu przed wydrukowaniem i powtórnie — przed przystąpieniem do rozpowszechniania). W każdej chwili można każdemu cofnąć to zezwolenie.

(Nie jest pozbawiony pikanterii fakt że urząd ten działa niemal bez oparcia o podstawy prawne. Pewien student prawa administracyjnego wybrał sobie cenzurę jako temat pracy dyplomowej i stwierdził z niejakim zaskoczeniem, że większość ingerencji cenzury to akty nielegalne w świetle praw obowiązujących w PRL. Gdyby je zaskarżono — sąd byłby w kłopotcie, bo albo musiałby odrzucić skargę pod jakimś pretekstem albo wydać wyrok uchylający decyzję cenzury).

Nad rozpowszechnianiem informacji czuwają też inne ogniwa aparatu władzy: komitety partyjne (wojewódzkie, miejskie, dzielnicowe, fabryczne) milicja, ważniejsze figury w terenowej administracji (na przykład członkowie prezydium rady narodowej). Ze szczególnym upodobaniem wtrącają się do redagowania lokalnych gazet i programów radiowych i telewizyjnych, informując co ich zdaniem jest w danej chwili tematem t a b u. (Czasem temat tabu może być po prostu szwagrem młodszego instruktora komitetu miejskiego PZPR, postawionym

przed kolegium karno-administracyjnym za pobicie współlokatorki-staruszki).

Odcinaniu mózgów od niepożądanych informacji służy nie tylko drobiazgowa i systematyczna kontrola środków masowego przekazu ale i daleko posunięta, powszechna kontrola źródeł informacji. Służą temu:

— z a s a d a t a j n o ś c i narzucona przez władze wszelkim zakładom, instytucjom, urzędom, oraz

— o b s e s j a t a j n o ś c i szerzona przez władze w społeczeństwie.

Wszystko co dzieje się w biurze, w fabryce, za jakimkolwiek szyldem jakiegokolwiek placówki państwowej czy spółdzielczej jest w zasadzie albo ściśle tajne, albo tajne albo przynajmniej poufne. (Oczywiście powstały w związku z tym dowcipy, na przykład „ściśle tajne — przed przeczytaniem spalić”). Poufne są na przykład protokoły obrad komisji radnych miejskich, zajmującej się zielenią miejską. Radni zostali „wybrani” przez ludność w powszechnych wyborach, „reprezentują” tę ludność, ale to co sobie mieli do powiedzenia na temat klombów i skwerów w mieście jest ich słodką tajemnicą. W zasadzie, bo w razie zgody przewodniczącego czy jakiegoś odpowiedzialnego urzędnika informacje te m o g ą (ale bynajmniej nie muszą) zostać udostępnione dziennikarzowi, który zrobi z nich w ł a ś c i w y użytek. (Jeśli będzie chciał je wykorzystać do publikacji krytycznej na temat nieudolności komisji to publikacja ta przejdzie przez kilka sit kontrolnych; najpierw w samej redakcji ocenią czy jest to temat „na czasie”, czy będzie dobrze widziany przez miejscowy komitet partyjny i czy nie kłóci się z wytycznymi z Biura Prasy Komitetu Centralnego, czy aby nie grozi narażeniem się komuś ważnemu, czy w jego ujęciu „właściwie rozłożono światła i cienie”, czy jest to „krytyka konstruktywna” czy — uchowaj Boże! — wyraz „czarnowidztwa” i „krytykanctwa”. A potem tekst i tak znajdzie się na biurku cenzora).

Zasada tajności wszystkiego sprowadza się do stanowiska: surowy, „goły” fakt jest (albo może być) niebezpieczny. Zanim dotrze (jeśli wolno mu dotrzeć) do zwykłego śmiertelnika powinien zostać oceniony, skomentowany, ufryzowany, uszminkowany, skastrowany, wyolbrzymiony, pomniejszony — przez osoby urzędowe, zajmujące odpowiednią pozycję.

Wpłynięciu na ludzi by przestrzegali zasady tajności służy szerzenie obsesji tajności. Robi się to przy pomocy stosownych kazań na zebraniach pracowników, nieoczekiwanych kontroli po godzinach pracy (czyje biurko nie zamknięte na klucz ten nie jest czujny i zostaje ukarany), czasem używa się prowokacji. Takie akcje dla wzmożenia tajności przeprowadzają miejscowe organizacje partyjne i związkowe, ZMS, władze nadrzędne instytucji, milicja.

Skutecznie wzmacnia obsesję tajności instytucja p r z e p u s t e k. Istnieje olbrzymia ilość urzędów, fabryk, zakładów pracy i najróżniejszych placówek, których bram strzegą biura przepustek. Przy wejściu należy się wylegitymować dowodem osobistym lub legitymacją służbową, cerber wypisuje przepustkę z godziną wejścia, przy wyjściu należy oddać przepustkę, na której osoba urzędowa z odwiedzanego biura wpisała godzinę wyjścia. Biuro przepustek mieści się w Instytucie Fizyki Jądrowej i w baraczkach dyrekcji przedsiębiorstwa instalującego kłozety miejskie.

Jedyną funkcją jaką rzeczywiście spełnia instytucja przepustek jest wzmacnianie obsesji tajności. Złodzieje przechodzą przez dziurę w płocie albo, znacznie częściej, wywożą łup z fabryki samochodem służbowym dyrekcji, szpiegdy zasięgają autorytatywnych informacji od sekretarki ministra; w każdym razie nigdy nikomu nie przeszkadzono przy pomocy przepustek kraść, sabotować, szpiegować i działać wrogo.

Wymyśla się różne rozporządzenia dla spotęgowania obsesji tajności. Na przykład: w niektórych instytucjach

przed odesłaniem starych akt i listów na makulaturę musi się je pokrajać na drobne kawałeczki. Rozporządzenie określa największą dopuszczalną wielkość tych kawałeczków, w centymetrach kwadratowych. Mogą być ewentualnie mniejsze — ale większe nie.

Obfitym źródłem informacji mogą być księgozbiory. Są dwa sposoby odcinania mózgów obywateli od niepożądanych informacji zawartych w księgozbiorach: czystki wśród książek i zakaz udostępniania książek. Co jakiś czas, gdzieś w górze powstają spisy książek skazanych na to by przestały istnieć. Spisy te oraz same akcje czystek bibliotecznych traktowane są jako ściśle tajne. Biblioteki publiczne, szkolne, zakładowe zostają oczyszczone z książek objętych czarną listą, wycofane egzemplarze posyła się jako makulaturę do zmielenia. Nad całością akcji czuwają etatowi pracownicy aparatu partyjnego, często także i władze bezpieczeństwa.

W większych bibliotekach, zwłaszcza naukowych, istnieją więzienia dla książek: dział *prohibito* w. Prohibita mogą być udostępniane tylko niektórym kategoriom czytelników i z zachowaniem określonych warunków (zaświadczenie od profesora, że książka jest potrzebna do pracy doktorskiej, itp.).

Władza nie zaniedbuje też starań by kontrolować informacje przepływające ze źródeł zagranicznych. Zagłusza się audycje radiowe w języku polskim nadawane z Zachodu. Na granicy sprawdza się i często konfiskuje druki przywiezione zza żelaznej kurtyny. Żeby powstrzymać ludzi od przekazywania sobie tego co udało się przeżyć, wzywa się podejrzanych o kolportowanie „bibuły” na przykre przesłuchania, „winnych” od czasu do czasu stawia się przed sądem i zamyka w więzieniu.

Kontrola obejmuje środki techniczne mogące służyć rozpowszechnianiu informacji: powielacze, maszyny do pisania. Powielacze są zarejestrowane i w każdej instytucji która się nimi posługuje (na przykład dla powielania wewnętrznych okólników) tylko niektóre osoby są

upoważnione do obsługi powielacza a jednocześnie odpowiadają za to, by nigdy nie był używany do celów innych niż ściśle służbowe.

W 1967 i 1968 r. Urząd Bezpieczeństwa przeprowadził na ogromną skalę akcję rejestrowania maszyn do pisania. Sporządzono kartotekę maszyn — na karcie każdej maszyny znajdują się wzory wszystkich jej czcionek.

Czasem władzom zależy na tym by do odbiorców nie dotarły tylko jakieś fragmenty tekstu przeznaczonego do rozpowszechniania. Stosuje się wtedy praktykę kastrowania tekstów, oczywiście nie informując czytelnika, że daje mu się do ręki tekst okrojony. Postępuje się tak dość często ze wznowieniami książek napisanych przed wojną, także z literaturą współczesną i z tłumaczeniami.

F a b r y k a i n f o r m a c j i

Sztuka dezinformowania osiągnęła w ciągu wielu lat wysoki stopień rozwoju. Już od dawna przestano się ograniczać do prymitywnej metody blokowania niepożądanych informacji; przy obecnym stanie środków masowego przekazu na świecie byłoby to mało skuteczne. Rozwinęła się cała gama sposobów zniekształcania rzeczywistości w oczach społeczeństwa, od subtelnych ćwierćprawd i delikatnych fałszerskich retuszy po absolutne zmyślenia do których dobudowuje się surrealistyczne systemy uzasadnień, łącząc fikcję z wyrwanymi z kontekstu autentykami.

Jak działa mechanizm fabrykowania i wtłaczania do mózgów informacji pożądanых z punktu widzenia władzy?

Inicjatywa kłamstwodawcza (zupełnie tak samo jak inicjatywa ustawodawcza) należy do partii i zasadniczo przysługuje najwyższemu jej szczeblom. Ze sztabów partyjnych płyną na kraj wytyczne co do aktualnie obowiązujących tendencji w informowaniu społeczeństwa. Wska-

zuje się pierwszoplanowe tematy i dyktuje sposób ich ujęcia. Może to być „demaskowanie neofaszystowskiego niebezpieczeństwa w NRF” albo „spisku syjonistycznego i osi Bonn - Tel-Aviv”; „intensywniejsze propagowanie sukcesów państwowych gospodarstw rolnych” albo „obiektywne wyjaśnianie przyczyn trudności (przejściowych!) na rynku mięsnym”.

Sam proces fabrykowania informacji na podstawie tych wytycznych jest zadaniem funkcjonariuszy zatrudnionych w środkach masowego przekazu — w prasie, radiu, telewizji, filmie, wydawnictwach. Na tym polega ich rzemiosło d e z i n f o r m a t o r ó w.

Od czasu do czasu, zwłaszcza w ważniejszych i bardziej drażliwych sprawach fabrykuje się poszczególne informacje i całe ich zbiory na najwyższych szczeblach partyjnych. W zbożnym dziele fabrykowania informacji wspomagają dziennikarze i innych „pracowników frontu ideologicznego” także niekiedy władze bezpieczeństwa.

W marcu 1968, w niektórych miastach gońcy miejscowych dzienników biegali z odbitkami szczotkowymi do komitetu partii a towarzysze etatowi aparaczczycy wyręczali towarzyszy redaktorów wymyślając tytuły do wiadomości i komponując własne teksty. Jednym z takich utworów wysmażonych słowo w słowo w partyjnej kuchni był rzekomy list matki do córki studentki, potępiający „studenckie ekscesy”, który kazano wydrukować wszystkim gazetom na eksponowanym miejscu.

Prasa jest wymusztrowana i zorkiestrowana w sposób idealny. Jeśli chodzi o wydarzenia zagraniczne i ważniejsze wydarzenia krajowe, wykraczające poza ściśle lokalne ramy, operuje się absolutnie kontrolowanymi, selekcjonowanymi i preparowanymi informacjami, płynącymi z jednego scentralizowanego źródła — Polskiej Agencji Prasowej, zgodnie z bardzo nieraz drobiazgowymi instrukcjami Wydziału Prasy KC partii. Inne agencje centralne dostarczają biuletynów z artykułami, komentarzami, reportażami itp. Gazety zamieszczają też materiały własne,

ale wszystko w tych materiałach podawane jest w tym samym, aktualnie obowiązującym sosie.

Aby system działał bardziej niezawodnie, na biurka redaktorów naczelnych sypią się noty z dalekopisu nadawane hurtem z Wydziału Prasy na całą Polskę, na zasadzie „wsiem, wsiem, wsiem”. Noty te zawierają polecenia zapowiadające ukazanie się w agencyjnych biuletynach odpowiednich materiałów i nakazujące ich publikację, albo obsłużenie własnymi siłami redakcji jakiegoś wydarzenia czy poruszenie nakazanych tematów.

Oprócz tego co pewien czas zwołuje się do Warszawy naczelnych i tak zwany aktyw redakcyjny, zmywa się im głowę i udziela szczegółowych instrukcji jak komentować wydarzenia w świetle aktualnej linii partyjnej. W okresach większego napięcia, jak na przykład wiosną 1968 r. naczelni redaktorzy z całej Polski znaczną część czasu spędzają w pociągach i samolotach kursujących do Warszawy.

Ktoś powiedział kiedyś, że polska gazeta to pies uwiązany na smyczy dalekopisu.

Często redakcje zmuszane są do opracowywania tzw. planów tematycznych, obracających się wokół aktualnej linii partyjnej. Plany przedstawia się do zatwierdzenia terenowym instancjom partyjnym.

Każdy instrument w tej orkiestrze gra z nut napisanych przy jednym biurku, w takt pałeczki dyrygenta, przy czym wykonawcy koncertu są w pełni świadomi że w każdej chwili pałeczka może się zamienić w pałę i z trzaskiem spaść na ich biedne główki.

Są okresy, jak wiosną 1968, kiedy migrena nie opuszcza naczelnych redaktorów. Nie wystarczy już być ślepo posłusznym, ale trzeba jeszcze nieustannie odgadywać które polecenia są ważniejsze, którym trzeba dać pierwszeństwo, które osoby są „do przodu” a które za tydzień popadną w niełaskę. Wraz z jakimś bonzą, któremu konkurent wygrzebał pradziadka z Nalewek, polecieć

może i redaktor co na pierwszej stronie zamieścić kiedyś zdjęcie strąconego dziś z piedestału.

Ogólne zasady tresury mózgu

Choćby strumień informacji płynących do mózgu był całkowicie kontrolowany i narzucał zupełnie fałszywy obraz świata, to jednak mózg jest zdolny do przeprowadzania samodzielnych operacji: do oceny prawdziwości otrzymywanych informacji, do wyciągania własnych wniosków, do tworzenia własnych uogólnień.

Kto chce kontrolować świadomość musi dążyć do kontroli myślenia.

Większość jednostek w społeczeństwie myśli w sposób konwencjonalny, operując bieżącymi stereotypami, a więc niesamodzielnie. Kto kontroluje informacje może łatwo wpływać na kształtowanie tych stereotypów; niemal każdy sąd powtórzony dostatecznie często po pewnym czasie staje się stereotypem.

Pozostają jednostki twórcze, skłonne do myślenia samodzielnego, niezależnie od konwencji i stereotypów. Biurokracja totalna wkłada wiele wysiłku, by osiągnąć kontrolę nad myśleniem tych jednostek. Cel do którego dąży polega na zmuszeniu ich do myślenia konformistycznego, myślenia świadomego granic których nie wolno przekroczyć i odruchowo, automatycznie zatrzymującego się przed tymi granicami. Granice są wyznaczane przez pewną liczbę dogmatów — sądów które należy traktować jako niepodważalne, nie nadające się do dyskusowania, niemożliwe do zakwestionowania.

Ważny jest tylko sam fakt istnienia granic — a raczej narzucenia ich twórcom i przyjęcia ich przez twórców. Treść dogmatów — słupów granicznych — jest zupełnie nieistotna. Jest nawet pożyteczne by zmieniały się od czasu do czasu, były obalane, to znów przywracane, to zastępowane innymi. Zbawienny wpływ wy-

wierają tu rażące, jaskrawe sprzeczności między nowymi a starymi dogmatami. Pożytek płynie też z pewnych sprzeczności między różnymi jednocześnie obowiązującymi dogmatami. Daje to bowiem okazję do skutecznych ćwiczeń w myśleniu konformistycznym, coraz głębiej wprasowujących w mózg pojęcie granicy poza którą kończy się moja, mego mózgu sfera działania i gdzie mogą myśleć, decydować i n n e, nieporównanie większe, potężniejsze niż ja siły, te które gdzieś w górze popychają ster totalnej biurokracji: „kolektywny rozum partii”, „obiektywne prawa historii” czy jak tam kto sobie to nazwie. Wpaja odruch nieustannego wypatrywania gdzie dziś właśnie przebiega ta granica; gotowość wyrzeczenia się terenów działania które nagle znalazły się po drugiej stronie i przeniesienia się na tereny które się świeżo otwały.

Każdy twórca (mam na myśli ludzi dla których twórczość jest zawodem) zostaje poddany próbie granicy. Nie ma od tej próby ucieczki. Kto nie pozwoli sobie przeszcześcić do mózgu pojęcia wiążącej ten mózg granicy, czyj mózg odrzuci przeszczep — ten zostaje wyrzucony na śmietnik, przestaje istnieć jako twórca.

Pozostałym pozwala się tworzyć.

Dotyczy to zarówno uczonych (z wyjątkiem niektórych specjalności, jak matematyka czy fizyka teoretyczna) jak pisarzy, poetów, malarzy, muzyków, ludzi teatru.

Treserzy w akcji

Najpierw kilka energicznych ciosów w szczękę, w brzuch i w głowę. Potem uprzejmie podana tacka z kanapkami i herbatą. Na zakończenie dobitny wykład na temat przyszłych obowiązków tak potraktowanego delikwenta. Stara, wypróbowana metoda zapewnienia sobie posłusznej współpracy, z jednakowym powodzeniem sto-

sowana przez szefów gangów i przez policję na całym świecie.

Delikwentem kolektywnym byli w tym przypadku polscy twórcy i intelektualiści w kraju. Wiosną i latem 1968 był etap bicia, dosłownie i w przenośni. Milicjanci w mundurach przyłożyli pałkami profesorom i asystentom pijącym pewnego przedpołudnia kawę w klubie prasy w Collegium Novum w Krakowie, milicjanci przebrani po cywilnemu porachowali zebra pisarzowi i artyście, Stefanowi Kisielewskiemu w Warszawie. Uderzano twórców nie tylko w głowę ale i po kieszeni. Pozwalniano z posad, wstrzymano druk utworów złożonych w redakcjach i wydawnictwach, zatrzaśnięto przed nosem okienka kas wypłacających wierszówki i honoraria. Kogo trzeba wywalono z partii, kogo popadło wyprawiono kopniakiem do Izraela.

Potem przyszła kolej na kanapki i herbatę. Sponiewieranego twórcę ujęto twardym lecz życzliwym gestem za kołnierz, podniesiono z rynsztoka, poprawiono krawat, otrzepano paltocik z nieczystości, nasadzono na głowę kapelusz. Znalazła się jedna i druga posadka, w wydawnictwie podpisano umowę, kasjer zaszeleścił nowymi pięćsetkami prosto z banku. Żona twórcy po dłuższej przerwie udała się znowu do fryzjera i na obiad podała pieczeń wieprzową z kminkiem, twórca nabył w komisie nowy wkład do długopisu Parkera, a w delikatesach dwie butelki zubrówki. Życie zaczęło wracać do normy.

W momencie kiedy na poły już zrelaksowany twórca przystępował do planów wakacyjnych, wahając się między Szozopolem w Bułgarii a Kazimierzem nad Wisłą, zagwizdano na zbiórkę.

Wykład o obowiązkach twórcy miał formę plenarnych obrad komitetu partyjnego, zorganizowanego w Krakowie, lecz noszącego niedwuznacznie charakter wydarczenia ogólnopolskiego i zaadresowanego do całego tak zwanego środowiska twórczego w kraju. Na plenum poświęcone „ideowo-wychowawczym zagadnieniom kultu-

ry” zjechała trójca ze stolicy: sekretarz KC partii, kierownik wydziału kultury KC oraz — *last a n d l e a s t* — minister kultury.

Jeśli ktoś był tak naiwny że żywił, w rok po wydarzeniach marcowych, jakiekolwiek złudzenia na temat „stabilizacji, stopniowego odprężenia, bardziej znośnych warunków”, to plenum musiało rozwiązać te złudzenia ze szczętem. Wskrzeszono najlepsze stalinowskie tradycje lat pięćdziesiątych.

Powieściopisarze i poeci, malarze i graficy, aktorzy i reżyserzy a także i przy okazji uczeni, dowiedzieli się w sposób jasny i nie mogący budzić żadnych wątpliwości czym m a być obecnie kultura w Polsce oraz c o i j a k mają oni w tej kulturze robić:

— kultura jest elementem „nadbudowy” i powinna uczestniczyć w walce ideologicznej i politycznej, prowadzonej z wrogami socjalizmu.

— kultura jest jednocześnie ulubionym orężem wroga, o czym nie należy nigdy zapominać.

„Mieliśmy fakty skoncentrowanego uderzenia przeciwnika, szczególnie obejmującego środowiska kulturalne i środowiska wyższych uczelni...”

„W tych środowiskach ulegano wpływom o wrogim zabarwieniu rewizjonistycznym, syjonistycznym, bądź też wywodzącym się wprost z inspiracji ideowo-politycznych amerykańskiego imperializmu” (sekretarz).

„Dywersja ideologiczna nie ogranicza się do sfery polityki, ideologii, filozofii, socjologii czy ekonomii, ale również oddziaływa w świecie kultury, literatury pięknej i teatru, sztuk plastycznych, kina, radia, telewizji itd.” (inny sekretarz).

„Za pośrednictwem literatury, teatru, za pośrednictwem sztuki i niektórych środków przekazu — ze strony wroga przenikają odpryski ideologii kapitalistycznej, burżuazyjnej, przeżywającej się, gnijącej kultury Zachodu...”.

— W związku z tym partia nie może się zgodzić na przenikanie do twórczości artystycznej „treści wstecznych

i antysocjalistycznych, niosących za sobą pesymizm, nihilizm i rozkład społeczeństwa”.

— Twórczość artystyczna ma reprezentować treści ideowe sprzyjające kształtowaniu socjalistycznej postawy i socjalistycznej świadomości.

Ogromnie charakterystyczne jest to, że partia z w a l n i a a b s o l u t n i e twórców od samodzielnego myślenia na temat: kto w danej chwili jest wrogiem, jaki rodzaj muzyki, sposób malowania czy dobierania metafor w wierszu jest gnijący oraz na czym aktualnie polega socjalistyczna postawa i socjalistyczna świadomość. Twórcy kultury w Polsce po prostu mają w c o d z i e n n e j s w e j d z i a ł a ł n o ś c i w c i e ł a ć w ż y c i e p r o g r a m p a r t i i. A partia już im sama wszystko co trzeba powie.

Jaki obraz wciela a jaki nie? Co w teatrze jest cacy a co be. Na czym polega zgubny klerykalizm w filharmonii. Kogo i co należy, a kogo i czego nie należy krytykować w „działalności kabaretowej”.

Nie po raz pierwszy partia wystąpiła jako najwyższy autorytet w dziedzinie poezji, malarstwa, muzyki, teatru — w myśl zasady, którą sformułował sekretarz KC na krakowskim plenum: „Pogląd, że twórczość jest dziedziną która nie poddaje się planowaniu jest niesłuszny”. (Znamienna jest konstrukcja tego zdania: zaprzeczenie zaprzeczenia; nie chodzi o wskazywanie słusznego poglądu, chodzi o zadenuncjowanie, zwalczanie poglądów niesłuszných. Zawsze ta agresja, co za dzicz!).

Jakąż to strawę duchową zaplanowali towarzysze dla swoich rodaków na tym kolejnym etapie? Otóż ma być ona zdrowa, patriotyczna i bez żadnych tam miazmatów. Jeśli o Zachodzie to tylko wieszanie psów i mieszanie z błotem. Dobrze jest na przykład w teatrze „Dallas w samo południe” pióra jakiegoś lokalnego grafomana albo „Namiestnik” Hochhutha. I w ogóle wszystko co reprezentuje „nurty postępowe”. Natomiast wystrzegać się na-

leży jak ognia modnego nowinkarstwa i produktów obcej nam, burżuazyjnej moralności i mieszczańskiej wizji świata, takich jak „Powrót do domu” Pintera, „Śmierć komiwojagera” Millera, „Pokojówki” Geneta.

Modne nowinkarstwo dotknęło też i polskich autorów, na przykład Sławomira Mrożka. Na potępienie zasługuje lansowana przez nich moda grotesek scenicznych, które niby z pozycji racjonalistycznych atakowały schematy myślowe a w rzeczywistości swoją wieloznacznością niejednokrotnie stawiały znaki zapytania nad kierunkami naszej działalności społecznej i politycznej.

Słodziuteńkie są instrukcje towarzyszy dla plastyków. Wyklina się też wszystko co ma związek z Zachodem i co może być niezrozumiałe oraz co może wydawać się dziwne. A więc: „nonsensowne przenoszenie doświadczeń krajów zachodnich (*happening*), organizowanie w Krzysztoforach wystaw, które wywołują najczęściej niezdrową atmosferę w kręgach młodzieży artystycznej i snobizującej się publiczności”. Potępia się plastyków którzy „nie ułatwiają odbiorcom zrozumienia dziwnych przedmiotów tworzonych z dziwniejszych jeszcze materiałów przy pomocy zabiegów wcale nieestetycznych”. Wyklina się hurtem „pop-art, op-art i mini-malarstwo”.

Co się twórcom zaleca? Głównie Związek Sowiecki i kraje naszego obozu, zdrowy patriotyzm (jakim były prześiąknięte na przykład rzeczy przyjęte na wystawę 25-lecia wojska polskiego) oraz świetlaną przyszłość. Filharmonia została napiętnowana, bo występuje w jej repertuarze „przewaga solistów z krajów kapitalistycznych nad muzykami z obozu socjalistycznego”. Przy okazji żrugano też filharmonię za uwzględnianie w repertuarze uroczystości i świąt kościelnych, które dają o sobie wyraźnie znać w muzyce oratoryjnej.

W teatrze należy „sięgać po dorobek krajów socjalistycznych a zwłaszcza Związku Sowieckiego”. Partyjny teatrolog ubolewa przy tym, że „nawet tak wybitne, odznaczające się wyjątkowymi walorami ideowymi pozycje

sowieckiej dramaturgii jak „Ocean” czy „Nad brzegami Newy” po kilkunastu spektaklach są zdejmowane z afisza z prawdziwą szkodą dla niedoszłych widzów”.

Literaci mają „odzwierciedlać prawdę i bogactwo życia naszego budującego socjalizm narodu i ukazywać perspektywę naszej przyszłości” (Niagary lakieru, Himalaje lakieru) oraz „pokazywać w realistyczny sposób panoramiczny obraz rzeczywistości życia społecznego w Polsce a nie tylko technologiczne opisy produkcji (nie tylko ale także, jakby z tego wynikało).

Na estradach skończyć z *big-beat*’em i innymi podobnymi zbrodniami, które „lansują obce nam treści i wywołują prymitywne odruchy”.

Wreszcie przestroga dla podejrzanych o resztki poczucia humoru. Kabarety (Jama Michalikowa lęklawie płacząca się po peryferiach rzeczywistości) oskarżono o jednostronność uprawianej krytyki, która jest kierowana „głównie pod adresem władz różnych szczebli”. (Najwyższy szczebel jaki się biedacy odważyli kiedykolwiek skrytykować to zdaje się sekretarz dzielnicowej rady narodowej w mieście powiatowym i oczywiście bez żadnego nazwiska).

Żeby sobie twórcy nie myśleli przypadkiem że to wszystko taka gadanina na wiatr, dla odfajkowania, poinformowano ich na plenum o wznowieniu działalności komisji ideologicznej przy KC partii. (Święta Inkwizycja, tyle że z telefonem).

Jednocześnie obiecano nagrody gorliwym: „... sprawie będą służyć rozmaite formy, od stypendiów, poprzez bezpośrednie inspiracje (ulubione słowo, spotykane też często w zwrocie „inspirowani przez imperialistyczny wywiad”; w ogóle oni sobie już nie potrafią wyobrazić że coś może się dzieć samo z siebie, wszystko musi być *i n s p i r o w a n e* — przez nich samych, a jak nie to przez wroga. Taki mają światopogląd.), konkursy i inne temu podobne posunięcia”.

(Zauważmy że obok wymogów natury czysto politycznej jak „Precz ze zgniłym Zachodem”, „Niech żyje Związek”, „nie wyśmiewać się z władzy”, mamy tu wymogi partii wobec artystów, które kreślą zarys partyjnego odbiorcy sztuki: wrogi mu są „nowinkarstwo, wieloznaczność, stawianie znaków zapytania, niezrozumiałość, dziwność”. Wszystko ma być kawa na łące: jak dupa to dupa, jak sałata to sałata. Wyobrażam sobie, że kiedy człowiek jaskiniowy po raz pierwszy wrył na ścianie jaskini postać zwierzęcia które upolował poprzedniego dnia, musiało się to jego towarzyszom wydać dziwne, niezrozumiałe, wieloznaczne i zakrawające na nowinkarstwo. Ale go jednak nie ukamienowali).

Oczywiście nikt w partii (poza cymbałami co z najgłębszego przekonania zwalczają „dziwność” z powodów czysto osobistych i co robiliby w każdym ustroju) nie traktuje serio tych wszystkich objawień z zakresu teorii sztuki. Nie chodzi przecież o to jak się maluje. Chodzi o to że można malować w każdy możliwy sposób, ale pod warunkiem że jest to sposób przepisany, albo przynajmniej aprobowany, przez partię a nie powstający swobodnie, na skutek nieskrępowanej wewnętrznej potrzeby. Chodzi o próbę granicy, o wdrożenie umysłu do konformistycznego myślenia, o złamanie tego co w człowieku stanowi jego ja, chodzi o akt kastracji.

Były okresy kiedy partia aprobowwała wzory paryskie i sekretarze komitetów partyjnych przecinali wstęgi na wystawach twórców dziwnych, wieloznacznych i niezrozumiałych a nawet usiłowali brylować w salonach wypowiedziami o tym jak oni osobiście te twory rozumieją. (Należał do nich minister kultury, który przyjechał na plenum firmować salwy w dziwność i niezrozumiałość). Wtedy właśnie twórcy którzy na poprzednim etapie odczuwali wewnętrzną potrzebę przedstawiania w swych dziełach krowy na pastwisku w PGR i hutników przy spuszczeniu stali, odczuli kolejną wewnętrzną potrzebę two-

rzenia dzieł abstrakcyjnych, za przykładem Paryża. Teraz czas na nowe wewnętrzne potrzeby.

Wcale nie chodzi o to j a k i e są obrazy, chodzi o to by wewnętrzna potrzeba twórcy zbiegała się dokładnie w czasie ze słowem partii. Na tym polega kontrola świadomości, sterowanie mózgów.

II

NIEKTÓRE WARUNKI POWSTANIA I UTRZYMANIA SIĘ BIUROKRACJI TOTALNEJ

Żeby zdobyć władzę trzeba było społeczeństwo obezwładnić. Żeby ją utrzymać trzeba było je przekształcić w społeczeństwie bezbronnych. A więc:

— wyeliminować konkurentów (likwidacja fizyczna, zastraszenie, przekupienie, i inne sposoby sparaliżowania i wyeliminowania z gry);

— nie dopuścić do powstania konkurencji.

System policyjny

Pierwszym warunkiem osiągnięcia tych celów było stworzenie sprawnego systemu policyjnego, stałe oliwienie go i utrzymywanie w pełnej gotowości bojowej. Gdyby ktoś chciał napisać czarną księgę UB, byłoby to dzieło o objętości wielotomowej encyklopedii. To już przecież 25 lat! A termin Urząd Bezpieczeństwa jest właściwie tylko synonimem całego rozbudowanego aparatu, obejmującego nie tylko Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z jego licznymi agendami, ale właściwie nieomal całokształt wszystkiego co jest w tym kraju w jakiś sposób zorga-

nizowane, bowiem w każdą prawie organizację została w swoim czasie wmontowana komórka policyjna.

Metody działania policji w Polsce? Wszelkie metody jakie tylko mogą przyjść człowiekowi do głowy w drugiej połowie dwudziestego wieku. Zasób doświadczeń bogaty, jest z czego czerpać. Jedynym warunkiem decydującym o wyborze metody jest jej skuteczność w określonej sytuacji.

Jeśli w 1945 i jeszcze w 1953 na porządku dziennym były tortury i egzekucje, a w latach sześćdziesiątych częstsze raczej mniej drastyczne metody, to nie dlatego że się coś w istotny sposób zmieniło w samej policji, która została taka sama i ta sama; po prostu nowa sytuacja sprawiła, że inne metody były w danym okresie najbardziej skuteczne.

Na co może liczyć w ostatecznym rachunku dyktatura ciemniaków zobaczyliśmy w całej okazałości wiosną 1968 roku. Gołędziniacy oraz „milicja robotnicza”. Rzeczywiście aktywne bojówki tej milicji robotniczej, skrzyknięte przez UB przeciw studentom, składały się z mętów społecznych zebranych w lumpenproletariackich rynsztokach i wypuszczonych z aresztów milicyjnych, z konfidentów, z geszefciarzy czarnorynkowych, którym pozwala się prosperować bo dostarczają policji potrzebnych informacji.

Trzeba było widzieć te mordy, te łapska obmacujące dziewczyny, które chciały przejść przez kordon w blokowanych ulicach. Nie byli to oczywiście znajomi z tego samego miasta, zwerbowano ich o setki kilometrów dalej, przewieziono, karmiono i opłacano ze specjalnych kredytów MSW. To byli ci którzy w jednym szeregu z gołędziniakami łamali kości studentkom pod warszawskim, czy lubelskim uniwersytetem.

Pokaz brutalnej siły odbywał się nie tylko na ulicach. W przedsiębiorstwach przemysłowych, w wielkich fabrykach, uaktywnili się mało znani lub nieznani wcale działacze, którzy siedli na karku zespołom fachowych ma-

nagerów i zaczęli im dyktować posunięcia „zgodne z aktualną linią partyjną”. (Managerowie poczuli się wyraźnie nieswojo, uświadamiając sobie, że mimo swych dyplomów i przywilejów wcale nie są niezbędni i że bardzo niepewnie siedzą w swoich wygodnych fotelach).

Przyszła późna wiosna, zakwitły bzy, budy z gołędziakami zniknęły z ulic, na uniwersytecie wstawiono rozbite szyby. Milicjanci z komendy ruchu drogowego dostali białe pasy i białe rękawiczki i zaczęli wręcz kurtuazyjnie traktować narodek. Sprężyście salutowali kierowcom, przeprowadzali przez jezdnię staruszki.

Do poturbowanych, zeszmąconych, wypłoszonych, ponizonych, partia zwróciła się z apelem: a teraz moi kochani, będziemy sobie dyskutowali o tezach na piąty zjazd, prosimy o słowa krytyki, a jakże, każdy głos zarówno partyjny jak i bezpartyjny jest dla nas ogromnie cenny i liczy się w tej naszej ogólnonarodowej wielkiej dyskusji.

Oj, jak myśmy wtedy gorliwie dyskutowali. Jak myśmy sobie główki łamali, jakie to też p o w i n n y być nasze wnioski na otwartych zebraniach partyjnych na które „zapraszano” wszystkich pracowników i w których udział był, oczywiście, „dobrowolny”. Jaką my dobrą wolę przejawialiśmy. Jak myśmy się bali milczeć na tych zebraniach: milczenie mogło być poczytywane za przejaw skrywanej niechęci syjonistyczno-rewizjonistycznej. Jak myśmy bełkotali na tych zebraniach, jak bredzili...

Nadeszła złota polska jesień. Pałkarzy z powrotem pochowano po rynsztokach. Armatki wodne odstawiono do milicyjnych garaży. Sytuacja wróciła do normy.

Właśnie, jaka też jest ta norma — ten dzień powszedni, kiedy syjoniści, rewizjoniści i wrogowie ludu wszelkiej maści siedzą w mysich dziurach i może coś tam znowu knują, ale cały naród zajęty jest jak jeden mąż budowaniem świetlanej przyszłości i nikt nie ma czasu na żadne rozróbki.

Każdy nasz dzień powszedni ma swoich aniołów-stróżów. Są to Panowie Smutni. Na koktejlach wydawanych

dla gości zagranicznych, w antraktach imprez na których wybrana publiczność krajowa miesza się z przybyszami z Zachodu poznajemy ich od pierwszego rzutu oka: smutny wyraz oczu, granatowe ubranie w prążki z wywatowanymi wysoko ramionami, w bufecie zamawiają tort i słodkie wino (widocznie rachuba nie honoruje rachunków za koniak przy tych okazjach), stoją sami, nikt do nich nie podchodzi, nikt nie zagaduje.

Myli się jednak fatalnie każdy kto zidentyfikowawszy smutnego oddał się na stosowną odległość i odzyskuje poczucie bezpieczeństwa. Dopiero tutaj, w doborowym gronie estetów, znawców najnowszej sztuki zachodniej i najmodniejszych trunków, czyhają na naiwnego prawdziwe niebezpieczeństwa.

Panowie smutni to tylko szyld który ma przypominać w s z e c h o b e c n o ś ć tej instytucji. Naprawdę wartościowe dla policji a niebezpieczne dla ludzi informacje zbierają i przekazują gdzie trzeba w s p ó ł p r a c o w n i c y, jak kameleony przystosowani do swojego środowiska, biorący udział w jego życiu i często stanowiący jego integralną część. Obecność smutnych na horyzoncie spełnia jeszcze jedną funkcję: odwraca uwagę od tych naprawdę niebezpiecznych.

UB jest zapewne w dzisiejszej Polsce najnowocześniejszą instytucją, w pełni zdaje sobie sprawę że kluczem do opanowania rzeczywistości jest i n f o r m a c j a o tej rzeczywistości. (Na wiosnę i z początkiem lata 1968 radio i telewizja polska przeżywały prawdziwy kryzys: całą masę techników powołano do pracy dla UB, kazano im podsłuchiwać i rejestrować rozmowy telefoniczne. Do dziś w Warszawie są ludzie którzy nie pozbyli się nabytego w tamtym okresie przyzwyczajenia by nie wymieniać przez telefon żadnych nazwisk, operować takimi określeniami jak „Kicia”, „Ziutek”, „kuzynka z prowincji”, a niektórzy umawiając się na spotkanie przez telefon podają termin o dwie godziny wcześniejszy, jak to było wcześniej umówione z rozmówcą).

Kartoteki prowadzone są na bieżąco, staranniejsze niż jakiegokolwiek dział księgowości w państwowych przedsiębiorstwach. (Miałam okazję przekonać się o tym kilkakrotnie).

Można sobie zadać pytanie: kto donosi?

UB ma polecenie Komitetu Centralnego by nie werbować do współpracy członków partii. W praktyce wygląda to w ten sposób że jeśli członek partii wie o tym poleceniu i stanowczo się przeciwstawia próbom zwerbowania go, to się go zostawia w spokoju. A inni?

Kto donosi? Dozorca, taksówkarz, portier hotelowy, barman, kelner, bufetowa, konduktor kolejowy, sąsiad z naprzeciwka, kolega który siedzi przy sąsiednim biurku, szef, podwładny, sekretarka, dyrektor, młodszy szwagier i urocza blondynka która sprzedaje papierosy w najbliższym kiosku. Z całą pewnością na stałej pensji są wszystkie te śliczne, młode dziewczyny, dobrze ubrane i władające językami, które wysiadują stadkami w hallach i kawiarniach lepszych hoteli gdzie lokuje się cudzoziemców.

Kto donosi? Pytanie jest źle postawione. Zadają je tylko nieorientowani goście zagraniczni. My pytamy: kto nie donosi, kto nie współpracuje? Najpierw przyjmuje się założenie że donoszą i współpracują wszyscy dookoła i do tego założenia dostosowuje się swoje poczynania narzucając sobie daleko posunięte zasady ostrożności. Potem szuka się odpowiedzi: kto w tym całym znajomym tłumie jest tym wyjątkiem który nie współpracuje i daje możliwie największe gwarancje że współpracować nie będzie? (To ostatnie też jest bardzo ważne, bo przecież istnieją donosy w s t e c z, o lata, nawet o dziesiątki lat).

Pewna pani odebrała telefon od młodej Czeszki (było to jeszcze przed bratnią interwencją), którą poznała na wyjeździe służbowym do Pragi, w ramach tak zwanej wymiany doświadczeń między bratnimi instytucjami. Umówiły się w kawiarni hotelowej. Rozmowa trwała dwadzieścia minut, gość był bardzo zajęty. Ledwie się

pożegnały i ledwie za Czeszką zamknęły się drzwi hotelowej windy, już dwu smutnych bezbarwnym głosem zaprosiło gościnną panią do samochodu i zawiozło na pięciogodzinne przesłuchanie.

Rozbicie więzi międzyludzkich

Wszelkie więzi trwale łączące ludzi w systemie biurokracji totalnej są z punktu widzenia rządzących zjawiskiem niepożądanym i niebezpiecznym, mogą stać się czynnikiem budzącym myśl o oporze i dodającym siłę do stawiania oporu, dając jednostkom oparcie i pewne poczucie bezpieczeństwa, niezależnie od urządzeń systemu. Na tej właśnie zasadzie strajk jakiejś grupy zatrudnionych, na Zachodzie, jest możliwy tylko dlatego, że strajkujący mają oparcie także w innych, szerszych grupach udzielających im poparcia ekonomicznego i moralnego.

Rozbicie wszelkich takich więzi i niedopuszczenie do warunków sprzyjających ich powstaniu było jednym z głównych celów ludzi rządzących Polską przez ostatnie dziesięciolecie. Obsesją nieustannie dręczącą władzę jest śledzenie wszelkich załączków jakiejkolwiek organizacji powstającej w sposób spontaniczny, „oddolnie”.

Zaraz po objęciu władzy zabrano się do rozpędzania na cztery wiatry organizacji które przetrwały wojnę. W niektórych przypadkach były to „wrogie” organizacje, o charakterze politycznym, ale bardzo wielka ich liczba nigdy nie miała żadnego charakteru politycznego a była traktowana przez nowe władze jako wroga lub niepożądana jedynie na skutek samego faktu jej istnienia. Co aktywniejszych członków organizacji pakowano do kryminału, często na długie lata; konfiskowano, bez żadnych podstaw prawnych, majątek organizacji — budynki, lokale, umeblowanie, sprzęt, archiwa, biblioteki. Część archiwów została uwięziona w piwnicach UB, ale zda-

rzało się bardzo często że je palono, posyłano na makulaturę albo po prostu wyrzucano na najbliższy śmietnik.

Opublikowano po wojnie w kraju książkę pod tytułem: Lista strat kultury polskiej w czasie okupacji hitlerowskiej. Ciąg dalszy tej książki, obejmujący lata 1945-1970 czeka na opracowanie. Materiał ogromnie bogaty.

Los aktywniejszych członków zrzeszenia, poddanych prześladowaniom władzy, służył jako przestroga dla reszty, która wkrótce już nie tylko nie miała najmniejszej ochoty na uprawianie działalności organizacyjnej ale wręcz bała się przyznawać że kiedykolwiek coś ją łączyło z jakąkolwiek organizacją.

Rządzący często zachowywali trochę zmieniony sztyld i uruchamiali imprezę od nowa, na nowych, podyktowanych przez siebie zasadach. W rezultacie na przykład Miejska Rada Narodowa nie ma nic wspólnego (lub w najlepszym przypadku bardzo tylko mało) z tradycyjną i rozpowszechnioną na świecie instytucją samorządu lokalnego. Nie jest ciałem reprezentującym niektóre choćby warstwy mieszkańców miasta i ich interesy, lecz agendą rządzącej partii, działającą według instrukcji góry partyjnej w kraju i tylko w jej interesie. Jej budżet jest ściśle określony przez centralę, na najwyższym piętrze hierarchii, przy czym określa się nie tylko dopuszczalną wielkość wydatków ale też, bardzo szczegółowo, sposób wydawania przydzielonych środków. Jej uchwały i inne decyzje mogą polegać tylko na wcielaniu w życie instrukcji płynących z góry. Jednostki z których się składa zostały starannie wybrane, ale nie przez miejscową ludność lecz przez wyższy szczebel urzędowej hierarchii przy współudziale miejscowych komitetów partyjnych.

Zrzeszenie zawodowe adwokatów nie broni interesów zawodu, ani nie czuwa nad tym by zawód był wykonywany *lege artis*. Jego funkcja polega na podporządkowaniu adwokatów rządzącym i na zmuszeniu ich do działania zgodnego z wolą i interesem biurokratycznej góry.

Towarzystwo naukowe nie jest wyrazem możliwości

swobodnego zrzeszania się uczonych i prowadzenia działalności zgodnej z aktualnymi wymogami danej dziedziny wiedzy, lecz urządzeniem ułatwiającym kontrolowanie uczonych, narzucanie im problematyki badawczej i kierunku myślenia.

W każdym zrzeszeniu partia, w sposób jawny lub ukryty, obsadza kluczowe pozycje, zapewnia sobie wpływ na istotne decyzje, na dogodnych pozycjach plasuje swoje oczy i uszy.

Uczestnicy życia społecznego, zdominowanego i zinfiltrowanego przez partię mają świadomość że nie są u siebie, nie są u swoich, że na płaszczyźnie działania społecznego zawsze wchodzą w styczność z nimi i że oni są zawsze w ostatecznym rachunku najsilniejsi a często też niebezpieczni dla jednostki angażującej się w działalność społeczną.

Poza progiem własnego mieszkania i mieszkań naszych najbliższych zawsze spotykamy przedstawicieli Wielkiego Brata.

Odstępstwo od tej zasady jest herezją a partia ani nie ma ochoty ani nie może sobie pozwolić na tolerowanie herezji. Gdy jakaś wspólnie działająca grupa próbuje się wyemancypować, uruchamia się kolejno wszystkie dostępne środki nacisku, od łagodnej perswazji po represje policyjne.

Naprawdę samotny tłum spotykamy dopiero w społeczeństwie zatowizowanym przez biurokrację totalną. W świecie zachodnim jednostka, która jest częścią „samotnego tłumy”, ma nieporównanie większe możliwości schronienia się przed swą samotnością, w opiekuńczych objęciach jakiejś względnie niezależnej struktury, choćby w dzielnicowym klubie samotnych. W Polsce — nie, bo struktury takie nie mogą istnieć. Wchodząc w styczność z organizacją wchodzi się automatycznie w styczność z władzą.

W tej sytuacji jednostka jest bezbronna. Albo się jest odcięty od jakichkolwiek struktur (poza bardzo ogra-

niczoną liczbą nieformalnych, jak rodzina, grupa przyjaciół) albo uczestniczy się w czymś co niezależnie od sztytu jest jedną z agend władzy.

Jest to sytuacja analogiczna do sytuacji jednostki w Niemczech hitlerowskich, opisanej przez Neumanna, gdzie istota biurokracji polegała na „... atomizacji, dążeniu do rozbicia, rozproszenia podległych warstw przez zniszczenie każdej autonomicznej grupy pośredniczącej między tymi warstwami a państwem i do stworzenia systemu autokratycznych biurokracji ingerujących we wszystkie stosunki między ludźmi”. Nie istnieją żadne bufory, żadne warstwy czy konstrukcje ochronne izolujące jednostkę od twardej pięści władzy; każdy cios trafia bezpośrednio do celu, z maksymalnym impetem, nie tracąc energii na pokonywanie warstw ochronnych.

Nie należy do wyjątków sytuacja w której wywiera się na jednostkę presję w celu zmuszenia jej do uczestniczenia w tych strukturach — w kontrolowanych przez władzę organizacjach. Taką presję, o nasileniu zmieniającym się zależnie od aktualnego okresu, wywierało się na młodzież, by wstępowała do Związku Młodzieży Polskiej czy potem Związku Młodzieży Socjalistycznej; na studentów, by nie stronili od szeregów Zrzeszenia Studentów Polskich; na wszystkich zatrudnionych, by zapisywali się do właściwych związków zawodowych, którym przydzielono ich zakłady pracy. Kiedy raz już się wstąpi do czegoś takiego, ma się narzucone przez organizację obowiązki a organizacja pilnuje swoich członków i egzekwuje wykonywanie obowiązków członkowskich.

Poprzez takie struktury w które niemal każdy jest uwikłany, wbrew czy niezależnie od swojej woli, organizuje się — na przykład — szalenie efektowne pokazy masowego entuzjazmu czy masowej nienawiści (co jest rzadsze, ale też się zdarza od czasu do czasu). Na przykład: pochody pierwszomajowe. Wiadomo, że nikt się tam nie pcha z entuzjazmu, z wewnętrznej potrzeby manifestowania zachwyty nad sukcesami budownictwa socja-

listycznego i głębokiej wdzięczności dla naszej partii i jej przywódców którzy kierują tym budownictwem. A jednak, z precyzją i regularnością przypływu morza, co roku większość, z całą pewnością więcej niż 50 procent mieszkańców miast, udaje się na trasy pochodu i poddaje się wielogodzinnej, męczącej i żenującej procedurze demonstrowania. (Oczywiście, kiedy się już znajdują w tłumie, wyzwalają się reakcje zabawowe, sporo jest w tym humoru, jest to przy tym często humor o wisielczym zabarwieniu). Jak to się dzieje? Właśnie poprzez fakt przynależności poszczególnych jednostek w tłumie do różnych takich struktur, którymi władza manipuluje jak aktorzy marionetkami w teatrze lalek. Partia, Liga Kobiet, ZMS, związek zawodowy itd. itp., działające w zakładzie pracy otrzymują odpowiednio wcześniej dokładne instrukcje od swoich wyższych instancji i według tego scenariusza rozdają role pracownikom. Ponieważ prawie każdy jest nie tylko pracownikiem ale jednocześnie uczestnikiem jakiejś kontrolowanej struktury, więc aktorów jest pod dostatkiem.

I tylko nieliczni wykręca się od niesienia transparentu, wzniesienia okrzyku w odpowiednim momencie — kiedy się przemaszerowuje przed trybuną, czy od obrzucenia kwiatkami naszego kochanego towarzysza sekretarza. (Akt obrzucania kwiatkami jest z dużą podejrzliwością kontrolowany przez samo UB, które sprawdza kto będzie rzucał i zabrania spontanicznego rzucania przez osoby nie sprawdzone i nie wytypowane). Nie będą się wykręcać, bo organizacja ma jakąś tam władzę nad jednym z wycinków ich życia: może przydzielić albo odmówić miejsca na wczasach rodzinnych, przyspieszyć albo zahamować awans w pracy, wpisać na listę kandydatów którzy w pierwszej kolejności mają dostać mieszkanie; wydać korzystną opinię starającemu się na studia i jego rodzicom; pomóc w przydziale pożądanej pracy po zdobyciu dyplomu.

W przypadku konfliktu z władzą (nie tylko z orga-

nami administracji terenowej, ale każdego konfliktu, także a raczej najczęściej i przede wszystkim konfliktu z pracodawcą) wszystkie te organizacje w które człowiek został uwikłany ustawiają się momentalnie w jednolity front przeciwko niebłagonadiożnej jednostce, spełniając zależnie od okoliczności lub od etapu konfliktu, kolejno rolę policjanta, oficera śledczego, prokuratora, sędziego i kata.

Powiązania między tymi strukturami są tej natury, że narażając się jednej, jednostka najczęściej wchodzi automatycznie w konflikt ze wszystkimi, bo obowiązuje solidarność, koordynacja, jednolitość państwowego działania. Wyrzuconego z pracy wyklucza się najczęściej ze wszystkich tych komórek i albo bierze się udział w kolektywnej akcji niszczenia go albo w najlepszym wypadku pozostawia się go samemu sobie.

Kiedy wyrzucano z pracy Żydów w 1968 roku można było zaobserwować ten mechanizm w jego czystej, klinicznej postaci. Na komendę partii wszyscy odwracali się plecami do „syjonisty”, wymierzywszy mu przedtem kopniaka. W ciągu paru minut zostawały zerwane wszelkie więzi łączące go z rozlicznymi organizacjami, szły w niepamięć wszelkie jego dla nich zasługi czy choćby tylko długoletnia karta zdyscyplinowanego członka. Rano ofiara wchodziła do biurowego budynku jako kierownik działu księgowości, aktywista zakładowego klubu sportowego, prelegent Ligi Przyjaciół Żołnierza; jednostka — wydawałoby się — głęboko wrośnięta w środowisko, połączona z nim silnymi, różnorodnymi więzami, nawiązanymi od lat na różnych płaszczyznach. Po zakończeniu godzin biurowych, po zebraniu na którym została potępiona, stawiała na chodniku przed gmachem biurowym dosłownie i w przenośni — na bruku. Bez pracy, bez środków do życia, bez najmniejszego choćby oparcia w żadnej z tych organizacji, ba — nieraz opluta przez nie w specjalnych rezolucjach. A po przyjeździe do domu przekonywała się że do akcji włączyły się władze lokalne —

dzielnicowe, przysyłając odmowę w sprawie mieszkania, które przed tygodniem zostało przydzielone (znam taki konkretny wypadek).

Naprawdę była tam tylko jedna więź a właściwie jedna zależność — linka wiążąca marionetkę z kierującym nią palcem: jednostkę z partią. Linka która zawsze mogła działać tylko w jednym kierunku. W chwili jej przecięcia opadły na ziemię wszystkie inne akcesoria i człowiek został sam.

Dezorientacja społeczeństwa

„Kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego zostanie”. I rzeczywiście. Ludzie w kraju, zaabsorbowani wyczerpującą pogonią za zdobyciem środków do życia, rozwiązywaniem tysiąca codziennych problemów w warunkach w których zdobycie dziesięciu deka kiełbasy czy miejsca w tramwaju wymaga jakichś bez mała nadludzkich wysiłków, nie mają już zbyt wiele siły i chęci do wyrabiania sobie możliwie obiektywnego, przemyślanego poglądu na to co dzieje się w świecie i w ich własnym kraju. Tym łatwiej ich mózgi padają ofiarą opisanego systemu dezinformowania, a jeśli zagraniczne źródła, przede wszystkim radio, mają jakiś wpływ, to jest to jednak wpływ który nie jest w stanie zrównoważyć nieustannego, codziennego prania mózgów aplikowanego obywatelom w szkole, na ulicy, w pracy, w radiu, telewizji, prasie, książkach, na afiszach, plakatach, transparentach.

Po doświadczeniach wojennych, po Oświęcimiu, po tym co się przeżywało na własnej skórze przez ostatnich trzydzieści lat, ogromnie łatwo uwierzyć że gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Każdy człowiek w Polsce, każda rodzina, ma w końcu po tych 25 latach j a k i e ś osiągnięcie, coś z czego się jest zadowolonym, do czego się jest przywiązany. Dwa pokoje z kuchnią na sześć osób. Telewizor. Czy nasz ojciec miał w domu telewizor? Nie miał, no właśnie.

Przekonanie ludzi o najokropniejszych rzeczach jakie dzieją się na Zachodzie nie jest znowu takie trudne, dorosli wiedzą z własnego doświadczenia, że takie rzeczy są możliwe, a młodzi z natury rzeczy skłonni są bezkrytycznie przyjmować co im się do wierzenia podaje. Dlaczego różne okropności nie miałyby się dziać w innych krajach? Poza tym ludzie potrzebują pocieszenia a świadomość że „u nas nie jest aż tak źle, gdzie indziej bywa jeszcze gorzej” pomaga przeżyć każdy trudny dzień.

Nikt oczywiście nie wierzy że w Anglii panuje powszechna nędza. Ale obraz świata, zwłaszcza obraz Zachodu, jest w głowie przeciętnego Polaka wręcz fantastyczny. Panuje przekonanie o ogromnych dysproporcjach charakteryzujących życie w krajach zachodnich, o morderczej konkurencji i niepewności jutra, o pomiataniu godnością człowieka pracy. Z jednej strony Rolls-Royce'y a w nich rozpięte gwiazdy kapiące brylantami, z drugiej tłumy bezrobotnych żebraków i bezdomni nocujący na kupach starych gazet pod mostami nad Tamizą i Sekwaną. Policja masakruje oszalałych od narkotyków studentów; w życiu mogą dać sobie radę tylko bezwzględni, o twardych łokciach, przeciętna jednostka jest wyobcowana, „wyalienowana”, osamotniona, żyje w niepewności i niepokoju, popada w zaburzenia psychiczne na skutek przewlekłej bezsenności wywołanej myślami o tym co się stanie z rodziną kiedy boss-kapitalista wpadnie w zły humor i wypędzi na bruk.

Wyjeżdżający na Zachód przedstawiciele polskiej inteligencji twórczej często z zaskoczeniem przyjmują prawdziwe znaczenie pojęcia „welfare-state”, przyjęte w goszczącym ich kraju, bowiem przyjechali w przekonaniu że znaczy to „państwo powszechnego bogactwa”, jak im to wpoił krajowy system dezinformacji. Czytelnikowi zachodniemu może się to wydać niewiarygodne, ale stwierdziłam to wielokrotnie w rozmowach z powracającymi, w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości. Jeśli dezinformacja tak skutecznie zniekształca obraz świata w

głowach tak zwanych intelektualistów, to można sobie wyobrazić, jak ten obraz przedstawia się wśród innych warstw społeczeństwa.

Kłamstwo numer jeden w które wierzy bardzo wielu Polaków w kraju, skądinąd niechętnie ustosunkowanych do ustroju, to niebezpieczeństwo niemieckie. „Gomułka, partia i Rosjanie z pewnością nie są największym szczęściem jakie nas mogło spotkać w życiu ale przynajmniej skutecznie bronią nas przed Niemcami. A Niemcy tylko czekają, by odebrać nam Wrocław, Szczecin, Gdańsk, Katowice i wypuścić nas wszystkich przez komin” — tak myślał miliony ludzi nad Wisłą a władza wydaje od lat bardzo duże pieniądze żeby umocnić ich w tym przekonaniu. W swoim czasie wydarzeniem o którym mówiło się w licznych środowiskach w całym kraju były kłamliwe (i grafomańskie) reportaże Brychta z NRF. Propaganda nadała im możliwie największy rozgłos, częstowano nas Brychtem na śniadanie, obiad i kolację. W błyskawicznym jak na polskie stosunki tempie wydano książkę z tymi reportażami, obwożono autora po całym kraju, jak gwiazdę *big-beat*’u (wtedy jeszcze *big-beat* był godziwą rozrywką). Utrzymane w historycznym tonie (NB. charakterystycznym dla goebbelsowskiej propagandy) wywody znalazły wielu chętnych słuchaczy i trzeba stwierdzić, że na ogół dawano im wiarę. W polskim partykularzu, odciętym od świata, zdeinformowanym i upupionym przez biurokratyczny gang, każdy kto mówił źle o Niemcach mógł jeszcze zdobyć pewien kredyt zaufania.

Przypomina się przy okazji historia listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. Partia zaliczyła wtedy sporo punktów na swoją korzyść w toczącej się zawsze rozgrywce z episkopatem. Chodziło o jedno słowo: „przebaczamy”. Komu — Niemcom?! Ci biskupi chyba upadli na głowę! — Taka była reakcja „szarego człowieka”, przeciętnego obywatela PRL, umiejętnie pokierowana i wzmocniona przez propagandę.

„Prasa kłamie” — pisali w ulotkach polscy studenci

w marcu, jednocześnie jednak bardzo wielu z nich wierzyło szczerze i niezachwianie i nadal wierzy w różne nieprawdy, które od lat są przewodnimi tematami propagandowego koncertu. Wołając „prasa kłamie” studenci mieli na myśli łgarstwa których doświadczyli na własnej skórze — chodziło im o to co wypisywano na ich temat. Ale większość studentów nie podejrzewa, że uporczywie eksploatowany temat niemieckiego niebezpieczeństwa może nie odpowiadać obiektywnej rzeczywistości we współczesnej Europie. Podobnie, wielka część współczesnego społeczeństwa polskiego jak najbardziej poważnie wierzy w to niebezpieczeństwo i mimo wszystko skłonna jest akceptować rozmaite łamańce propagandy, uzasadniające niemieckim niebezpieczeństwem różne poczynania rządzącej biurokracji.

Pieczęłowicie hodowany mit o Niemcach w NRF którzy z nożem w zębach czekają na okazję, żeby nas wszystkich wyrznąć, jeszcze raz wykazał swą użyteczność przy okazji napadu na Czechosłowację. Posłużył propagandzie do wytłumaczenia i usprawiedliwienia agresji i trzeba stwierdzić, że kampania propagandowa oparta na tym motywie nie zakończyła się fiaskiem. „Wysłanie czołgów do Pragi to rzecz przykra i niesmaczna, być może jednak było to konieczne — przecież oni chcieli się dogadać z Niemcami! W tej sytuacji, sam pan rozumie...” Słyszałam to przez wiele dni, w rozmowach z dziesiątkami ludzi z różnych środowisk. Mało kto dawał się nabrać na gadki o „zagrożeniu socjalizmu” i „kontrrewolucji” w Pradze i Bratysławie, ale motyw niemiecki, zręcznie wpleciony w całą aferę, niejednemu pozwolił łatwo przełknąć gorzką pigułkę.

Kto jeździ po świecie, kto sam był w NRF i rozmawiał tam z ludźmi, kto czyta prasę zagraniczną, ten wyrabia sobie własny, samodzielny pogląd. Ale ilu jest takich? A reszta?

W okresie który nastąpił po inwazji, jesienią i zimą 1968 i z początkiem 1969, udało się jeszcze bardziej

umocnić te poglądy. Propaganda wbiła wielu ludziom do głowy że — ni mniej ni więcej — interwencja była koniecznością („bardzo przykrą, oczywiście”...) bo przecież na granicy czeskiej już czekały czołgi Bundeswehry z zapalonymi silnikami.

System dezinformacji okazuje się też dość skuteczny w zniekształcaniu obrazu rzeczywistości we własnym kraju. Na ogół ludzie dobrze się orientują tylko w tym, co dotyczy ich bezpośredniego środowiska, grupy zawodowej, regionu. Całokształtu sytuacji albo nie dostrzegają albo mają na ten temat zupełnie fałszywe pojęcia. Bo i niby skąd mają się o tym dowiadywać? Z gazety?

Stale krążą różne mity o tym co dzieje się za następnym rogiem ulicy. Jednym z nich jest nieśmiertelny mit o zaopatrzeniu. Że gdzieś tam jest nieporównanie lepsze niż u nas. W Krakowie wierzy się, że Nowa Huta, oddległa od Sukiennic o siedem kilometrów, jest o wiele lepiej zaopatrzona we wszystko — że b y w a tam szynka, że są o w i e l e mniejsze kolejki, że pokazały się jakieś rewelacyjne węgierskie telewizory, jakich w samym Krakowie nigdy nie będzie. W najbliższe wolne popołudnie krakowianie pakują się do autobusu i jadą do Nowej Huty by tam ustawić się w kolejkach. W drodze powrotnej te same autobusy zabierają do Krakowa mieszkańców Nowej Huty głęboko przekonanych, że dopiero t a m, w okolicach Sukiennic, wokół Rynku, otworzy się przed nimi sezam z towarami, które nigdy nie dotrą do sklepów w Nowej Hucie.

Rozładowywanie napięć

Życie w kraju nikomu nie biegnie gładko, przeciwnie, daje okazję do powstawania i narastania różnych napięć. Na ogół nie dostrzega się lub nie docenia roli tych napięć w życiu społeczeństwa.

Warunki pracy, życia domowego, spędzania wolnego czasu, wywołują napięcia i frustracje w psychice jednostek. Życie rodzin i życie całych grup społecznych upływa pod znakiem różnych niespełnionych oczekiwań i narastających problemów, dla których nie widzi się dostępnego rozwiązania. Rośnie napięcie, potęguje się potencjał frustracji i agresji, nagromadzonych w społeczeństwie.

Ten potencjał m u s i znaleźć ujście, musi się w jakiś sposób rozładować. Inicjatorzy i przywódcy wszelkich rewolucji spekulowali na istnieniu takich potencjałów, kierując procesem rozładowywania ich poprzez łańcuchowe reakcje tłumy, skłonnego do wyrwania się spod jakiegokolwiek kontroli. Po zwycięstwie rewolucji i po objęciu władzy „przez klasę robotniczą” mamy do czynienia ze społeczeństwem, w którym powstają napięcia nie mniejsze, jeśli nie większe, niż przed rewolucją. Raz opanowany mechanizm „kontrolowanej eksplozji” okazuje się teraz ogromnie przydatny — nie dla obalenia istniejącego porządku społecznego, lecz przeciwnie — dla u m o c n i e n i a go.

Podstawowym mechanizmem przeprowadzania „kontrolowanej eksplozji” jest stara jak świat operacja posłużenia się kozłem ofiarnym.

Kiedy potencjał frustracji i agresji zbliża się do czerwonej kreski na manometrze, kiedy dalszy wzrost ciśnienia mógłby zagrozić eksplozją kotła, wtedy na sygnał dany z centrali zaczyna się operacja KO. K jak kozioł, O jak ofiarny, KO jak nokaut na ringu, innymi słowy wyróżnienie kogoś w mordę tak by się nakrył nogami i na dłuższy czas stracił przytomność. Chodzi o wyładowanie agresji w sposób nieszkodliwy lub możliwie nawet pożyteczny dla rządzącej biurokracji.

W tym celu należy wybrać stosowną ofiarę, przedstawić ją zdenerwowanej i napiętej publiczności, podjudzić, podpompować ciśnienie i wymierzyć pierwszego kopniaka. Jest to zazwyczaj nawet więcej niż potrzeba dla wywołania reakcji łańcuchowej.

Jedna z najświeższych, klasycznych operacji KO, przeprowadzonych przez władze w Polsce na skalę ogólnokrajową, została nazwana *spisek syjonistyczny*.

Wymyślenie spisku syjonistycznego w Polsce, gdzie do niedawna jeden Żyd przypadał na 1.500 Polaków (dziś chyba znacznie mniej) było pomysłem zupełnie surrealistycznym. Ten szczyt pure-nonsensu był tak groteskowy, iż mogło się wydawać że cała Polska od Tatr po Bałtyk pęknie ze śmiechu.

Śmiano się bardzo krótko. Najpierw w knajpach warszawskich goście zamawiali „agresora” a kelner bez pudła przynosił karpia po żydowsku i obowiązkową ćwiartkę „likieru strażackiego” czyli czystej z czerwoną kartką.

Zaraz potem zaczęło się polowanie na czarownice. Wtedy uśmiech zamarł na ustach. A u niektórych przekształcił się w sadystyczny uśmieszek z jakim w czasie wojny, w gettach, gestapowcy wyrwali Żydom brody.

Na pierwszych etapach operacji KO-spisek syjonistyczny, z obrzydzeniem ale i z niejakim rozbawieniem opowiadano sobie anegdoty i epizody towarzyszące wstępnym fazom pogromowej nagonki. Tak jak mądry chłop i głupi diabeł, bohaterami tych na ogół wcale nie zmyślonych historii byli dowcipny „syjonista” i ciemniak wychodzący w końcu na idiotę.

Wołają partyjnego Żyda do komitetu dzielnicowego w Warszawie: — Towarzyszu, musicie zająć jednoznaczne stanowisko. Kto waszym zdaniem jest agresorem? Odpowiedź jest raczej nieoczekiwana. Towarzysz odpala bez namysłu: Jakto, Izrael, to przecież oczywiste. — Jak to rozumiecie towarzyszu, to trzeba dokładniej wyjaśnić. — To całkiem proste. Widzicie towarzysze, to było tak samo jak getcie warszawskim w czasie wojny. Niemcy spokojnie wjechali sobie na czołgach do getta a te wstrętne parchy zaczęły do nich strzelać. (Anegdota jest zresztą autentyczna a jej bohater został, rzecz zrozumiała, wyrzucony z partii i z wszystkich posad).

Po wstępnych, sporadycznych i rozproszonych incydentach, przyszła kolej na regularną c z y s t k ę. Czystka najwcześniej zaczęła się w wojsku. Z tego okresu pochodzi tragicomiczna historia o dowódcy oficerskiej szkoły lotniczej. Na zebraniu poświęconym „agresji” podchorążowie zareagowali w sposób nie przewidziany przez dowództwo: Jak może być u nas dobrze, skoro marszałkiem jest Żyd?! Skonfundowany dowódca zasięga rady swego zastępcy do spraw polityczno-wychowawczych. — Przykra sprawa, towarzyszu, trzeba natychmiast zameldować. Dowódca wsiada do swojego MIG-a i leci do Warszawy, do Spychalskiego. Opanowany zazwyczaj starszy pan wpada tym razem w furję: Co?! Może mam lecieć do was i ściągać portki przed tymi gówniarzami?! Dzwoni po wartę: Odprowadzić generała do aresztu! Wieczorem, już w pokoju hotelowym, biedny generał z wrażenia zastrzelił się ze służbowego pistoletu. Jeszcze jedna ofiara międzynarodowego spisku syjonistycznego.

Operację „Żydzi precz z wojska” przeprowadzano w pośpiechu i z rozmachem. Hurtowo. W zamieszaniu wyleciało trochę osób, które jako żywo nie splamiły się posiadaniem choćby ułamka Semity w całym swym drzewie genealogicznym od czasów Mieszka Pierwszego. Los ten spotkał między innymi warszawskiego pułkownika, inżyniera, z dyplomem Wojskowej Akademii Technicznej, o nazwisku kończącym się na „er”. Kiedy udowodnił swą „czystość rasową” było już za późno, raz zatrzęsnięta furtka nie mogła się otworzyć.

Rozmawiałam długo z wyższym oficerem, Żydem, udekorowanym najwyższymi bojowymi odznaczeniami, który przeszedł szlak od Lenino do Berlina, był kilkakrotnie ranny a potem przez dwadzieścia trzy lata wiernie służył Polsce Ludowej, klasie robotniczej i jej awangardzie — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, by w dwudziestym czwartym roku nienagannej służby dostać kopniaka i znaleźć się poza nawiasem swojej wojskowo-partyjnej społeczności, jedynej jaką znał, rozumiał i w jakiej

potrafił egzystować. W ciągu kilku dni przyjaciele, koledzy ze służby, stare druhy od wypitki do wybitki, przestali poznawać go na ulicy i polecali żonom mówić że nie ma ich w domu, gdy przypadkiem zadzwonił.

Kiedy z nim rozmawiałam, siedział nad butelką koniaku i płakał. Powtarzał w kółko, bez końca: dlaczego? dlaczego? Nic nie rozumiał i niesposób było cokolwiek mu wytłumaczyć. — I to mnie zrobili, mnie, który krew przelewałem, który własnoręcznie darłem mikołajczykowski głosy w wyborach!

No cóż, może trzeba było nie drzeć tych głosów.

Przez dłuższy czas czystka odbywała się właściwie tylko w Warszawie. Potem ogarnęła i prowincję, obejmując po kolei coraz to nowe środowiska: prasę, radio i telewizję, film, wydawnictwa, wyższe uczelnie, instytuty naukowe, w końcu także szewskie i krawieckie spółdzielnie pracy.

Nie wyrzucano nikogo za to że jest Żydem, takie umotywowanie byłoby sprzeczne z ideologicznymi i propagandowymi konstrukcjami myślowymi. Trzeba było w każdym przypadku udowodnić że ofiara jest „syjonistą”. Nie cofano się przed żadnymi metodami.

Historia autentyczna: zebranie partyjne sędzi oskarżonego o syjonizm. Sekretarz podstawowej organizacji partyjnej przedstawia zarzuty:

1. Towarzysz jest syjonistą bo wyjeżdżał do Izraela.
2. Towarzysz jest syjonistą bo kupuje w koszernej jatce. (Była wtedy jeszcze taka jedna w Warszawie).
3. Towarzysz jest syjonistą bo wychowuje swoje dzieci w duchu syjonistycznym.

Po burzliwej i długiej dyskusji, w której odpowiednio ustosunkowywano się do obrzydliwego, przewrotnego towarzysza, wplątanego w międzynarodowy spisek syjonistyczny i niegodnego miana członka naszej partii i pracownika naszej instytucji, oddano głos oskarżonemu:

— Po pierwsze, byłem wprawdzie w Izraelu ale tylko na wakacjach i zaraz wróciłem. W jatce koszernej byłem

tylko raz; mam chorą ciotkę, lekarz polecił dawać jej cielęcinę a to było jedyne miejsce w całej Warszawie gdzie akurat mogłem dostać cielęcinę. Co do wychowywania dzieci to nie jest to całkiem ściśle ponieważ żadnych dzieci nie posiadam i nawet mam przy sobie zaświadczenie lekarskie, że nie mogę mieć dzieci.

Egzekutywa z ponurymi minami podniosła się z krzesła i oddaliła się do gabinetu na naradę. Po pięciu minutach towarzysze z egzekutywy wracają na salę i ogłaszają werdykt: wnioskujemy aby towarzysz X został wykluczony z partii za prowokacyjne milczenie w czasie zebrania. Kto głosuje za?

Jak zareagowało społeczeństwo w kraju na antysemityczną nagonkę zaaranżowaną przez rządzący gang? Reakcje były zróżnicowane w zależności od środowiska społecznego. Część grupy intelektualistów, część inteligencji w pełni solidaryzowała się z prześladowanymi, zdając sobie sprawę z absurdalności oskarżeń i świadoma groźby jaką niesie całemu krajowi to co określa się w tych kręgach jako zwyczajny faszyzm.

Pozostali dzielą się z grubsza na trzy kategorie:

— Masa obojętnych, zdolnych do jakiegokolwiek reakcji dopiero kiedy zaczną się wyłamywać drzwi w ich własnym mieszkaniu.

— Grupa tolerujących nagonkę, podatna na kłamstwa propagandy i mniej lub bardziej przychylnym okiem obserwująca polowanie na czarownice.

— Elementy aktywnie uczestniczące w polowaniu, upatrujące w nim okazję do osobistej korzyści.

Trudno przedstawić liczbowe proporcje między tymi grupami. Jedno jest pewne: solidaryzujący się z prześladowanymi byli w znikomej mniejszości, masa obojętnych była duża, stosunkowo liczna grupa akceptowała „antysyjonistyczną” argumentację propagandy. Zaskakująco często i to we wszystkich środowiskach spotykało się agresywnych łajdaków gotowych w każdej chwili krzyknąć „bij Żyda” i sięgnąć po pałkę i żyłkę.

Jechałam w tym czasie pociągiem do Warszawy. W wagonie restauracyjnym dwu podpitych osobników rozważało „kwestię żydowską”. Jeden z nich, chłopak z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka, miał nie więcej niż 19 lat. Drugi, w średnim wieku, był zawodowym sierżantem z wojskowej orkiestry. Obaj zgodni byli co do tego że syjoniści są w Polsce szalenie niebezpieczni i że trzeba jak najszybciej zrobić z nimi porządek. Najlepiej tak im obrzydzić życie w Polsce, żeby sobie wszyscy pojechali gdzie pieprz rośnie. „Żydzi do Palestyny” bełkotał sierżant zamroczony eksportowym „Żywcem”. Młodszy był w nastroju do osobistych zwierzeń: „Panie, mnie wcale nie trzeba żeby on był syjonista. Mnie wystarczy żeby on był Żyd, to ja go nienawidzę”.

Wagon restauracyjny był jak zwykle przepełniony. Obaj rozmawiali głośno, wszyscy ich słyszeli. Nikt nawet głowy nie podniósł, nikt nie zwrócił uwagi na to co się dzieje. Ot taka sobie pogaduszka przy piwku.

Jeden z mych bliskich znajomych, Żyd, wszedł do restauracji w dużym prowincjonalnym mieście i usłyszał od progu: D o T r e b l i n k i ! Nie mogło być wątpliwości pod czym adresem zostało to skierowane, zważywszy jego „niedobry” wygląd.

Człowiek który w tej chwili już nie żyje, powalony atakiem serca, przez szereg miesięcy otrzymywał anonimy w których określenie „parszywy Żyd” należało do najłagodniejszych. Żądano w anonimach żeby wyjechał z kraju, grożąc różnymi przykrościami a w końcu także i zamachem na jego życie. Był to człowiek znany, autentycznie zasłużony dla polskiej kultury, popularny w szerokich kręgach krajowej publiczności. Przy pomocy anonimów zaszczuto go na śmierć.

Akcja KO bynajmniej nie spaliła na panewce. Mechanizm jest zbyt niezawodny, wypróbowywano go przez setki lat. Nie można więc niestety powiedzieć że antysemityzm w Polsce jest udziałem tylko rządzącego gangu, izolowanego od reszty społeczeństwa. Gang dał sygnał,

rzucił hasło, wielu zaś było takich którzy gorliwie je podchwycili i zaczęli działać na własną rękę.

Szczuto bardzo intensywnie. To co pisano w prasie, mówiono w radiu i telewizji stanowiło tylko część kampanii. Wykorzystywano też wszelkie inne kanały i możliwości przekazywania kłamstw i oszczerstw. Na przykład: zwoływano rezerwistów na „jednodniowe ćwiczenia” które polegały na tym że wygłaszało się im prelekcje na temat „aktualnej sytuacji międzynarodowej”. A oto autentyczny cytat z takiej prelekcji: „W czasie okupacji jedni tylko Polacy nie zdradzali, nie współpracowali z Niemcami, wielu natomiast było zdrajców wśród mieszkających w Polsce Ukraińców, Białorusinów, Słowaków, Litwinów i Żydów”.

Duża część publiczności w Polsce dała sobie wmówić, że wszystkiemu winni są Żydzi. (Rozróżnienia między Żydem a syjonistą nikt nigdy nie traktował na serio, z wyjątkiem może partyjnych lektorów w komitetach powiatowych PZPR). Żydzi urządzili nam stalinizm, łamali nam kości w piwnicach UB; Żydzi położyli nasz handel zagraniczny biorąc łapówki od zagranicznych kontrahentów i otwierając sobie konta w bankach szwajcarskich; Żydzi są odpowiedzialni za kryzys gospodarczy, za podwyżkę cen mięsa, za brak miejsc w szkołach i uniwersytetach, za brak lekarstw w aptekach, za barbarzyńskie budownictwo mieszkaniowe, za warunki pracy w fabrykach godne dziewiętnastowiecznego kapitalizmu, za dwunastogodzinny dzień pracy w szeregu dziedzin produkcji i usług, za brak możliwości wypoczynku dla świata pracy.

Moja praczka w czasie wydarzeń marcowych oświadczyła: „Żydzi, moja kochana, coś z tym mają wspólnego, tak tu u nas mówią ludzie w dzielnicy”. W pierwszych latach powojennych słyszało się często gustowny aforyzm z ust podchmielonych rezonerów: „Przynajmniej jedno zawdzięczamy Hitlerowi — rozwiązanie problemu żydowskiego”.

Byłam jednak zdumiona i zaskoczona kiedy wśród lu-

dzi z dyplomami, lekarzy, inżynierów, ludzi starających się zresztą uczciwie przemyśleć wydarzenia i zająć własne stanowisko, natrafiałam na pokłady ignorancji w zakresie spraw społecznych.

— „Słuchaj, przecież rzeczywiście o n i s ą jednak inni. Polska jako kraj, kultura polska ma dla nich inne znaczenie niż dla nas. Poza tym przecież oni się popierają nawzajem, tworzą kliki. No i rzeczywiście, tylu ich przecież było w UB. Itd., itp.

Dyrygent orkiestry rosyjskiej goszczącej w Londynie skarży się angielskiemu koledze: Proszę pana, oskarża się nas o antysemityzm, jakże niesprawiedliwie! Niech pan popatrzy choćby na mój zespół: pierwsze skrzypce oczywiście Żyd, na harfie gra Żydówka, drzewo — czterech Żydów, itd. No i gdzie tu antysemityzm? Dajemy im każdą szansę. No, a ciekawe jak u pana. Ilu ma pan w orkiestrze Żydów? Na co Anglik: Naprawdę nie potrafię na to panu odpowiedzieć. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Wiele osób którym to opowiadałam nie było w stanie pojąć puenty.

Tymczasem nagonka przybierała na sile i zbliżała się do zenitu.

W aparacie wymiaru sprawiedliwości w Warszawie odbyło się zebranie poświęcone potępieniu i wyrzuceniu „syjonistki”, osoby zasłużonej i zajmującej wysokie stanowisko. Oskarżenia o sprzyjanie syjonizmowi trzeba było poprzeć jakimś dowodem. Konkretnie sprecyzowany zarzut brzmiał: towarzyszka nazajutrz po agresji służbowym samochodem zawiozła kwiaty do ambasady izraelskiej. Świadek: kierowca służbowego samochodu, który uprzednio podpisał odpowiednie oświadczenie.

Oskarżona zażądała konfrontacji, oświadczając, że historia jest kłamliwa od początku do końca. *Nolens volens* sprowadzono chłopca przed partyjny sąd. Panie X, czy pan mnie woził kiedykolwiek do jakiejkolwiek amba-

sady? Niech pan pomyśli, niech pan mi spojrzy w oczy i niech pan powie prawdę. Po dłuższym milczeniu padła odpowiedź: Nie przypominam już sobie dokładnie. Może to był ktoś inny...

W Łodzi rozprawiano się z „syjonistą” — naukowcem. Przed zebranymi stanęła sprzątaczką i oświadczyła stanowczo, że pan docent ją kilkakrotnie zgwałcił.

Niektórzy nie wytrzymali nerwowo; wrócił koszmar okupacyjny, wróciło wszystko o czym sądzono że skończyło się raz na zawsze. Szok był zbyt silny. Zaczęły się samobójstwa.

Rozmawiałam z ludźmi którzy „aczkolwiek mieli zastrzeżenia do tej całej hecy” to jednak oburzali się na „krzywdzące Polskę i ustrój porównania tego co dzieje się obecnie z okresem okupacji”. Argument: „Przecież jednak u nas nie bije się Żydów”.

I to nie jest prawda. Żyd w Polsce nie mógł być w tym okresie pewny swojej nietykalności cielesnej. Scen gwałtu nie widziało się na każdym rogu ulicy, to oczywiste. Faktem jest jednak że szereg osób zostało pobitych (na ulicy właśnie, nie mam na myśli aresztowanych i bitych w czasie przesłuchań). Między innymi w Warszawie pokrajano żyletkami — na przystanku tramwajowym — studentkę Żydówkę, córkę znanego dziennikarza.

Jeszcze w 1967 roku, zaraz po „agresji”, na cmentarzu żydowskim w Krakowie przewrócono i rozbito około trzydziestu nagrobków. Milicja, tak sprawna w innych okolicznościach, tym razem oczywiście nie znalazła sprawców.

Profanacja grobów została uznana za tak znakomity sposób sprawowania władzy, że w dwa lata później, w kwietniu 1969, w tym samym Krakowie przebrani po cywilnemu funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej wykonali zadanie służbowe na cmentarzu żydowskim przy ulicy Miodowej, demolując 263 nagrobki, a po kilku dniach następnych 39. Zniszczenia dokonano w sposób gruntowny i metodyczny, wyłamując marmurowe płyty z be-

tonowych podstaw i krusząc je na kawałki. Była to ciężka i żmudna praca, którą przy największym pośpiechu mogło wykonać co najmniej trzydziestu ludzi w ciągu minimum sześciu godzin, posługując się łomami i ciężkimi młotami.

Wśród rozbitych grobów znalazł się grób wiceprezydenta miasta Krakowa Saarego, zasłużonego obywatela, którego imieniem została nazwana jedna z ulic w śródmieściu, w okolicy Plant. W niedługi czas po tym wydarzeniu w Krakowie, przebrani funkcjonariusze milicji zdemolowali groby na cmentarzach żydowskich w Łodzi i Częstochowie.

Przypuszczam że autorzy kampanii propagandowej, na rozkaz biura prasy nawołujący do szczucia niedobitków polskiego Żydostwa, które ocalały w epoce pieców krematoryjnych, oszczędzali sobie nieraz trudu, kopiując żywcem materiały streicherowskiego Stuermera.

Wychodzi w Polsce tygodnik satyryczny dla pospólstwa, pod tytułem *Karuzela*. Którejś niedzieli tego lata przechodziłam koło kiosku z gazetami i zatrzymałam się jak wryta: na najbardziej widocznym miejscu eksponowano nowy numer *Karuzeli* z rysunkiem zajmującym całą okładkę: wielka dłoń z zakrzywionymi, szponiastymi palcami, mankiet koszuli ze spinką w kształcie gwiazdy Syjonu. Na dłoni stoi postać z garbatym nosem, z takimi samymi spinkami i szponiastymi palcami, dłonie wyciągnięte w górę podtrzymują całą piramidę takich postaci. Podpis: p r o t e k s j o n i z m.

W którymś z kolejnych numerów *Karuzeli* znalazł się aferzysta Kargul, przedstawiony w postaci gołej lalki do wycinania, takiej jakie dzieci lubią ubierać w różne, także wycięte z papieru, kostiumy. Naokoło był komplet kostiumów do wycinania. Największym z nich był kostium żydowskiego policjanta w getcie.

Publikacja ta zbiegła się w czasie nie tylko z procesem Kargula ale i z artykułami w gazetach, w których wspomniano o żydowskich policjantach znęcających się nad Polakami w czasie okupacji.

Mnożyły się tragedie rodzinne. Dwudziestoletni chłopak, student, aktywista warszawskiego ZSP, wychowany przez rodziców w duchu „postępowym” i patriotycznym, dowiaduje się pewnego dnia że jest obcym ideologicznie syjonistą i że jego ojciec jest Żydem co niecznie ukrywa od zakończenia wojny.

Pewna kobieta z kręgu moich przyjaciół przychodzi do mnie roztrzęsiona: Słuchaj, co robić, przecież ani mój mąż ani mój syn nie wiedzą że ja jestem Żydówka. W ciągu ostatnich dwudziestu lat sama o tym zapomniała.

Dyrektor pewnej instytucji handlowej, stary członek partii i aktywista partyjny, przyjaźni się od dziesięcioleci ze starym Żydem. Wzywają go do komitetu dzielnicowego PZPR: towarzyszu, wy macie jakieś podejrzone kontakty. Ten X który bywa u was w domu, którego wy stale odwiedzacie, z którym widuje się was w mieście jest syjonistą. Czy wy sobie zdajecie sprawę jaka w obecnym okresie winna być postawa członka partii a zwłaszcza aktywisty? To się musi skończyć i to natychmiast. Ostrzegamy was, towarzyszu.

Pewien warszawski dziennikarz spędzał urlop w Domu Dziennikarza w Kazimierzu nad Wisłą. W dzień czerwcowej „agresji”, jak co wieczór od początku wakacji, zaszedł do baru na jeden koniak. Po powrocie z urlopu został wyrzucony z pracy pod zarzutem zorganizowania libacji na cześć izraelskiego zwycięstwa.

Pomysł z syjonistami był tylko jednym z wielu pomysłów tego typu. Wzbudził donośne echa w świecie po pierwsze dlatego, że był wyjątkowo nieprzyzwoity, po drugie — był jednym z aspektów międzynarodowej sprawy Izraela, po trzecie — został przeprowadzony w skali ogólnokrajowej.

Jak daleko pamięć sięga, każdy rok w historii PRL przynosił nagonki na różne kozły ofiarne. Jest to w naszym kraju prawidłowość tak uporczywa, że każe przypuszczać, iż jest absolutnie niezbędnym warunkiem istnie-

nia systemu. Kiedy dynamicznie podnoszącą się z wojennej ruiny gospodarkę doprowadzono już po kilku latach z powrotem na skraj przepaści i wprowadzono kartki żywnościowe, dla zamydlenia oczu, odwrócenia uwagi od prawdziwych przyczyn kryzysu i skierowania agresji pozbawionych kielbasy na bezpieczniejsze dla władzy torry, wymyślono nagonkę na „spekulantów” i w ogóle na inicjatywę prywatną. Pakowano do aresztów milicyjnych i stawiano przed sądem zaharowane babiny niosące do miasta kawałek cielęciny „dla pani nizinierowej” i tłumaczono narodowi, że to przez nie trzeba wydawać kielbasę na kartki. Najciekawsze, że znajdowali się tacy, którzy w to wierzyli. Aktem mającym uzdrowić socjalistyczną gospodarkę było wyrzucenie z krakowskiego rynku kwiaciarek handlujących (czasownik ten brzmiał wówczas jak straszliwe oskarżenie) goździkami, różami, gruszkami i grochem dla gołębi.

Technika działania jest zawsze ta sama: wyodrębnia się jakąś kategorię ludności, na niej skupia się uwagę i przeciw niej skierowuje się uderzenie, wmawiając pozostałym, że to niezbędne dla ich dobra.

Przyszła kolej na „bumelantów” — tych co się spóźniają do pracy i w ogóle nie pracują dostatecznie wydajnie. Potem na „bikiniarzy” — tych co nosili wąskie spodnie i kolorowe skarpetki. Kolejna fala skierowała się przeciw kelnerom, bufetowym i całemu personelowi uspołecznionej gastronomii. Od czasu do czasu organizuje się lokalne akcje przeciw klerowi i wszelkim osobom duchownym. Kiedyś wyrzucano ze szpitali pielęgniarki-szarytki i wypisywano po gazetach jakich strasznych gwałtów dopuszczały się na sumieniu konających chorych. (Służba zdrowia do dziś nie pozbierała się po tym uderzeniu, problem braku pielęgniarek jest coraz ostrzejszy).

Władze usiłują przekonać społeczeństwo, że za każdą dziedzinę życia odpowiada wyłącznie grupa zawodowa zatrudniona w tej dziedzinie: lekarze i pielęgniarki za niedostatki służby zdrowia, załoga miejskiego przedsiębior-

stwa komunikacyjnego — za rozlatujące się autobusy i fatalne warunki komunikacji w mieście; ekspedientki, kierownicy sklepów i dyrektorzy przedsiębiorstw handlowych — za złe zaopatrzenie, itd. W rzeczywistości jest akurat odwrotnie: nikt za nic nie może odpowiadać, bo nikt nie ma swobody działania ani nie może o niczym ważnym decydować. Zarówno przydzielane zadania jak i sposoby i środki wykonania tych zadań zostają określone i przydzielone przez biurokratyczną hierarchię. Robotnik, brygadzysta, majster w fabryce mogą stawać na głowie a i tak przez pierwszych dwadzieścia dni w miesiącu nie wykonają więcej niż 15 procent swojego planu produkcji, jeśli nie dostaną w tym czasie dostatecznej ilości materiału z którego mogliby produkować, przy czym dostawa tego materiału nie zależy od nich, a bardzo często nie ma też na to wpływu dyrekcja.

Cała gospodarka, cały system zaspokajania wszelkich ludzkich potrzeb, rozłazi się w szwach, jest permanentnie zdeorganizowany i coraz to pada ofiarą albo nowego aktu radosnej twórczości jakiegoś niekompetentnego autokraty z wysokiego szczebla lokalnej lub centralnej hierarchii biurokratycznej, albo zbiegu okoliczności nad którymi nikt nie panuje i których nikt nie potrafi przewidzieć. Pozostaje więc cała masa potrzeb nigdy nie zaspokajanych albo zaspokajanych tylko częściowo, w sposób dorywczy.

Partia, rzecz prosta, zjadła wszystkie rozumy, jest mądrością narodu, jego opatrnością i n i g d y nie robi błędów (czasem okazuje się że błędy były popełniane, na najwyższych nawet szczeblach władzy, ale i tak nie są to wcale błędy partii lecz skutki działania wroga, który się wśliznął i brudził, zazwyczaj w zмовie z jakimiś ośrodkami zagranicznymi i wysoce imperialistycznymi, na przykład z osią Berlin - Tel-Aviv, która poprzez swych agentów w ministerstwie handlu zagranicznego podstępnie sprawiła, że nie można było kupić w sklepie cytryn). Jeśli coś n i e w y c h o d z i (a zazwyczaj nie wychodzi) to dlatego że jakaś grupa ciemnych albo podburzo-

nych obywateli zmarnowała cenną inicjatywę partii, nie wykorzystwała znakomitych narzędzi dostarczonych przez partię, coś tam zaniedbała, nie dopatrzyła, albo się nie postarała tak jak trzeba. Albo postawiła swój osobisty interes ponad interesem narodu i partii i w ogóle zadziały w tym przypadku przeżytki burżuazyjnej świadomości a może nawet i wpływy wrogiej propagandy rozsiewanej przez szczekaczki i agentów. Wobec tego trzeba tych ludzi przywołać do porządku, dać im dobrą lekcję właściwego wykonywania obowiązków, czyli — przeprowadzić kolejne polowanie na czarownice, z nagonką. Nazywa się to w oficjalnym języku u z d r a w i a n i e.

Pani domu dyktuje służącej co ma być na obiad, w jakim sklepie należy kupić potrzebne produkty, potem stoi jej nad głową i komenderuje co, w jakiej kolejności i w jakich ilościach ma być włożone do garnka i jak długo ma się gotować, a potem kiedy obiad nie nadaje się do zjedzenia — wali kucharkę patelnią po głowie. I oświadcza domownikom: z n o w u ta idiotka wszystko zepsuła, a przecież m ó w i ł a m jej co ma zrobić. Dokładnie ta sama sytuacja ma miejsce w Polsce.

Z tą drobną różnicą, że jeśli kucharce się to znudzi to może sobie poszukać innego pracodawcy a domownicy mogą zawsze przenieść się na obiady do najbliższej knajpy, a w Polsce jest dziś możliwy tylko jeden szef, jeden pracodawca i jeden jedyny kocioł na zupę. Jak komuś nie smakuje to może nie jeść zupki. Jak się bardzo sfrustruje to pani pozwala wychłostać kucharkę, pożywić się tym człowiek nie pożywi, ale zawsze to jakąś ulgę przyniesie i dostarczy urozmaicenia.

Wywołuje się i podtrzymuje nieufność, podejrzliwość, niechęć jednych kategorii społecznych wobec drugich, co raz to denuncjując jakąś grupę wobec opinii publicznej i poddając ją szykanom. W 1967 (nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni) była moda na lekarzy. Był to okres kiedy niedostatki służby zdrowia w kraju dawały się we znaki dotkliwiej niż zazwyczaj. Budżety szpitali

i innych placówek poddano dotkliwym cięciom, zapowiedane od lat inwestycje albo nie zostały na czas wykonane albo skreślono je z planów resortu.

Kto winien? Jasne, lekarze. Myślą nie o pacjentach ale o tym żeby sobie kupić samochód. Biorą łapówki. Nie troszczą się o zwyczajnych pacjentów tylko o swoich protegowanych. Źle leczą.

Zaaranżowano w jednym z miast proces lekarza oskarżając go o to, że odmówił udzielenia pomocy na skutek czego chora zmarła. Proces wykazał bepodstawność zarzutów, jeśli chora ucierpiała to na skutek złej, zbiurokratyzowanej organizacji służby zdrowia i absolutnego braku proporcji między środkami oddanymi lekarzom do dyspozycji a ich zadaniami w dziedzinie ratowania życia i zdrowia ludzkiego. Jeśli cokolwiek można było lekarzowi zarzucić to najwyżej jakieś drobne niedopatrzenie, jakich dziesiątki zdarzają się (bo muszą się zdarzać w takich warunkach) codziennie w każdym szpitalu w Polsce. Nic nie usprawiedliwiało ani nie uzasadniało wyroku wydanego przez sąd karny a p o d y k t o w a n e g o przez komitet wojewódzki partii. Cała afera była przez długi czas eksploatowana przez prasę i ani lekarz ani całe środowisko lekarskie nie mieli żadnej możliwości obiektywnego przedstawienia sytuacji — ani w tej jednej sprawie ani w sprawie powodzi zarzutów dotyczących pracy lekarzy w ogóle. (Zresztą rzecz charakterystyczna — środowisko lekarskie najpierw bardzo niemrawo broniło upatrzonej ofiary, potem szybko umyło ręce, a jego formalni przedstawiciele dali w końcu konstراسygnatę partii i działającemu z jej polecenia sądowi i prokuratorowi. W „Wehikule czasu” Wellsa mamy taką wizję przerażającej przyszłości, w której ludzie podziemni hodują mieszkańców powierzchni ziemi tak jak my dziś hodujemy bydło na rzeź. Wśród mieszkańców powierzchni ziemi zanikły wszelkie zbiorowe reakcje obronne i wszelka solidarność; kiedy w czasie kąpieli ktoś dostanie się na głęboką wodę nikt nie zwraca na niego uwagi i nie udziela pomocy,

choćby wystarczyło wyciągnąć ku niemu rękę by mu uratować życie).

Skazany lekarz, człowiek młody i zdolny, stał się człowiekiem skończonym, przynajmniej na długie lata, ale oczywiście niezasłużonym losem jednostki dawno przestano się w tym kraju przejmować. Jego los stał się nową przestrogą dla jego kolegów i dla całego środowiska lekarskiego w mieście i w kraju. Przypominał dobitnie k t o tu rządzi i o wszystkim decyduje. Poza tym umocnił lekarzy w postawie klasycznego r y t u a l i z m u — dążenia do tego by w swojej pracy być przede wszystkim w zgodzie z przepisami, bo jest to najpewniejszy sposób bronięcia własnej skóry.

Na solidarność środowiska nie ma co liczyć. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Pozostaje litera przepisów — jeśli się udowodni, że było się z nimi w zgodzie to można się nie przejmować tym co dzieje się z chorymi. Taka postawa godzi w interes chorych, w interes grupy zawodowej, w interes całego społeczeństwa. Natomiast jest korzystna dla grupy rządzącej bo zwiększa konformizm i uległość grupy zawodowej i przyczynia się w ten sposób pośrednio do umocnienia władzy.

Dalsze następstwa tej afery to:

— odwrócenie uwagi opinii w mieście od prawdziwych przyczyn kryzysu w służbie zdrowia,

— spowodowanie częściowego spadku napięcia, wywoływanego przez ten kryzys, poprzez dramatyczny akt publicznego całopalenia ofiary.

Produkt uboczny: znaczne pogorszenie stosunku pacjent-lekarz w większości placówek służby zdrowia w mieście, na skutek spadku zaufania wielu pacjentów do swoich lekarzy. Rozmawiałam w tym czasie z wieloma lekarzami, wszyscy byli pod tym względem jednomyślni. Zdarzali się w tym okresie pacjenci szpitalni odmawiający zażywania leków, motywując swoje bunty sprawozdaniami z procesu lekarza: — Nie chcę żebyście mnie tu otruli.

Rezultat końcowy: jeszcze większe obniżenie poziomu usług świadczonych społeczeństwu przez służbę zdrowia.

Od początku swego istnienia system jest zajęty tropieniem i denuncjowaniem „wrogów”. Są wśród nas! To przekonanie usiłuje się wpoić nowym pokoleniom. W Związku Młodzieży Polskiej, w latach pięćdziesiątych, urządzało się całonocne zebrania osiemnastolatków poświęcane oskarżaniu i wyrzucaniu z organizacji, ze studiów, z pracy — kolegów i przyjaciół. Była na to niepisana ale ściśle przestrzegana norma odstrzału. Jak na jakimś wydziale wróg nie chciał się jakoś ujawnić i tkwił uparcie w swojej konformistycznej masce, to urządzało się prowokację, żeby kogoś „zdemaskować” w końcu. Na jednym z takich zebrań oskarżono studenta o „uleganie fideizmowi”. Tak się złożyło, że był to człowiek daleki od religii, całkowicie nie praktykujący i nie wierzący, o poglądach skrajnie materialistycznych. Dowodem jego „fideizmu” było zeznanie-donos, że w jego pokoju nad łóżkiem wisi obrazek Matki Boskiej. Rzeczywiście, wisiał. Biedak wynajmował sublokatorski pokój w jakiejś mieszczańskiej rodzinie, w którym spędzał noce, resztę czasu przebywając poza domem, a że był ogromnie roztargniony i zajęty studiami i pracą społeczną, nie zwracał najmniejszej uwagi na urządzenie pokoju i nawet nie zauważył co przedstawia obrazek wiszący nad łóżkiem (od kilkudziesięciu lat). Zauważył przyjaciel a zarazem konkurent w staraniach na wyższy stopień studiów, gdzie liczba przyjęć była ograniczona. Swoją prywatny cel osiągnął, jego przyjęto, fideisty — nie. Dziś nosi tytuł naukowy, para się filozofią i jest wychowawcą młodzieży.

Przez pewien czas zwykło się uważać że tego rodzaju historie to „cienie bezpowrotnej przeszłości”, wspomnienia z „okresu błędów i wypaczeń”, reminiscencje z czasu choroby, którą partia (oczywiście!) skutecznie wyleczyła. Naiwnych którzy w to wierzyli było wielu.

Przyszły lata sześćdziesiąte i pojawił się nowy wróg

— syjonista! Z dnia na dzień, w sposób szokujący i nawet dość zadziwiający, odżyły wszystkie agresywne odruchy i nawyki, schowane — widocznie tuż pod powierzchnią — przez kilka poprzednich lat. Odżył nawet ten sam język, z tymi samymi zwrotami i przenośniami! Ten moment odrodzenia można było uchwycić z dokładnością do dni, przypadał na koniec zimy 1968. Któregoś dnia ukazały się gazety operujące słowami i pojęciami, jakich nie było w numerze wczorajszym, a po paru dniach składały się już niemal wyłącznie z tych słów.

Nowe pokolenie osiemnastolatków doczekało się swojej kolejki. Opowiadała mi znajoma studentka któregoś z niższych lat psychologii na uniwersytecie: o k a z a ł o s i ę że na naszym roku jest jedna Żydówka. — Jak to s i ę o k a z a ł o ? — No jakoś tak, może już przedtem ktoś wiedział, ale się na to zupełnie nie zwracało uwagi. — No i co? — Ja chciałabym się z nią zaprzyjaźnić. Zapraszam ją na kawę. — A inni? — Jest jeszcze jedna dziewczyna która wyraźnie chce się do niej zbliżyć. Ale inni nie siadają koło niej. Niektórzy starają się jej nie zauważać.

Obok syjonisty poczesne miejsce zajął rewizjonista. Można teraz powiedzieć, że profesor w swych wykładach przejawia rewizjonistyczne tendencje. Albo że książka którą kolega wypożyczył z biblioteki uniwersyteckiej naświetla zagadnienia w sposób rewizjonistyczny. Można zaatakować kogoś w gazecie przylepiając mu etykietę rewizjonisty. R o b i s i ę takie rzeczy, czasem z inicjatywy jakiejś instancji partyjnej, czasem na własny rachunek, przy aprobującym milczeniu partii.

W latach pięćdziesiątych wykańczało się ludzi z pozycji marksistowskich. Dzisiaj zwykło się to robić raczej z pozycji patriotycznych. W całej tej zabawie pozycje, etykiety, argumenty są całkowicie dowolne, czysto abstrakcyjne i surrealistyczne zgoła. Rzeczywisty jest tylko konkretny, zawsze ten sam mechanizm — dziel i rządź. Na kogo wypadnie — na tego bęc. (Skoro wypadło — to

widocznie tak już musi być, nie ma od tego odwołania).

Jeszcze w ZMP wyrzucano pewnego członka organizacji na podstawie długiej listy oskarżeń obejmującej najrozmaitsze wyssane z palca zarzuty — od drobnych kradzieży po uleganie obcej ideologii, nie pomijając pijaństwa i rozpusty. Oskarżony bronił się, że przecież żaden z tych zarzutów nie został w najmniejszym stopniu udowodniony, że wszystkie są zupełnie gołosłowne. Oskarżyciel występując w imieniu organizacji tak to podsumował: kolega X wykazał zupełny brak zrozumienia dla zasady krytyki i samokrytyki, jest to dowodem niedojrzałości ideologicznej i dlatego należy go wykluczyć z naszej organizacji. O pierwotnych zarzutach już nie było mowy: jeśli się przyznasz że ukradłeś zegarek, to cię wyrzucimy za kradzież zegarka. Jeśli się nie przyznasz — to cię wyrzucimy za to, że nie chcesz przeprowadzić samokrytyki.

III

NIEKTÓRE NASTĘPSTWA BIUROKRACJI TOTALNEJ

Deformacja osobowości

Człowiek w dzisiejszej Polsce znajduje się stale pod presją szeregu czynników wyciskających głębokie piętno na jego osobowości i deformujących tę osobowość. Jednym z nich jest lęk który tworzy stałą komponentę osobowości przeciętnego obywatela. Często bywa to tylko nieświadomiony niepokój, lecz często mamy do czynienia z długotrwałymi, słabnącymi czasem lecz nigdy nie ustępującymi całkowicie stanami panicznego przerażenia. W obu skrajnych wypadkach lęk ten jest czynnikiem prowadzącym często do głębokich, czasem może już nieodwracalnych zmian osobowości u niezliczonych ludzi w tym kraju.

L ę k

Lęki są różne; w zależności od sytuacji społecznej, etapu życia, przynależności do określonej kategorii społecznej to ten to ów wysuwa się na pierwszy plan. Jednym z lęków uniwersalnych, wspólnych ogromnej większości obywateli jest l ę k p r z e d w ł a d z ą i p r z e d

jej miażdżącą, niczym nie skrępowaną siłą, zdolną do starcia jednostki na proszek; przed tajnością jej działania i przed swoją własną niewiedzą o prawdziwych mechanizmach jej działania; przed jej kapryśną naturą uniemożliwiającą przewidzenie jej reakcji; przed jej długim ramieniem zdolnym osiągnąć człowieka wszędzie i wszędzie czyhającym.

Jednym z bardziej przygnębiających elementów naszej rzeczywistości jest to co dzieje się przy okazji bezpośrednich styczności obywatela z władzą. Na przykład dla przeciętnego mieszkańca dzielnicy robotniczej władzę uosabia najczęściej milicjant z najbliższej komendy dzielnicowej MO, kierownik administracji budynków mieszkalnych, kierownik dzielnicowego kwaterunku, albo któryś z jego zastępców, słowem jakaś szara postać z najniższych szczebli hierarchii biurokratycznej. Ale że jest to biurokracja monopolistyczna, że jej władza jest potężna i ma długie ręce — każdy sprawujący najmniejszą jej część czuje się wydzwignięty na niebotyczne wyżyny ponad rządzonych, każdy rządzony — bezsilny i zagrożony w obliczu władzy, nawet jeśli to jest nieogolone oblicze ćwierćinteligenta ponad brudnym kołnierzykiem, należące do osobnika zaszeregowanego na liście etatów za ledwie parę stopni wyżej od sprzątaczkę biurową.

Milicjant do człowieka na ławce w publicznym parku:

— Czegu tu siedzicie?

— Czekam na kogoś...

— Nie wiecie że o ósmej zamykają i nie wolno przebywać?

— Ale jest dopiero za piętnaście ósma.

— Cooooo? Chcecie ze mną dyskutować? Ano, покаżcie dowód osobisty.

— Nie mam przy sobie, zostawiłem w marynarce w przedpokoju.

— To wy nie wiecie, że dowód należy nosić przy sobie? Na to wam go państwo wydało. Imię, nazwisko, data urodzenia, miejsce zamieszkania!

— Mieszkam po przeciwnej stronie ulicy na pierwszym piętrze, o, widzi pan, to oświetlone okno. Możemy pójść, pokażę panu dowód.

— Chcecie mnie prowadzić na spacer? Ano chodźcie ze mną na komisariat w celu sprawdzenia tożsamości. My już tam wszystko wyjaśnimy.

Na komisariacie zapisują Bogu ducha winnego amatora świeżego powietrza do księgi zatrzymanych, odbierają pasek, sznurowadła i okulary i zamykają w śmierdzącej piwnicy w towarzystwie mętów społecznych i drobniejszych przestępców, przyłapanych na gorącym uczynku włamywania się na cudzy strych albo znikania z narożnego baru przed uiszczeniem rachunku za cztery duże piwa i kotlet schabowy.

Jeśli nasz bohater jest człowiekiem wyjątkowo naiwnym to będzie się awanturował na komisariacie, dowodził że dzieje mu się krzywda itd. Wtedy oprócz sznurowadeł odbiorą mu też papierosy i zapalki, przetrzymają nie 24 lecz 48 godzin a do talerza zupy w południe następnego dnia nie podadzą łyżki. Jako człowiek doświadczony będzie się zachowywał potulnie, zasłuży na kubek czarnej kawy zbożowej jeszcze tego samego wieczora i być może, jeśli zastępca komendanta będzie w dobrym humorze, zje następnego dnia obiad we własnym domu.

W myśl obowiązujących u nas przepisów milicja może zatrzymać k a ż d e g o na czas do 48 godzin i dopiero potem potrzebna jest sankcja prokuratorska. Toteż nie żałują sobie i zatrzymują. Teoretycznie obywatel może się żalić potem do władz wyższych, ale nikt doświadczony i posiadający zrównoważone usposobienie tego nie robi. Nie opłaca się.

Opisana tu historia przydarzyła się nie tak dawno mojemu bliskiemu znajomemu, skromnemu człowiekowi w średnim wieku, nie pijącemu, nie karanemu, żonatemu, ojcu dwojga dzieci.

Co innego masowe masakry organizowane z inicjatywy władz wyższych, takie jak w marcu 1968 w miastach

uniwersyteckich, czy jak kilka lat temu w Nowej Hucie z okazji sporu ludności z administracją w sprawie zakazu budowy kościoła, a co innego „drobne”, oddolne przejawy brutalności, chamstwa i sadyzmu, na jakie wobec poszczególnych jednostek pozwalają sobie bezkarnie funkcjonariusze najniższych szczebli. Tymi pierwszymi częstuje się nas od wielkiego dzwonu. Te drugie grożą nam każdego dnia i o każdej porze.

Sprawa brutalnie potraktowanego przez milicję profesora uniwersytetu, chorego na serce, któremu zrobiło się słabo na ulicy. Oparł się o ścianę.

— Chodźcie dziadku z nami do Matysiaków, wypiliście za dużo przy niedzieli.

Odstawili starszego pana do izby wytrzeźwień poturbowanego i ledwie żywego. Ponieważ miał jeszcze dość siły, by protestować kiedy go wieziono milicyjną suką „do Matysiaków”, dwa draby ułożyły go na podłodze okratowanego samochodu i usiadły mu na plecach. Droga prowadziła po kocich łbach.

W podgórskiej okolicy obrońca porządku w mundurze MO zastrzelił głuchego chłopą jadącego na rowerze. Chłop nie reagował na wezwania do zatrzymania się, milicjant wobec tego zaczął strzelać.

Każde miasto wojewódzkie czy powiatowe ma całą kronikę tego rodzaju „przykrych incydentów” które wydarzyły się w okolicy w ostatnich latach. Władze z zasady tuszują każdy taki wypadek, jest to w końcu w ich oczach uchybienie wynikające z nadmiernej gorliwości w pełnieniu obowiązków służbowych, rzecz błaha w porównaniu z opieszałością. Karanie gorliwych, oddawanie ich pod sąd, miałoby fatalny wpływ na innych funkcjonariuszy.

Wszystko to jest zresztą całkiem rozsądne. W końcowym efekcie obywatel boi się władzy. A taka bojaźń jest u nas uczuciem ogromnie państwowotwórczym.

Szczególną postacią lęku przed władzą jest dziś w Polsce lęk przed urzędem. (Nikt normalny, na

całym świecie, nie traktuje załatwiania spraw w urzędach jako przyjemności, to prawda).

Z biurokratycznymi przepisami wiąże się bezosobowość stosunków między ludźmi która może mieć następstwa dysfunkcjonalne dla klientów, stron, wchodzących w styczność z urzędem. Organizacja biurokratyczna załatwia stereotypowe sprawy według równie stereotypowych wzorów (co jest oczywiście warunkiem sprawności jej działania). Może się jednak zdarzyć, że określony przypadek jakiegoś klienta jest na tyle wyjątkowy, lub organizacja jest na tyle niedostosowana do swojego otoczenia, że przypadek ten nie znajduje odpowiedniej kompetencji w wyspecjalizowanej strukturze biurokratycznej. Zaspokojenie potrzeby klienta natrafia wtedy na duże opory i w końcu potrzeba może pozostać nie zaspokojona. (Jest to jednak sytuacja raczej wyjątkowa, choć w Polsce o wiele częstsza niż tam gdzie klient ma do czynienia z biurkami i monopolistycznymi).

O wiele częstsza jest dysfunkcja polegająca na samej reakcji klienta traktowanego jako jednostka typowa dla pewnej kategorii, podczas gdy czuje się on i jest w gruncie rzeczy niepowtarzalną indywidualnością. To następstwo biurokracji można określić jako alienację klienta, wyobcowanie go z systemu który ma służyć zaspokojeniu jego potrzeb. Klient w takiej sytuacji ma uczucie że ustawicznie bierze się go za kogoś innego i że nawet jeśli uda mu się uzyskać jakieś świadczenia od organizacji to nie są one tym o co naprawdę mu chodzi i że lepiej nadawałyby się dla zaspokojenia czyichś innych potrzeb. Zresztą w praktyce urzędowej w PRL takie sytuacje trafiają się na porządku dziennym, nie tylko w odczuciach petentów ale i w obiektywnej postaci — kiedy inwalida dostaje przydział mieszkania na piętrze a nie na parterze, kiedy rekrutowi przydziela się za długie spodnie, kiedy kandydata z braku miejsc kieruje się na politechnikę zamiast na historię sztuki.

Interesujące światło na lęk przed urzędem w Polsce

mogą rzucić badania empiryczne przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych przez Gouldnera. Dążył on do określenia co składa się na subiektywne odczucie biurokracyjnych dysfunkcji, na czym polega biurokracja w potocznym, negatywnym ujęciu, rozumiana jako „problem społeczny” przez liczne rzesze laików. Respondenci najczęściej krytykowali biurokrację posługując się kategoriami sprawności, wydajności i określali biurokrację jako zespół cech zbędnych, do niczego niepotrzebnych.

— Za zbędne a dotkliwe dla siebie uznawali naruszanie przez biurokrację prywatnej sfery swego życia. Przykre i dotkliwe było to, że nie przyjmowano w dobrej wierze ich żądań, wymagań, do których czuli się uprawnieni; biurokraci domagali się od nich dostarczenia dowodów albo poddania się dochodzeniom. Klient czuł się, jak to określał jeden z respondentów, „jak przestępca”, odnosił wrażenie, że kwestionuje się jego wartość i jego status.

— W wypadkach kiedy klienci podejrzewali że stosuje się przywileje wyłączające niektórych z podporządkowywania się biurokratycznej rutynie, traktowali tę rutynę jako zaprzeczenie zasady równości.

— Oskarżając biurokrację klienci dawali wyraz uczuciom bezradności wobec systemu biurokratycznego, niemożności dotarcia do ludzi którzy rzeczywiście mają władze lub niemożności dotarcia do nich dostatecznie szybko i łatwo.

— Niektórzy klienci, skłonni do podejrzliwości, traktowali biurokrację jako wyraz skierowanej przeciw nim, celowej złośliwości.

— W przykry sposób odczuwali też że ich doświadczenia w stycznościach z biurokracją były mętne i nonsensowne. Gouldner posługuje się tu wprowadzonym przez Mannheim'a pojęciem „przedmiotowej racjonalności”, polegającej na „inteligentnym rozeznaniu w związkach między wydarzeniami w danej sytuacji”. Brak tego rozeznania wyraźnie dawał się we znaki respondentom.

Jest rzeczą godną uwagi, że za najmniej biurokratyczne w tym ujęciu uznawali respondenci prywatne stowarzyszenia nie nastawione na zysk, w których panowały w pewnym stopniu także nieformalne, osobiste stosunki między ludźmi.

Gouldner kończy sprawozdanie ze swych badań ogólną konkluzją na temat stereotypu biurokracji. Mówi, że instytucje społeczne w ostatnim stuleciu przeszły głębokie zmiany dające się częściowo określić jako proces biurokratyzacji. Stereotyp biurokracji jest skondensowanym choć mglistym wyrazem ostrej niechęci wobec alienacji, bezosobowości i tępej rutynie którymi dotknięta jest biurokracja. Rosnąca uwaga skierowana na dysfunkcje biurokratyczne może — zdaniem Gouldnera — dowodzić pojawienia się nowych problemów społecznych.

Jeśli Amerykanie skarżą się na alienację, bezosobowość, tępą rutynę, towarzyszące ich biurokracji, to jak wyglądają analogiczne zjawiska na drugim biegunie: pod panowaniem biurokracji totalnej nad Wisłą? Nie dysponujemy materiałem zebrany w drodze systematycznych badań empirycznych, który odpowiadałby materiałowi jakim posłużył się Gouldner. Ale to co się wie z własnych doświadczeń, po spędzeniu niemal dwudziestu pięciu lat pod panowaniem monopolu biurokratycznego, a nawet to co można wyłowić podczas uważnej lektury codziennej prasy krajowej wskazuje, że w Polsce występują wszystkie wyodrębnione przez Gouldnera dysfunkcje, ujemne cechy biurokracji, godzące w jednostkę wchodzącą w styczność z urzędem — tyle że **p o d n i e s i o n e d o n - t e j p o t ę g i**. A oprócz nich inne, których już nie spotyka się w codziennej praktyce bardziej cywilizowanych społeczeństw:

— nieskrywane lekceważenie i pogarda dla petenta, przejawiające się często w skrajnych formach; absolutny brak poszanowania jego godności; zupełne nieliczenie się z jego czasem i minimalną choćby wygodą; wreszcie ogromny współczynnik błędu, niesprawności, w działaniu

wszelkich urzędów, połączony z dużym stopniem tajności, anonimowości oraz dowolności w podejmowaniu decyzji. W tej sytuacji załatwienie jakiejkolwiek sprawy urzędowej jest czymś w rodzaju kryzysu ogólnozyciowego i aby przez ten kryzys przebrnąć trzeba pełnej mobilizacji sił psychicznych i fizycznych.

W rezultacie, wbrew częstym i szumnym deklaracjom, stosunek petent-urząd rozgrywa się nie na płaszczyźnie zaspokajania potrzeb, żądań obywatela zgodnie z przysługującymi mu prawami, lecz na zasadzie wyświadczenia mu łaski, udzielania jałmużny. W sumie, wchodząc w sferę styczności z jakimkolwiek urzędem (a urzędy są od wszystkiego: od skupu jaj po rozdział miejsc w sanatoriach, od kwalifikowania jakie obrazy można zakupić do muzeum po decydowanie jakiego koloru i jakiej szerokości będą paski na piżamach dostarczanych dla handlu detalicznego) obywatel wkracza w świat z Kafki. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że lęk przed urzędem jest w Polsce lękiem głębokim, rzecz można metafizycznym, podobnym do lęku wywoływanego przez zetknięcie się z rzeczami ostatecznymi i nie dającymi się do końca pojąć i wyjaśnić.

Równoległe do lęku przed władzą prześladowe ludzi, w sposób paradoksalny, lęk przed brakiem władzy, przed anarchią, w której grozi atak ze strony innych, nie skrępowanych literą, ani duchem norm prawnych ani żadnych innych norm współzycia społecznego. Jednostka w tym kraju nie czuje się dostatecznie chroniona przez władzę, żyje często w poczuciu zagrożenia swej nietykalności cielesnej, majątku, pozycji. Jest to uczucie usprawiedliwione przez fakty.

Ścisłej kontroli podlega sfera styczności między państwem i wszelkimi jego instytucjami a jednostką, ale jest to kontrola nastawiona przede wszystkim na ochronę interesu państwa, interesu aparatu biurokratycznego, a nie na ochronę jednostki.

Styczności jednostek między sobą są też możliwie

ściśle kontrolowane, a raczej nadzorowane, ale zasadniczym celem tej kontroli jest niedopuszczenie do zмовы przeciw systemowi biurowatycznym, do działań zbiorowych które mogłyby mu zagrozić. A więc i ta kontrola odbywa się w interesie systemu a nie w interesie jednostki.

Aparat biurowatyczny jest niesłychanie czuły na symptomy wszelkich możliwych niebezpieczeństw grożących mu ze strony jednostek i zabezpiecza się przed tymi, być może rzeczywistymi ale najczęściej urojonymi, niebezpieczeństwami przy pomocy wymyślnych środków. Uruchamia się szalenie kosztowne i skomplikowane mechanizmy ochrony tak zwanego mienia społecznego i bezpieczeństwa publicznego. O mienie i bezpieczeństwo prywatne jednostek składających się na społeczną zbiorowość władza troszczy się tylko marginesowo, od niechcenia.

Jednym z mechanizmów jest zasada podejrzliwości władzy wobec każdego obywatela, wraz z wynikającymi z tej zasady biurowatycznymi procedurami. (W Anglii obowiązuje przeciwna zasada: tam każdego darzy się zaufaniem i odbiera mu się je dopiero wtedy gdy udowodni, że na to zaufanie nie zasługuje. W przypadkach wątpliwych daje mu się *the benefit of the doubt* — rozstrzyga się wątpliwości na jego korzyść). W Polsce każda wątpliwość automatycznie godzi w obywatela. Jest to właściwie poszerzona i przeniesiona na wszystkie dziedziny życia doktryna ukuta w swoim czasie w prawie sowieckim: to oskarżony ma udowodnić swoją niewinność a nie oskarżyciel jego winę.

Każdy obywatel jest traktowany przez państwo, jego funkcjonariuszy i jego instytucje, jak potencjalny złodziej mienia społecznego. W wielu tak zwanych zakładach zbiorowego żywienia daje się klientom („konsumentom” w urzędowym języku) łyżki i widelce lecz nie daje się noży. „Żeby nie ukradli”. Albo, na skutek tej samej nieufności, daje się im noże z ułamanym (nie odpiłowanym ale właściwie ułamanym, i poszczerbionym) końcem albo z trzon-

kiem nadpiłowanym ślusarskim pilnikiem. (Jest to jeden z tych faktów przez które przeziara cała umowność i nadrealność istnienia kreowanego przez biurokrację totalną). Dlaczego, dla czego właśnie noże a nie widelce, łyżki, popielniczki?

Ktoś gdzieś na którymś ze szczebli biurokratycznej hierarchii rządzącej żywieniem zbiorowym, aby pozostać w zgodzie z zasadą ochrony mienia społecznego, uruchomił wyobraźnię w tym kierunku, wpadł na pomysł z nożami i wydał odpowiednie zarządzenie. Może kiedyś w wieku sześciu lat ukradł scyzoryk? Bo wcale nie dlatego, że ludzi ogarnęła nagle jakaś mania przywłaszczania sobie noży restauracyjnych. Owszem, w warszawskim barze Praha, w swoim czasie największym barze samoobsługowym w kraju, dyrekcja wykazywała jakieś fantastyczne straty spowodowane przez klientów kradnących noże. Dopiero po długim czasie okazało się że noże te nawet nie docierały na barowe stoliki, ba, nigdy nie zostały przewiezione ze sklepu do baru. Po prostu dyrekcja płaciła sklepowi za noże, kierownik sklepu chował połowę gotówki do kieszeni, drugą połowę chowała dyrekcja, noże zostawały w sklepie, dyrekcja kwitowała ich odbiór a następnie sporządzała codzienne protokoły kradzieży by usprawiedliwić nieobecność noży objętych inwentarzem. Wszystko to mocno skomplikowane, ale takie jest życie. Przynajmniej w socjalizmie.

Książki telefoniczne w publicznych kabinach przykuwa się do ściany łańcuchami a słuchawki oprócz przewodu łączy z aparatem jakiś pancerny kabel. Znajdują się ludzie którzy oswabadzają książki z okówów wyrывая kartkę po kartce, a słuchawki odcinają specjalnymi nożycami, jak do przedzierania się przez druty kolczaste przed okopami. Są to wstrętnei chuligani ale przypuszczam, że do tych pracochłonných aktów zniszczenia prowokują ich właśnie owe łańcuchy i kable.

Osoby prywatne i ich mienie podlegają nieporównanie skromniejszej ochronie. Stąd, między innymi, to pod-

świadome uczucie zagrożenia, ta postawa nieufnej czujności, jaką przybiera wiele osób opuszczając progi swego mieszkania.

Działa też na wiele jednostek lęk przed degradacją, przed spadnięciem do którejś z niższych kategorii obywateli, przed utratą jakiegoś przywileju, przed wypadnięciem ze względnie przytulnego kącika „małej stabilizacji”, który się zdobyło tak wielkim nakładem sił, po tylu latach.

Maksymalnie możliwości zaspokojenia potrzeb swoich i swojej rodziny osiąga się w okresie szczytowej formy życiowej, kiedy się jest zdolnym do największej wydajności pracy. System dystrybucji dóbr materialnych którym manipuluje biurokracja zdecydowanie uprzywilejowuje te właśnie jednostki, przynoszące największy pożytek z punktu widzenia produkcji.

Jednak każdemu człowiekowi grożą różne wydarzenia które mogą sprawić, że będzie musiał opuścić tę kategorię i przenieść się automatycznie do innej, mniej ważnej dla produkcji. W krajach cywilizowanych takiemu przeniesieniu się do innej kategorii towarzyszy wprawdzie spadek dochodów, ale na ogół niekoniecznie wiąże się to z dużym spadkiem standardu życia a już tylko zupełnie wyjątkowo może wstrząsnąć podstawami egzystencji jednostki. W Polsce najczęściej równa się to wpadnięciu w nędzę albo w coś bardzo do nędzy podobnego.

Urodzenie się dziecka w młodym małżeństwie jest, z finansowego punktu widzenia, czymś w rodzaju klęski elementarnej. Budżet dwu pracujących, średnio wynagradzanych osób, będzie musiał teraz zostać drastycznie zreformowany, do tego stopnia, że cały dotychczasowy sposób życia ulegnie zasadniczej zmianie. Skurczą się możliwości życia towarzyskiego, rozrywek, dokształcania się, młodzi ludzie bardzo szybko stracą cechy młodości i przekształcą się w postarzałą, zapracowaną i zatroskaną parę, zmuszoną do kapitulacji przed życiem. Urodzenie się dziecka w Paryżu czy Londynie może wywrzeć wpływ

na życie młodych rodziców zmierzający, w jakimś stopniu, w podobnych kierunkach, ale to co dzieje się w takiej sytuacji w Polsce jest zmianą nieporównanie bardziej drastyczną.

Zepchnięcie jednostki do kategorii emerytów i rencistów w mgnieniu oka burzy ekonomiczne podstawy jej egzystencji, opartej dotychczas na wynagrodzeniu za pracę, które w skali miesiąca czy roku było w całości wydawane na bieżące potrzeby. Emerytury i renty są cynicznie niskie.

Dlatego lęk przed starością, przed emeryturą, przed przyszłością jest w polskich warunkach tak dotkliwy. Schodzenie za kulisy odbywa się tu w sposób wyjątkowo żałosny, okrutny i upokarzający.

Rozbieżność między odczuwanymi potrzebami a możliwościami ich zaspokojenia

Czego potrzebuję abym mógł żyć przyzwoicie? Powyżej biologicznego minimum potrzeby są względne, uwarunkowane przez kulturę. Pojęcie dopuszczalnego minimum w poziomie życia określają przyjęte w społeczeństwie stereotypy. Całkowite zadowolenie z warunków życia, brak odczucia jakichś niezaspokojonych lub niedostatecznie zaspokojonych potrzeb może działać demobilizująco, zniechęcać do wysiłku i sprzyjać zastoju. Jeśli jednak Polska przeżywa od wielu lat okres zastoju, to bynajmniej nie z tego powodu.

W Polsce znajdujemy się na drugim końcu skali, w sytuacji krańcowo przeciwnej. Rozpowszechnione w społeczeństwie stereotypy określające dopuszczalne minimum poziomu życia pozostają w jaskrawej sprzeczności z realiami codziennego życia. W dodatku wszyscy już wiedzą że nie jest to sytuacja przejściowa. W rezultacie narasta głęboka frustracja spowodowana świadomością że ani

obecnie, ani w dającej się przewidzieć przyszłości, nie ma szans na zaspokojenie znacznej części odczuwanych potrzeb. (A przeciwnie, dla wielu w miarę starzenia się, zmniejszania się wartości jednostki jako siły roboczej, szanse te będą coraz mniejsze).

Co składa się obecnie w Polsce na rozpowszechnione stereotypy poziomu życia i wzorce zaspokajania potrzeb? Co najmniej trzy czynniki:

- tradycja,
- normy określone przez władze,
- wpływ innych krajów, przede wszystkim Europy Zachodniej.

Tradycja ciągle jeszcze przekazuje wzorce mieszczańskiego dobrobytu, podbarwione z lekka feudalnymi pozostałościami. (Dlatego na przykład wiele bezdzietnych małżeństw rujnuje się na służącą, „pomoc domową”, która nie tyle jest im potrzebna do wykonywania prac domowych w ciasnym mieszkaniu, ile jako symbol osiągniętego statusu). Wzorzec proletariacki wcale się nie przyjął, ani tym bardziej wzorzec inteligenta-rewolucjonisty, całkowicie oddanego działalności społecznej i spośród luksusów ceniącego tylko własną bibliotekę.

Normy określone przez władze są bardzo interesującym zbiegiem okoliczności.

Wynikają częściowo z ideologii a częściowo z propagandowego hurra- optymizmu. One właśnie są bardzo silnie, chyba najpowszechniej działającym czynnikiem omawianej dysproporcji. Przez całe lata wbijało się ludziom do głowy co im się n a l e ż y w państwie robotniczym i co z całą pewnością będą mieli, jak tylko odbudujemy kraj ze zniszczeń wojennych, zgnieciemy hydrę reakcji i opanujemy kolejne „trudności okresu przejściowego”. Wtedy były to normy na wyrost, co było celowe, miało służyć mobilizowaniu do wysiłków. Dziś, kiedy się przyjęły, są nadal na wyrost, mimo wysiłków całego pokolenia, ale teraz działają głównie w kierunku wywoływania frustracji i jako bodziec do działań antyspołecznych.

Wpływ Zachodu jest nieunikniony i duży, dociera poprzez radio, telewizję, prasę, kino, książki, wyjazdy, kontakt z emigrantami, oraz przez takie zaprowadzone przez państwo imprezy, jak sklepy PKO i komisje z zagranicznymi rzeczami, samochody za dewizy itp. Jest w ogóle bardzo wątpliwe czy można w dzisiejszej Europie utrzymać jakikolwiek kraj w izolacji od innych krajów europejskich i odciąć od wpływu tamtejszych stereotypów na stereotypy krajowe. A ponieważ istnieje ogromna różnica między polskimi a zachodnimi warunkami życia, wpływ Zachodu jeszcze bardziej podnosi poziom standardu o c z e k i w a n e g o we współczesnym polskim stereotypie.

Frustracja jest ogromna. Jednym z podstawowych elementów oczekiwanego, pożądanego, uznawanego powszechnie za niezbędne minimum poziomu życia jest samodzielne, komfortowe mieszkanie: przynajmniej dwa pokoje z kuchnią dla rodziny składającej się z małżeństwa z dziećmi i ewentualnie z babcią. Dla bardzo wielu rodzin, zwłaszcza dla młodych małżeństw, takie mieszkanie jest i będzie przez długie lata marzeniem ściętej głowy.

Urzędowa propaganda eksploatuje postępy urbanizacji kraju jako jedno z najważniejszych osiągnięć systemu. Jest to osiągnięcie, które może wpędzić w przewlekłą depresję. Oczywiście jeśli się sfotografuje z samolotu nowe osiedle mieszkaniowe i zamieści zdjęcie w propagandowym wydawnictwie dla zagranicy, to można stwierdzić tryumfalnie w podpisie, że urzeczywistniliśmy marzenie Żeromskiego o szklanych domach i z pewnością znajdą się czytelnicy którzy się na to nabiorą.

Przemysł potrzebuje robotników. Robotnicy muszą gdzieś mieszkać. Dla władz i ich planistów cały problem zaczyna się od p r o d u k c j i, produkcja jest celem samym w sobie. S i ł a r o b o c z a (zwróćmy uwagę na język: „klasa robotnicza” z przemówień pierwszomajowych, dla której dobra i szczęścia pracuje partia i kraj cały, w roboczych dokumentach ekonomistów, komite-

tów partyjnych i ministerstw zamienia się w „siłę roboczą”, która liczy się tylko jako rzecz niezbędna dla wykonywania planów produkcyjnych) wymaga tak zwanych inwestycji towarzyszących przemysłowi: mieszkań, ośrodków zdrowia, szkół, urządzeń sportowych. W ostatnich latach dokonano drastycznych ograniczeń środków przeznaczanych na inwestycje towarzyszące, a trzeba pamiętać że zawsze były one wydzielane bardzo skąpo. Staje się na głowie, żeby sobie zapewnić siłę roboczą możliwie tanio.

Za Tokarskiego doszło do szczytowych absurdów. W Gdańsku na osiedlu Szuwary zbudowano najtańszy w Polsce blok mieszkalny dla rodzin robotniczych. Dla jednej rodziny przeznaczono izbę z nieodgrodzoną drzwiami wnęką na łóżka, z dwupalnikową kuchenką gazową koło drzwi. Za drzwiami długi korytarz, jak w hotelu, biegnący wzdłuż szeregu takich izb — „mieszkań” dla robotników. Na każdym piętrze wspólne, zbiorowe natryski i ubikacje. Wykonanie budynku przynębiająco tandetne. Całość do złudzenia przypomina blok więzienny. Projektanci dostali nagrodę za rewelacyjne oszczędności.

Tokarski na zebraniach aktywu w Katowicach pouczał, że dla oszczędności należy budować bloki robotnicze bez kanalizacji, ze zbiorowymi klozetami na podwórkach. „Ja w młodości chodziłem za stodołę — i proszę wyrosłem na działacza państwowego” (AUTENTYCZNE).

Okres *j u l i a n e k* już się skończył. (Julianka — analogia do przedwojennych sławojek, Tokarski ma na imię Julian). Zorientowano się, że kopiowanie gdańskich Szuwarów okazałoby się zbyt kosztowne, między innymi ze względu na niebezpieczeństwo epidemii duru brzuszego i innych chorób zakaźnych — w tak wielkich zbiorowiskach ludzkich stłoczonych w anty-sanitarnych warunkach. A epidemie wyłączałyby z produkcji duży procent siły roboczej.

Od zasady maksymalnego „oszczędzania” na inwestycjach towarzyszących jednak nie odstąpiono. W rezulta-

cie powstają mieszkania-cele, z kuchniami bez okien, ze ścianami tak akustycznymi że wkrótce po przeprowadzce znaczna część mieszkańców zaczyna cierpieć na bezsenność, z klozetami w których otwór wentylacyjny wychodzi na kuchnię, pięciopiętrowe domy bez wind, wykonane tak tandetnie, że często w parę tygodni po wprowadzeniu się lokatorów tynk odpada od sufitów i zlatuje na głowę.

W nowych osiedlach brak sklepów, warsztatów, punktów usługowych, załatwienie najprostszej sprawy: kupienie papierosów, gazety, oddanie butów do naprawy, staje się w tych warunkach problemem na miarę kwadratury koła. Najczęściej po przekroczeniu progu bloku mieszkalnego wpada się po kostki i po kolana w błoto. Autobusy kursują tak rzadko i jest ich tak mało, że jedzie się do miasta w niewyobrażalnym tłoku i traci się na dojazd masę czasu. Telefon jest wyjątkowym przywilejem, istniejące centrale nie są w stanie obsłużyć już funkcjonującej sieci a niemal wcale nie buduje się nowych tak, że w nowym osiedlu na zainstalowanie aparatu zezwala się tylko oficerom służby czynnej, milicjantom, partyjnym aparatczykom i dyrektorom przedsiębiorstw.

Terenami w mieście gospodaruje się w sposób barbarzyński i rabunkowy. Nie pozostawia się wolnej przestrzeni między blokami mieszkalnymi, na jednym hektarze upycha się kilkakrotnie więcej mieszkańców niż na to zezwalają przepisy i normy w innych miastach europejskich, likwiduje się zieleń, by zdobyć miejsce pod nowe bloki. Ten sam obraz mamy w całym kraju, na wszystkich obszarach objętych d o b r o d z i e j s t w e m urbanizacji.

Dodatkowym czynnikiem zatruwającym życie mieszkańców jest genialna koncepcja, że osiedla te to „nowa substancja mieszkaniowa” i że wobec tego nie trzeba planować kredytów na ich remonty. Po kilkunastu latach takiej polityki okazało się, że nieremontowane, tandetne nowe budownictwo w przyspieszonym tempie zamienia się w ruinę. Zaczynają się rozsypywać „nowe” powojenne

warszawskie osiedla, w rudery zamieniają się opiewane przez poetów bloki Nowej Huty. Obliczono, że koszt niezbędnych generalnych remontów tylko w nowym wojennym polskim budownictwie pochłonięły w ciągu roku więcej niż przeznacza się dziś rocznie na budownictwo mieszkaniowe w całym kraju. I że trzeba by kilku lat, by to co zbudowano po wojnie doprowadzić do jakiego takiego stanu. Pienędzy tych nie ma i nic nie zapowiada by się znalazły w najbliższej pięciolatce.

Mimo obniżania standardu mieszkań i mimo wszelkich innych pseudooszczędności w budownictwie mieszkaniowym, nie buduje się dostatecznej ilości nowych mieszkań i izb mieszkalnych i cała masa jednostek i rodzin nadal może tylko marzyć o przywileju zamieszkania w nowym socjalistycznym slumsie. W 25 lat po zakończeniu wojny nadal wielki procent rodzin zajmuje wspólne mieszkania, w których życie jest koszmarnie, nadal są ludzie gniezdzący się po piwnicach i strychach.

Przez całe lata propaganda posługiwała się argumentem tanich mieszkań: że w kapitalizmie robotnik musi ileś tam procent zarobku płacić za mieszkanie, podczas gdy u nas mieszka się praktycznie za darmo. To się już skończyło przed kilku laty, po pierwsze nikt już nie przydziela mieszkania, tylko trzeba je sobie kupić w spółdzielni za ciężkie pieniądze i setki tysięcy rodzin wyrzekają się latami niemal wszystkiego, żeby w morderczym wysiłku zaoszczędzić niezbędną kwotę; po drugie za mieszkanie płaci się wysoki czynsz (tym wyższy im lepiej wyposażone mieszkanie — gaz, bieżąca woda, łazienka, położenie blisko centrum są czynnikami śrubującymi czynsze). W rezultacie obecnie płaci się za mieszkanie wyższy procent zarobku niż w większości krajów kapitalistycznych. Polska stała się krajem gdzie mieszkania są najdroższe i gdzie najmniej się buduje.

Nowe bloki mieszkalne — raj do którego socjalizm wyprowadza ludzi z piekła starych domów, gdzie jedno kilkupokojowe mieszkanie zajmowało tyle rodzin ile było

pokoju, dzieląc wspólną kuchnię i klozet (łazienka z zasady była nieczynna) — szybko zaczynają przypominać to piekło. Mianowicie coraz częściej rodzina zmuszona do finansowego harakiri, by móc wprowadzić się do spółdzielczego mieszkania bierze sobie lokatora, lub nawet lokatorów, do jednego pokoju, a sama tłoczy się jak poprzednio w jednym, pozostałym.

Nie rozwiązany do dziś i coraz ostrzejszy problem mieszkaniowy jest jednym z najbardziej widocznych i nie najmniej dotkliwych przejawów bankructwa programu obietnic, którymi karmiono społeczeństwo. Jest też zarazem jednym z zasadniczych powodów niespełnionych nadziei, które są udziałem tego społeczeństwa.

Innym dobrem które, wbrew deklaracjom programowym i obietnicom, staje się coraz trudniej dostępne jest w y k s z t a ł c e n i e.

Dumne hasło „Polska krajem ludzi kształcących się” nabrało już dziś niedwuznacznego posmaku żalostnej ironii. Polska stała się krajem ludzi którzy rzeczywiście na ogół bardzo chcieliby się uczyć, lecz mają coraz mniejsze możliwości w tym zakresie. Wykształcenie, między innymi dzięki oficjalnej propagandzie, stało się powszechnie uznaną wartością. W świadomości społeczeństwa zakorzeniło się już głęboko przekonanie, że dyplom jest najpewniejszym środkiem uzyskania awansu społecznego. To marzenie o dyplomie staje się przyczyną gorzkich rozczarowań tych wszystkich — a jest ich coraz więcej — którzy z roku na rok odpadają na coraz ciaśniejszym i coraz trudniejszym torze przeszkód. Jeszcze przed kilku laty agitowano młodzież i rodziców, by nie tłoczyć się do „ogólniaków”, średnich szkół ogólnokształcących, nie dających żadnego przygotowania do zawodu a tylko prawo do starania się na wyższe studia, i by zamiast tego wybierano techniczne szkoły zawodowe. Dziś zarówno ministerstwo, kuratoria jak i instruowana przez władze prasa lansują tezę, że przecież nie wszyscy muszą i nie wszyscy powinni posiadać średnie wykształcenie (uzyskiwane w

technikach i innych szkołach średnich) i że „podstawowa masa młodzieży” powinna kierować się do zasadniczych szkół zawodowych, które są po prostu szkołami przysposobienia zawodowego, przygotowującymi robotników o podstawowych kwalifikacjach i stanowiącymi ślepą uliczkę w procesie kształcenia, — bo zamykają swym uczniom drogę do wszelkich szkół na wyższym poziomie.

Permanenty kryzys gospodarczy sprawia, że w coraz większym stopniu zaczyna brakować w polskim społeczeństwie miejsca dla dorastających roczników powojennego wyżu demograficznego.

Coraz trudniej o miejsca w żłobkach i przedszkolach. W efekcie coraz częściej widzi się na ulicach nowych osiedli dzieci biegające z kluczem od mieszkania uwiązanym na szyi na sznurku, kiedy oboje rodzice pracują. Mimo tak szeroko reklamowanej akcji budowy tysiąca szkół w czynie społecznym na Tysiąclecie, coraz bardziej daje się odczuwać brak miejsca w szkołach, już nawet w szkołach podstawowych. Klasy liczące 45 a nawet 50 uczniów nie należą do rzadkości. W większości szkół prowadzi się naukę na dwie a nawet na trzy zmiany. (W praktyce oznacza to obniżenie poziomu nauczania i wychowania, rosnące zaniedbanie pedagogiczne większości młodzieży szkolnej, dezorganizację życia w rodzinach, gdzie oboje rodzice pracują, często na zmiany).

Wyższe wykształcenie stało się przywilejem, o który walczy się dziś w Polsce na noże, a władze przejawiają tendencję do coraz ściślejszego reglamentowania tego przywileju otwierając bramy uniwersytetów nie przed młodzieżą najzdolniejszą a przed tą, która daje największe gwarancje konformistycznego podporządkowania się władzy po zdobyciu dyplomu.

Inne dobra są też trudne do zdobycia. Przede wszystkim ludzie jedzą znacznie gorzej niżby mieli na to ochotę i niżby to było wskazane dla ich zdrowia. Z dwu powodów: bo nie stać ich na lepsze jedzenie oraz dlatego, że stale brak na rynku najróżniejszych produktów. Weź-

my budżet skromnie sytuowanej rodziny robotniczej, z trojgiem dzieci, w której oboje rodzice pracują. Łączne zarobki rodziców netto (miesięcznie): 3.500 złotych, wraz z dodatkiem wypłacanym na dzieci. Konieczne wydatki: 500 złotych — mieszkanie (czynsz, gaz, światło itp.); 250 — przejazdy, 250 — szkoła. Razem — 1.000 złotych.

Zostaje 2.500 złotych (500 złotych na głowę) na wszystko inne: jedzenie, ubranie, lekarstwa (też ostatnio podróżowały), rozrywki kulturalne, mydło i pastę do zębów, opłatę za radio, proszek do prania, pastę do podłogi.

A co można kupić za 500 złotych? Około 5 kilo szynki (pod warunkiem że się ją znajdzie w sklepie, co się zdarza rzadko); albo 5 kilo kiełbasy myśliwskiej; albo trochę więcej niż 6 kilo masła; albo 12 kilo sera; albo 40 kilo dobrych jabłek; albo dwie pary tanich butów; albo ćwierć tandetnego płaszcza; albo 20 biletów do kina; albo 2 kilo prawdziwej kawy.

Zrozumiałe, że w takiej sytuacji w wielu rodzinach wylicza się kromki chleba ze smalcem czy margaryną, cukier trzyma się pod kluczem a podstawowym daniem przez sześć dni w tygodniu jest zupa kartoflana.

Jest wiele rodzin lepiej sytuowanych. Ale o ile lepiej? O tysiąc, półtora czy nawet dwa miesięcznie? Nie wynika z tego żadna z a s a d n i c z a różnica która by pozwoliła na zmianę stylu życia, na zbliżenie się w wyraźny sposób do pożądanego wzorca. (Istnieje osobny problem nędzy, na dużą skalę, ale to nas tej chwili nie interesuje, zajmujemy się tym co jest uważane w społeczeństwie za zjawisko normalne). Pozostaje codzienny fakt, że przeciętny mieszkaniec tego kraju nawet nieźle sytuowany, codziennie przechodzi obok dziesiątek czy w dużym mieście setek wystaw sklepowych i — przy tak nędznym zaopatrzeniu! — widzi na każdej z nich różne rzeczy do zjedzenia, na które może sobie pozwolić tylko przy jakichś specjalnych, rzadkich okazjach. Sądzę że w

Polsce się tak znakomicie je jest mitem rozpowszechnianym przez zagranicznych gości, którzy chodzili z jednej prośzonej kolacji na drugą, nieświadomi, że co drugi gospodarz będzie potrzebował tygodni jeśli nie miesięcy by doprowadzić do równowagi domowy budżet nadszarpnięty nadzwyczajnym a wielkim wydatkiem.

Pozornie tylko sprzeczny z tymi spostrzeżeniami jest zwyczaj urządzania wystawnych świąt.

Ogarnia nas wtedy gorączkowe podniecenie, jak przed daleką podróżą. Na trzy dni przeniesiemy się w inny świat, bezpieczny, przytulny, dostatni. I zupełnie nieprawdziwy. Wypastujemy podłogi w naszych ciasnych mieszkaniach, wyciągniemy z szafy koszule non-iron, wydamy dwie miesięczne pensje na lepsze jedzenie, które zniknie w ciągu świątecznego tygodnia, przygotujemy baterię alkoholi a nawet zrujnujemy się na puszkę *p r a w d z i w e j* angielskiej neski i może jeszcze na dwie paczki *gauloise'*ów.

Zaprosimy najbliższych przyjaciół, zaryglujemy drzwi od mieszkania, zapalimy świeczki na choince. Będzie fajnie, klawo, wdechowo; będzie uroczko i sympatycznie.

Narkotyk świąt jest drogi, do końca zimy będziemy płacić długi zaciągnięte na karpia i na czystą eksportową. Ale to jest konieczne. Doznamy pocieszenia i odprężenia. Niewinne oszustwo które sobie zafundujemy sprawi, że w następnych dniach łatwiej nam będzie wyjść na ulicę i znieść kontakt z prawdziwym naszym światem.

Tymczasem trzeba wszystko przygotować. Operacja potrwa co najmniej dwa tygodnie. Zaczyna się od *o k r ą ż a n i a k a r p i a*. Niektórzy stosują taktykę polowania na upatrzonego. Upatrują sobie wśród lokatorów swojej kamienicy ekspedientkę sklepu Centrali Rybnej, starają się ją zjednać pochlebstwami i drobnymi przysługami i żyją w nadziei, że kiedy przyjdzie *d z i e ń* — wielki dzień dostawy karpia do sklepów, znajdą się na kumoterskiej liście.

Inni polują z nagonką:

— Stasiu, ten facet co z nim siedziałś w kawiarni to chyba dyrektor Centrali Rybnej? Słuchaj, weź go z sobą w sobotę do nas na roberka.

Arystokracja portfela strzela w karpia złotą kulą i po prostu posyła pomoc domową do bufetowej w Bristolu i każe zamówić dwa półmiski karpia, tylko żeby było dużo rodzyneków i migdałów. (W najdroższych lokalach karpia nie zabraknie, bo tam nasza ojczyzna może go nam sprzedawać po dwukrotnie wyższej cenie).

Ale są to wszystko sposoby dla ciemnych mas. Prawdziwie państwowotwórczy obywatel, pracujący w poważnej instytucji, takiej jak Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej albo Państwowa Inspekcja Handlowa, nie musi sobie zawracać głowy indywidualnym polowaniem. On j e s t na liście.

— Mówi Szmatuła z komendy. Słuchajcie dyrektorze, posyłam wam listę, będzie tego ze trzysta kilo, tylko uważajcie — żadnej drobnicy, nie tak jak w tamtym roku! Same królewskie sztuki, dopilnujcie osobiście!

Karp jest stworzeniem uświadomionym klasowo i wie na czyje stoły trafić w pierwszej kolejności.

D z i e ń jest sądnym dniem. Od świtu całe rodziny stoją z wiadrami w wielusetmetrowych kolejkach. Przed wejściem do sklepu dwu milicjantów pilnuje, by tłum w podnieceniu karpiowym nie wygniółł szyb. W kolejce co chwilę wybuchają spory o pierwszeństwo. Kiedy dochodzi do rękoczynów, milicjanci sprawnie wyciągają skłóconych z kolejki i pakują do czekającej za rogiem s u k i. Nie należy bowiem zakłócać pogodnej świątecznej atmosfery.

W znanej anegdocie partyjny prelegent z obkomu opisuje życie, jakie będziemy mieli po zbudowaniu komunizmu. Pytanie z sali:

— Towarzyszu, a jak wtedy będzie z wódką?

— Wódka, towarzysze, na pewno będzie, ale zakąski to wam nie mogę gwarantować.

Na ostatnie święta brakło w Polsce nawet wódki. Rozeszła się bowiem pogłoska o podwyżce cen i wszyscy rzucili się na sklepy monopolowe. Został tylko bardzo niedobry likier cytrynowy a w socjalistycznie wytworzonych „Delikatesach” sprzedawano po pół litra czystej z czerwoną kartką na łeb.

W końcu jednak na każdym stole znajdzie się butelka, bowiem rybka musi pływać a Państwowy Monopol Spirytusowy zbyt duże zyski przynosi, by podaż mogła przez dłuższy czas nie nadążać za popytem.

W filmie „Mondo cane” pokazano jakieś egzotyczne prymitywne plemię stale przymierające głodem. Raz na pięć lat plemię urządza gigantyczne świniobicie i wszyscy najadają się do ostatecznych granic możliwości by potem znowu głodować przez następnych pięć lat. My nasze święta urządzamy na podobnej zasadzie.

Jak owi wygłodzeni tubylcy, popadamy naturalnie w przesadę i zjadamy i pijamy wielokrotnie więcej niż to może znieść nasz organizm socjalistycznego obywatela. Ogarnia nas euforia, czujemy się wyzwoleni, jesteśmy panami stworzenia.

Karp tonie w wódzie. W mózgu nasycanym od wielu godzin alkoholem rozluźniają się hamulce, otwierają się klapki, wypełniają nasze stłumione kompleksy, lęki, agresje. Dajemy wycisk niewiernej żonie, rozbijamy butelkę eksportowego „Żywca” na głowie szwagra, który nie myje po sobie wanny w naszym wspólnym mieszkaniu, kopujemy na schodach psa sąsiadki a może nawet przewracamy ławki w parku publicznym.

Święta to okres mobilizacji Pogotowia MO i Pogotowia Ratunkowego, oraz w oddziale ostrych zatruc w miejskim szpitalu, w klinice psychiatrycznej i w Izbie Wyrzeźwień. Opornym panom stworzenia, oszołomionym wódą i znękanym poczwórnymi racjami świętecznego karpia aplikuje się pały w komisariatach MO, płukanie żołądka na pogotowiu i kaftany bezpieczeństwa na psychiatrii.

Pierwszy numer dzienników wydany po świątecznej przerwie tradycyjnie już zawiera na miejskiej stronie informacje o bożenarodzeniowych statystykach w MO, Pogotowiu i Izbie Wytrzeźwień.

Wypoczynek dla świata pracy to jedna z rzeczy których ludzie nauczyli się oczekiwać od życia. Instytucja wczasów pracowniczych, finansowanych przez tak zwane związki zawodowe, dostarczała w swoim czasie efektownych argumentów mających dowodzić jak wielkie korzyści przypadają ludowi pracującemu w peerelu. Gazety już od kwietnia zamieszczały nieustannie wzruszające zdjęcia staruszków wyniszczonych przez sanacyjnego kapitalistę (bardziej wykształceni redaktorzy pisali o zagranicznym kapitale monopolistycznym), którzy dopiero teraz pod Giewontem i nad falami Bałtyku wracają do sił i zdrowia na koszt państwa ludowego na swoich pierwszych w życiu prawdziwych wakacjach. Na tym etapie nie należały do rzadkości takie sceny: — Kowalski! Od pierwszego jedzicie na wczasy do Bierutowic. — Kiedy panie dyrektorze, kto będzie za mnie robił na działce? A co na to powie moja kobieta? Niech już tam lepiej jedzie kto inny. — Kowalski, ja wam polecam! Czy wy rozumiecie co to znaczy? Ja się muszę wykazać odpowiednim procentem fizycznych w tegorocznej akcji wczasowej w naszym zakładzie! Co, chcecie może żeby mnie komitet bił w dupę, bo wam się nie podoba wśród smreków?!

Nie trwało to długo. Ludzie szybko się przyzwyczaili, że trzeba jeździć na wczasy, tak jak trzeba mieć w domu kotlet schabowy na obiad w niedzielę i ciemny garnitur do kościoła. Ale tymczasem darmowe wczasy dla mas się skończyły. Nieliczne skierowania przydziela się małej grupie protegowanych, dla okraszy wysyłając na każdy turnus kogoś z fizycznych, tego co ma najwięcej dzieci i wygląda na najbardziej zagłodzonego.

Wyeksmitowano z Zakopanego i z Sopotu domy wcza-

sowe dla świata pracy, przenosząc je do mniej atrakcyjnych miejscowości. A w ogóle cała tak zwana pula wczasowa ogromnie się skurczyła w stosunku do liczby zatrudnionych. Rozrosły się za to monstrualnie rozmaite urządzenia wypoczynkowe zarezerwowane dla poszczególnych uprzywilejowanych grup. Im wyższy zajmuje ktoś szczebel w biurokratycznej hierarchii tym większe ma możliwości luksusowego wypoczynku za społeczne pieniądze. Elita wypoczywa w superkomfortowych warunkach, w najbardziej luksusowych i najpiękniej położonych domach, budowanych bez żadnego liczenia się z kosztami, chronionych przed pospółstwem tablicą „wstęp wzbroniony” i dyskretnie strzeżonych przez policję w cywilnych ubraniach. Wyjechać tam można na każdy *weekend*, także w tygodniu, jeśli się jest „niedysponowanym”. Kuchnia jak u Wierzyńka, służba liczna, dobrze wytresowana i dyskretna, opłaty symboliczne.

To w ciągu roku. Na wakacje panowie wyjeżdżają w świat. Panowie całą gębą — do Paryża, Londynu, Rzymu, Wenecji. Półpankowie — do Jugosławii. (Ekspedientki z komisju do Bułgarii, pracownicy naukowci — nad Balaton, bo najtaniej a jednak zagranicą). W czasie wakacji, kiedy państwo na Riwierze, w pałacykach w krajowych uzdrowiskach rezydują służące panów (eufemistycznie nazywane u nas pomocami domowymi) z nieletnią progeniturą z kolejnych małżeństw swoich państwa.

Elita za darmo, ale świat pracy musi płacić za swoje wczasy, tak jak płaci za mieszkania. Wynajmuje się jakiś stryszek u chłopą, możliwie blisko własnego miasta, żeby nie płacić za dużo za kolej. Często jedzie się na wieś do krewnych, pracować przy żniwach. A wielu jest takich którzy sprzedają swój urlop i wynajmują się w tym czasie do pracy, często na budowie, gdyż jest to jedyny dostępny dla nich sposób załatwienia dziur w rocznym budżecie rodziny.

Wypoczynek dla świata pracy wymaga inwestycji towarzyszących a potem stałych nakładów w odpowiedniej

wysokości. Inwestycje te i nakłady pozostają coraz bardziej w tyle za zwiększającą się liczbą zatrudnionych w przemyśle i przenoszących się do miast.

Dotyczy to w równej mierze wypoczynku niedzielnego. Komunikacja podmiejska i wszelkie urządzenia rekreacyjne nie pozostają w żadnej rozsądnej proporcji do tłumów które wylewają się w pogodną niedzielę za miasto. W sezonie zdarzało się że całe duże grupy, które wyjechały kilkadziesiąt kilometrów za miasto, nie mogły dostać się wieczorem do autobusów i nocowały w lasach. W miastach brak basenów kąpielowych, rzeki przepływające przez miasto są tak zanieczyszczone ściekami przemysłowymi, że nie nadają się do kąpeli.

Robotnicy przechodzą koło witryn „Orbisu” i czytają ogłoszenia o wycieczkach do Bułgarii, Jugosławii, nad Morze Czarne, na Wyspy Kanaryjskie — za 25 tysięcy złotych. Wchodzą do baru na najbliższym rogu, wypijają setkę czystej i dwa duże piwa, wracają do domu z ciężką głową i kładą się na tapczanie. Przez sufit, podłogę i wszystkie cztery ściany przenikają ryki głośników radiowych, wrzaski niemowląt, odgłosy kłótni małżeńskich; przez okna wdziera się zapach smażonej cebuli. Robotnicza niedziela dobiega końca.

Z tub propagandowych i mównic pokrytych czerwonym suknem nie przestaje płynąć potok sloganów o masowości sportu, kultury fizycznej. W rzeczywistości wiele sportów dostępnych jest tylko albo dla zawodowych sportowców, traktujących je jako główny środek utrzymania i zdolnych uzyskiwać rekordowe wyniki, przynoszące prestiż finansującym ich organizacjom, albo dla ludzi, których dochody o wiele przewyższają przeciętny zarobek zatrudnionego w gospodarce narodowej. Na przykład narciarstwo ciągle jest sportem, który nie może się zmieścić w budżecie robotniczej rodziny.

Tradycyjnym i bardzo ważnym sposobem spędzania wolnego czasu i odzyskiwania sił do pracy były w robotniczych rodzinach ogródki działkowe, zaprowadzone w

większych miastach w okresie międzywojennym, a nawet przed pierwszą wojną światową, przez różne organizacje robotnicze. Obecnie, w miarę rozrastania się miast, jesteśmy świadkami pożerania działek robotniczych przez zabudowę miejską. Tereny które zajmują działki są „zbyt cenne” z punktu widzenia zagospodarowania przestrzennego, by można na nich hodować pomidory i rzodkiewkę. Rodziny tracą działki, które były w ich posiadaniu przez dwa pokolenia. Tysiące rodzin przenoszących się ze wsi do miast z radością przyjąłby możliwość uprawiania własnej działki położonej niezbyt daleko od domu; mogłoby się to stać ważnym czynnikiem adaptacji do życia w nowych warunkach. Niestety, dla większości jest to szansa niedostępna. Podobnie jak tyle innych wartości, działki stały się przedmiotem ostrej rywalizacji, płaci się urzędnikom łapówki za ich przydzielenie, wykorzystuje się kumoterskie powiązania dla ich zdobycia, dostaje się je w nagrodę za uległość rządzącym biurokratom.

Wiele jest osób, przede wszystkim kobiet, dla których problem stroju urasta do jakichś monstrualnych rozmiarów. Sprawia to niekiedy wrażenie czegoś w rodzaju ogólnonarodowej obsesji. Nie wynika z tego, że ludzie dosłownie nie mają się w co ubrać, że chodzą boso i w łachmanach (choć i takich się widuje i to częściej niż można by się spodziewać). Chodzi o to, że przyjął się powszechnie pewien określony standard, powstający pod wpływem wzorów zachodnich i narzucający wymagania wobec własnego stroju, znacznie przewyższające przeciętne możliwości finansowe. Stąd ciągłe napięcie i bardzo częste poczucie, że nie jest się odpowiednio ubranym, upokarzająca świadomość że człowiek czuje się źle w swoim ubraniu, cierpi na skutek jego brzydoty i kiepskiego gatunku, nosi je jak wizytówkę głoszącą przynależność do niskiej kondycji, kiepskie zarobki, brak sukcesu życiowego.

To zdumiewające, jak bardzo w dzisiejszej Polsce ubranie wpływa na to jak traktuje się człowieka. Wy-

mięte masy w garniturkach z pedetu doznają nieustannych upokorzeń w kolejkach, tramwajach, urzędach, przychodniach lekarskich. Każdy od kogo coś zależy traktuje te masy w sposób wyniośle chamski. Dobrze uszyte garnitury z eksportowej setki i śnieżnobiałe, nie wymięte koszule, zagraniczne suknie, lakierki, pończochy, torebki, torują drogę w niedomytym tłumku i ścielą ją przymilnymi uśmiechami ekspedientek, konduktorów, urzędników. Wywołują typowe reakcje lokajskie. Ale jak bardzo ułatwiają życie!

Mąż jednej z mych przyjaciółek wrócił ze stypendium z Paryża i przywiózł jej komplet gustownie dobranych ciuchów. Po raz pierwszy była naprawdę dobrze ubrana, to znaczy tak jak kobieta w jej środowisku wyobraża sobie, że powinna się ubierać. Życie dziewczyny zmieniło się nie do poznania. Lekarz w przychodni rejonowej, do którego chodziła od kilku lat i który zawsze załatwiał ją w ciągu dwu minut nie podnosząc głowy znad swoich sprawozdań, teraz poświęcił jej całe pół godziny i prosił żeby koniecznie znowu przyszła w następnym tygodniu. Ekspedientka w spółdzielni zaczęła się do niej uśmiechać i chowała dla niej masło pod ladą. Sąsiadki ofiarowywały się że zajmą się dzieckiem kiedy tylko będzie chciała iść z mężem do kina. W tramwajach i autobusach odstępowano jej miejsce siedzące, w największym nawet tłoku.

Kilka wybranych na chybił-trafił problemów ubranio- wych z kręgu moich znajomych: dziennikarz z rodziną na utrzymaniu, nie pierwszej młodości, wiecznie sfrustrowany nędznym, rozłazącym się garniturkiem, w którym musi się pokazywać na różnych oficjalnych imprezach i konferencjach prasowych. Żona głównego księgowego, sama pracuje zawodowo, mają jedno dziecko, przystojna, po czterdziestce, tonie we łzach bo się jej rozleciał ostatni porządny stanik, a nowy kosztuje w komisie 300 złotych. Studentka która przez dwa miesiące nie je obiadów, żeby sobie kupić włoskie lakierowane buciki.

Ten ogólnonarodowy niedosyt ciuchów jest tak silny, że wpływa na zjawiska ekonomiczne, między innymi jest jednym z głównych czynników utrzymywania się zaskakująco wysokiego kursu dolara w tak zwanym sweterkowym przeliczeniu. Sweterek z londyńskiej „Silesii” przy Tooley Street kosztuje w kraju 1.200-1.300 złotych i przynosi na czysto co najmniej 500 złotych za funta, po zapłaceniu cła, kosztów przesyłki i wysokiego procentu komisowego. W Polsce produkuje się całkiem dobre swetry. Nie mają tak ładnych kolorów i nie są w tak dobrym gatunku, jak swetry angielskie ale to jeszcze nie usprawiedliwia dwa-trzy razy wyższej ceny. Chodzi o moment psychologiczny — z drugiej strony ulicy można poznać kto ma na sobie sweterek komisowy, a kto rzecz z PDT czy Cepelii. Państwo w sposób cyniczny wykorzystuje tę koniunkturę dla celów drenażowych i łupi z ludzi skórę poprzez komis i sklepy PKO z zagranicznymi rzeczami za dewizy.

Istotnym czynnikiem warunków i poziomu życia jest opieka lekarska, która w Polsce nie spełnia oczekiwań społeczeństwa i obietnic władzy. Nie jest to bowiem powszechna, bezpłatna opieka lekarska sprawowana na poziomie określonym przez zdobycze współczesnej medycyny. Niedoinwestowana — jak wszystkie dziedziny mające służyć zaspokojeniu potrzeb ludzkich — służba zdrowia nie jest w stanie spełnić tych oczekiwań i obywatele są tego w pełni świadomi. Wiadomo że w przypadku rzeczywiście ciężkiej choroby w rodzinie trzeba być przygotowanym na ogromne wydatki, jeśli się chce zapewnić choremu stosowną opiekę i leczenie. Jest wielu lekarzy którzy przyjęliby to stwierdzenie z oburzeniem; w swojej praktyce starają się usilnie nie stosować żadnych przywilejów wobec wybranych kategorii pacjentów i służyć pacjentom całą swoją wiedzą i wszelkimi środkami jakimi dysponują w swojej placówce i traktować ich wszystkich w sposób prawdziwie demokratyczny. Przy najlepszej woli i choćby pracowali po osiemnaście godzin

przez siedem dni w tygodniu (są i tacy) nie otrzymując dodatkowego wynagrodzenia, nie są w stanie zmienić faktu że nie wszyscy zgłaszający się mogą zostać przyjęci do szpitala, bo po prostu w szpitalach jest za mało miejsc w stosunku do potrzeb społeczeństwa. Że czeka się nieraz miesiącami na swoją kolejkę i że w tej sytuacji często chory wybiera najkosztowniejsze ale skuteczne rozwiązanie: idzie z prywatną wizytą do profesora, płaci 500 złotych honorarium i po jednej lub kilku takich wizytach na polecenie profesora zostaje szybko przyjęty na oddział. Albo że przy notorycznym braku pielęgniarek ciężko chory, który chce mieć dobrą opiekę przez całą noc, bierze pielęgniarkę prywatnie i płaci jej za noc 100-150 złotych. Na jedną pielęgniarkę dyżurną przypada tak wielka liczba pacjentów, że nie jest ona w stanie otoczyć wszystkich w ciężkim stanie naprawdę wystarczającą opieką, choćby się dwoiła i troiła przez całą noc. Prywatne dyżury są jedynym rozwiązaniem problemu a także jednym z niewielu dostępnych środków pomagającym pielęgniarkom związać koniec z końcem. (Że po takim płatnym, prywatnym dyżurze pielęgniarka bierze zimny prysznic, wypija gorącą kawę i bez chwili snu staje do ciężkiej całodiennej pracy, że pod wieczór leci na nos i może w tym stanie łatwo się pomylić wydając leki, że po krótkim czasie takiego życia traci młodość, urodę i zdrowie — tym nikt się specjalnie nie przejmuje).

W ostatnim okresie warunki pracy lekarzy uległy wyraźnemu pogorszeniu, obniżył się poziom opieki lekarskiej. Wprowadzono drastyczne ograniczenia w budżetach szpitali i klinik oraz innych placówek służby zdrowia, ograniczając fundusze przeznaczone na zakup sprzętu medycznego jak i na lekarstwa. W klinikach daje się odczuć brak nawet tak prymitywnych i elementarnych rzeczy jak miednice, ręczniki, talerze.

Pierwsze z brzegu przykłady: na klinice urologicznej Akademii Medycznej w jednym z miast wielokrotnie brakowało aparatów do przetaczania krwi. Jest to prosty

przyrząd, przeznaczony do jednorazowego użycia, nadsyłany z fabryki w sterylnym opakowaniu. Przepisy wydane przez ministerstwo zdrowia zabraniają lekarzom powtórnego użycia tego, taniego zresztą, aparatu, ze względu na niebezpieczeństwo infekcji. Zdarzało się wielokrotnie że w nagłych przypadkach brakowało nowych aparatów. Lekarze mając do wyboru albo zastosowanie się do litery przepisu i zaniechanie niezbędnego zabiegu albo złamanie przepisu i posłużenie się używanym aparatem oczywiście wybierają to drugie wyjście. Kryje się w nim jednak zawsze pewne niebezpieczeństwo dla chorego oraz naraża ono lekarza, zwłaszcza w wypadku pogorszenia się stanu pacjenta po zabiegu, na możliwość dotkliwych konsekwencji, ze sprawą karną i utratą praw wykonywania zawodu włącznie.

Zdarzyło się w jednej z klinik że półroczny przydział tych aparatów został zmniejszony dziesięciokrotnie a na interwencję odpowiedziano, że nie ma na to rady i że wszystkie kliniki w całym mieście otrzymały przydział tych aparatów obcięty w tej samej proporcji.

Na jednej z klinik psychiatrycznych tak bardzo obniżono kwartalny przydział funduszków na leki, że na jednego pacjenta dziennie przypadała kwota pozwalająca zaledwie pokryć koszt tak zwanej mieszanki profesorskiej, łagodnego środka uspokajającego. Dla psychiatrii, opierającej się w coraz większym stopniu na środkach chemicznych, dość kosztownych neuroleptykach itp., równało się to podcięciu jednej z najważniejszych możliwości skutecznego leczenia.

Często występuje dotkliwy brak krwi i plazmy, na skutek ograniczenia funduszków dla płatnych krwiodawców. Zdarzało się w ostatnich latach, że występował brak krwi w nagłych przypadkach chirurgicznych. W razie zabiegu chirurgicznego często żąda się od rodziny oddania pewnej ilości krwi.

Udział w życiu kulturalnym jest dla bardzo wielu rodzin luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko w bardzo ograniczonych dawkach. Książka, przy obecnych jej cenach, jest dla przeciętnie zarabiającego ojca rodziny artykułem zbytku, biblioteki publiczne są tak nędznie zaopatrzone, że nie ma mowy by mogły zaspokajać jakieś określone potrzeby czytelnicze, zwłaszcza jeśli chodzi o nowości. Książek którymi ludzie się rzeczywiście interesują wydaje się mało, a ich nakłady są tak znikome, że są to rzeczy dla większości w ogóle niedostępne.

Kino bynajmniej nie jest tanie, stale przy tym drożeje. Po każdym remoncie sali kinowej „przekwalifikowuje się” kino do wyższej kategorii i podnosi ceny biletów. Nieliczne nowozbudowane kina liczą po 25 i więcej złotych za jeden bilet. Ilość miejsc w kinach jest zupełnie niedostateczna, występuje to szczególnie jaskrawie w większych miastach. Parogodzinne wystawianie w kolejkach po bilety jest codziennym zjawiskiem.

Potrzeby kulturalne mas zaspokaja obecnie głównie telewizja, a jeśli się miało okazję zapoznać z tym co reprezentuje obecnie program telewizyjny w Polsce to się wie, że stwierdzenie to jest niemal przerażające. (Państwo nie pominęło okazji by wykorzystać popularność telewizji dla celów drenażowych, tak jak to się robi z samochodami, czekoladą i różnymi innymi produktami. Telewizor kosztuje w sklepie od 6 do 16 tysięcy złotych, podczas gdy koszt produkcji plus koszty dostarczenia aparatu do klienta nie przekraczają 30 procent tej sumy, resztę zgarnia państwo — prawem monopolisty. Poziom telewizji polskiej jest tak okropny między innymi dlatego, że państwo zabiera też sporą część wpływów z opłat za abonamenty i programy musi się robić za nędzne grosze).

Nie wszyscy odczuwają frustrację z powodu stałego niezaspokojenia swych potrzeb kulturalnych, zjawisko to

ogranicza się raczej do pewnej kategorii inteligencji i uczącej się młodzieży.

P o c z u c i e b e z r a d n o ś c i

Jednym z uczuć które dominują w życiu obywatela współczesnej Polski, wmontowanego w system biurokracji totalnej i oplątanego siecią urządzeń tego systemu jest uczucie bezradności i zagubienia, poczucie zależności od sił, na które nie ma się wpływu i których się nie rozumie.

Dotyczy to szeregu płaszczyzn życia ludzkiego: pracy, jej warunków, bezpieczeństwa i ciągłości zatrudnienia, wynagrodzenia; sfery konsumpcji, ilości i jakości towarów i usług jakie można otrzymać za wynagrodzenie za pracę; warunków spędzania wolnego czasu; planowania przyszłości swojej i swojej rodziny i zabezpieczania tej przyszłości; swobody wypowiedzania swoich poglądów.

Czy za rok będę mógł kupić za swoją pensję to co kupuję dziś? Czy za dwa miesiące nie znajdę się na liście przeznaczonych do zwolnienia z pracy „w ramach redukcji etatów”? Czy w odległości dwudziestu metrów za moim oknem nie postawią nowego bloku mieszkalnego i nie pozbawią mnie słońca w moim mieszkaniu? Czy mój syn, który dobrze zdał egzaminy do szkoły średniej, nie otrzyma jutro odpowiedzi że go nie przyjmują z braku miejsca? Czy autobus którym dojeżdżam do pracy nie spóźni się dziś o godzinę?

Dlaczego trzy lata temu w gazetach pisano pochwalne sprawozdania z amerykańskich filmów a dziś pisze się że te same filmy wywierają na nas zgubny wpływ? Dlaczego jeszcze niedawno temu Chińczycy byli cacy, a dzisiaj są be? Dlaczego mamy przyjaźnić się z Arabami? Dlaczego mamy dawać pieniądze na motorowery dla Wietnamczyków?

Symbolem groźnej, nie dającej się zrozumieć, kontrolować i przewidzieć rzeczywistości która nas otacza jest

centralne ogrzewanie. Tak zwany okres grzewczy zaczyna się nie wtedy kiedy się robi zimno a kończy nie wtedy kiedy jest dostatecznie ciepło, lecz w terminach przewidzianych przez administracyjne rozporządzenia, których anonimowi autorzy kryją się gdzieś na niedosiężnych wyżynach biurokratycznej hierarchii i kierują się nieprzeniknionymi motywami. W czasie największych mrozów zdarza się, że centralne ogrzewanie zostaje nagle wyłączone na kilka dni. Dotarcie do osoby, która mogłaby poinformować o przyczynach wyłączenia, jeśli w ogóle jest możliwe, zazwyczaj nie prowadzi do uzyskania informacji o tym jak długo jeszcze wszystkie mieszkania w całej kamienicy będą zamrożone. „Awaria”. Albo „regulacja”. Albo „generalny remont”. Albo „przechodzimy na inny system”. — Ale kiedy będzie się znowu grzać, na litość Boską? — Dziś jeszcze nie. Może jutro. A może za tydzień.

O takich wypadkach losowych nigdy się też nikogo nie informuje z góry, żeby się mógł w jakiś sposób przygotować, na przykład wyprowadzić do cici w Nowym Sączu.

Natomiast rachunki za centralne ogrzewanie trzeba płacić regularnie za cały tak zwany okres grzewczy, niezależnie od ilości awarii, regulacji, remontów i przechodzenia na inne systemy. Niezapłacone rachunki szybko trafiają do komornika i są sprawnie egzekwowane.

Na czym polega awaria? Co można zrobić żeby takim awariom zapobiegać na przyszłość? Dlaczego remont albo przechodzenie na inny system musi być dokonywane zimą, w czasie największych mrozów, a nie latem, w upały? Kto o tym wszystkim decyduje? I czy w ogóle jest ktoś taki? Kto wie na czym to wszystko polega? A może nikt nie wie?

System grzewczy kryje w sobie niezbadane tajemnice i nawet dziennikarze z działów miejskich i działów interwencji lokalnych popołudniówek zrezygnowali z przeniknięcia do sedna tych tajemnic.

Pozostaje odwołanie się do magii. Człowiek odwoływał się do środków magicznych wtedy, kiedy powodzenie ważnego przedsięwzięcia zależało od czynników na które nie miał wpływu. Na przykład tubylcy na wyspach Oceanu Spokojnego przed wyprawami dalekomorskimi budowali swoje czółna ogromnie solidnie, zgodnie z najmodniejszymi dzisiaj zasadami dobrej roboty, nie zdając się w tym na żadną magię. Dopiero przed wyruszeniem na morze przystępowali do zabiegów magicznych, by zapewnić sobie dobrą pogodę.

K r y z y s n o r m

Systemy uznawanych przez ludzi wartości i należące do nich zespoły norm regulujących postępowanie człowieka od ćwierć wieku przeżywają w Polsce niekończącą się serię trzęsień ziemi. Bezpośrednio przedtem był potężny wstrząs wojny i życia pod okupacją.

Warto zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej procesy zachodzące w tej dziedzinie. Pierwszy z nich to wyrzucenie tradycyjnych norm na śmietnik. Nie stało się to od razu, nie wszystkich objęło w jednakowym stopniu i nie wszystkie normy znalazły się już na śmietniku, ale znaczenie tego co się działo i kierunek zmian były jednoznaczne.

Jest to dość powszechny na świecie, stale towarzyszący rozwojowi człowieka, lecz w warunkach polskiej biurokracji totalnej przejawia pewne szczególne cechy: był i jest bardzo silnie napędzany i sterowany przez władzę wykorzystującą w tym celu dostępne jej środki oddziaływania na świadomość. Celem tej władzy było wpojenie nowych norm. Pierwszym, nieuniknionym etapem na drodze do tego celu — zniszczenie starych.

Nowy system norm który chciano wmontować w świadomość społeczną był ogromnie wymagający: ni mniej ni więcej tylko chciał w s z e l k i e możliwe dzia-

łania człowieka zorientować wobec jednej jedynej wartości. Tą wartością miał być interes rewolucji. Wszystko co sprzyja rewolucji jest dobre, etyczne, moralne, usprawiedliwione, godne poparcia i nagrody. Wszystko co szkodzi rewolucji a nawet co jest wobec jej interesu obojętne jest złe, niemoralne, wrogie, ma być tępione i karane.

Przyjęcie tego jedynego kryterium prowadziło natychmiast do sprzeczności z całą masą norm tradycyjnych, na przykład: jak pogodzić służenie interesowi rewolucji z obowiązkami wobec samego siebie (harmonijny rozwój swych możliwości, wierność swym osobistym upodobaniom i sympatiom itp.)? Z wiernością wobec więzów rodzinnych? Z lojalnością wobec określonej grupy społecznej, do której się przynależy? Z dziesięciorgiem przykazań? Z patriotyzmem? Z wartościami, które mają charakter aksjomatów, jak obowiązek obiektywizmu w nauce, równość obywateli wobec prawa, poszanowanie własności jednostki? Ze zdrowym rozsądkiem, który mówi że białe to białe a czarne to czarne? Ze wskazówką „nie rób drugiemu co tobie niemiło?” Z maksymą „Leben und leben lassen?” Z poszanowaniem prywatnej sfery życia ludzkiego? I tak dalej, i tak dalej — wyliczenie to można ciągnąć w nieskończoność.

Cały aparat biurokratyczny zaangażował się w niszczenie starych norm, których nie można było pogodzić z nowymi. Obawiam się że byłoby błędem niedocenianie skuteczności tej akcji, zwłaszcza w odniesieniu do ówczesnej młodzieży. Do dzieła zaprzęgnięto bardzo bogatą gamę środków oddziaływania: szkołę, prasę, literaturę, teatr, film. Organizacje młodzieżowe. Oraz życie: mechanizmy premiowania nawróconych i karania opornych; bardzo skuteczny środek oddziaływania.

W swoim czasie w Związku Sowieckim kreowano bohatera narodowym komsomolca, który zadenuncjował do NKWD rodziców, ukrywających resztkę zboża, by uratować się w ten sposób przed śmiercią głodową. Zos-

tał męczennikiem rewolucji — chłopci zastrzelili go, posłuszni starym normom solidarności grupowej.

W Polsce, w latach pięćdziesiątych, organizowano wycieczki grup studenckich do teatru na sztukę sowiecką „Ljubow Jarowaja”, w której nauczycielka-komunistka poświęca swego ukochanego męża sprzyjającego białym. Po teatrze organizowano dyskusję na której każdy musiał się wypowiadać jak ocenia bohaterkę sztuki. Jedna z dyskutantek oświadczyła, że mimo wszystko nie jest w stanie zmienić swego zdania, że żonę obowiązuje lojalność wobec męża, zwłaszcza jeśli się go kocha, i że nikt jej nie przekona, że takie postępowanie wobec męża nie jest ostatnim świństwem. Wyrzucono ją z ZMP a po ukończeniu studiów odmówiono przydziału pracy.

Drugim ważnym procesem był **b a n k r u c t w o** **n o w y c h n o r m**. Nowe normy prezentowały się bardzo dobrze w słowach utalentowanego mówcy wiecowego i w tekstach wyprodukowanych przez zdolnego publicystę. Było w swoim czasie naprawdę wielu ludzi w Polsce przekonanych o tym, że jedyną słuszną rzeczą jaką może zrobić porządny człowiek jest służenie rewolucji, bo jej cele są tak doskonałe, wzniosłe i tyle niosą dobrego, że usprawiedliwiają rzeczy bardzo nawet przykre. Za najporządniejszego człowieka zwykło się wtedy uważać Dzierżyńskiego: mordowanie bliźnich jest dla porządnego człowieka czymś obrzydliwym, jest nie do przyjęcia nawet dla przeciętnej, normalnej jednostki. Ktoś jednak musiał mordować wrogów rewolucji i jeśli Dzierżyński zabrał się do tego, to jakżeż wielkie było jego poświęcenie, jak się musiał biedaczek męczyć służąc rewolucji, jak cierpieć — a przecież się nie załamał i tylu ich w końcu wymordował. Osiągnął szczyty wielkości, poświęcenia i bohaterstwa.

Zważmy jednak, że jedynym punktem oparcia dla systemu nowych norm był pewnik o absolutnej doskonałości rewolucji i jej celów. W imię tego pewnika żądano podania się bolesnej operacji odrzucania starych norm i

przyjmowania nowych i poddawano się temu zabiegowi.

Tymczasem szybko zaczęło wyłazić szydło z worka: rewolucja nie osiągnęła swych celów, ludzie którzy mieli monopol orzekania co jest zgodne z jej interesem doszczętnie się skompromitowali — przede wszystkim zdradą rewolucji w swym własnym działaniu.

Społeczeństwo nie mogło nie widzieć jak się robi rewolucję: wille na koszt państwa dla tych co mieli wyłączne prawo interpretowania rewolucyjnego talmudu, porządne ubrania, szynka i pomarańcze zza żółtych firanek konsumów dla rewolucyjnej elity. Byli tacy co dali sobie wytłumaczyć, że dla dobra rewolucji, dla zbawienia ludzkości, dla zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka po wsze czasy należy od czasu do czasu zastrzelić tatusia (ale tak żeby się nie męczył), wtrącić do piwnicy siostrzyczkę, bez względu na jej sztuczną nogę, którą jej przyczepiono bo własną straciła w powstaniu. Cierpiało się przy tym, ale to nadawało patos i głębszy sens życiu, przenosiło je w wymiar greckiej tragedii, pozwalało zwykłemu zjadaczowi chleba osiągnąć wielkość. Ale nikt, mimo najlepszej woli, nie mógł pojąć do czego rewolucji jest potrzebne, żeby towarzysz Pomagała i towarzyszka Skrobalakowa, których ustami przemawia rewolucja, cudzołożyli akurat w buduarach umeblowanych na koszt państwa antykami, przeniesionymi z muzeum, niszczyli swe, tak cenne dla rewolucji, zdrowie przesadnymi dawkami francuskiego koniaku, rujnowali wątrobę tłustym węgorzem, narażali się pędząc po szosach z niedozwoloną szybkością w kapitalistycznych samochodach importowanych za dewizy.

Ale skoro rewolucja z jej celami to jakaś fikcja nie mająca nic wspólnego z życiem (albo utopia, albo jeszcze coś innego — mniejsza o słowa, służą nazwaniu tego samego — że żaden z pozytywnych celów rewolucji nie został osiągnięty i że nie widać abyśmy się do tego zbliżyli chociaż o milimetr) to co usprawiedliwia te wszystkie okropieństwa popełniane w jej imieniu, te

wszystkie świństwa, zdrady, podłości, podstępny, okrucieństwa, zbrodnie?! Zabytkowe łoże towarzysza Pomagały i towarzyszek Skrobalakowej i ich rujnująca żołądek dieta?! Gdzie ta wielkość? W co się przekształciła grecka tragedia?

W momencie kiedy człowiek zaczyna widzieć, że „rewolucja” to puste słowo — rozsypuje się w gruzy system norm, oparty na jedynym kryterium oceny działania człowieka, na służeniu interesowi rewolucji.

Wobec tego — powrót do starych norm? Nie takie to proste. Bo po drodze nabrało się pewnych przyzwyczajeń i odruchów. Kto pierwszy raz denuncjował przyjaciela dzieciństwa na UB, w pełni świadom, że w najlepszym wypadku przyjacielowi połamie kości, cierpiał przy tym niewymownie i oczywiście robił to w imię rewolucji. Przy którejś tam kolejnej denuncjacji o rewolucji już wcale nie myślał, a cierpienia nie były takie dotkliwe. A w końcu, kiedy już wie że rewolucja to bujda, pogodził się z denuncjacją jako dopuszczalną metodą osiągnięcia każdego celu. Cele rewolucyjne rozplynęły się jak fata-morgana po zachodzie słońca, ale są inne cele, póki się żyje, do jakichś celów się dąży. Zniknął rewolucjonista, ale pozostał denuncjator.

Bowiem normy mają to do siebie, że ograniczają, krępują działanie człowieka w dążeniu do celów. Bez wielu norm ma się do dyspozycji więcej środków działania, można iść szybciej, na skróty. Raz wyzwolona z więzów starych norm jednostka ma większą swobodę ruchów i łatwiej może zaspokajać swoje apetyty. Żyje się łatwiej i wygodniej.

Innym procesem, który się stale dokonuje jest zmuszanie jednostek do łamania norm które jeszcze uznają. Język potoczny określa tę procedurę jako zeszmacanie. *Z e s z m a c i ć s i ę* — postąpić, pod presją, wbrew swoim przekonaniom, w sposób jaki uważa się samemu za nieetyczny. *Z e s z m a c i ć k o g o ś* — zmusić go, żeby tak postąpił. Jest dziś w Polsce bardzo

niewielu ludzi, którzy nigdy nie przeszli przez akt zeszczenia.

Jedną z norm nieustannie łamanych w ten sposób jest norma sprzeciwiająca się wyrażaniu uczuć, których się nie podziela i poglądów których się nie wyznaje. W bagażniku z tradycyjnymi wartościami znajduje się wiele terminów ujemnie kwalifikujących wyrażanie takich uczuć i poglądów: kłamstwo, obłuda, hipokryzja, dwulicowość.

Typowa sytuacja: zebranie pracowników. Dyrektor, częściej sekretarz miejscowej organizacji partyjnej, albo przewodniczący rady zakładowej, proponuje uchwalenie rezolucji. (NB. tak się jakoś składa, że prawie zawsze rezolucja ma wyrażać negację czegoś, protest przeciw czemuś i ma świadczyć o uczuciach nienawiści, wrogości. Można to uznać za charakterystyczne dla atmosfery prześląkniętej agresją).

Treść rezolucji jest albo najzupełniej obojętna większości obecnych na sali albo, najczęściej, budzi w nich sprzeciw, czasem bardzo ostry. Z zasady jednak wszyscy obecni głosują za, podnosząc ręce wysoko i trzymając je w powietrzu dość długo, by uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.

Wzmocniona forma tego typu łamania norm polega na zmuszaniu niektórych do zabierania głosu na zebraniu i do wypowiadania się za rezolucją, przeciw komuś tam, często do wyrażania uczuć dokładnie przeciwnych tym, które się właśnie odczuwa.

Często chodzi o sprawy dość abstrakcyjne, spoza kręgu osobistych doświadczeń, jak potępienie „rekinów z Wall-Street” albo czegoś tam w Wietnamie. Zdarza się jednak, jak w 1968 roku, że głosowanie za rezolucją dotyczy wydarzeń, które się oglądało na własne oczy oraz losu ludzi, którzy żyją w tym samym mieście a także ludzi, których się zna osobiście i z którymi jest się związanym więzami koleżeństwa, wspólnej pracy, przyjaźni. Rezolucja zawiera stwierdzenia, o których wszyscy obecni wiedzą że są nieprawdziwe, skłamane od początku do

końca. Poza tym rezolucja może się stać ważnym etapem w niszczeniu człowieka, jednego spośród obecnych na sali, w procedurze pozbawienia go pracy, odcinania od ludzi, wpychania w nędzę, pozbawiania perspektyw na przyszłość, przy czym taka procedura dotyczy zazwyczaj także kilku osób z jego najbliższej rodziny.

W każdej z tych sytuacji powszechna reakcja polega na automatycznym, odruchowym podniesieniu ręki, kiedy pada pytanie: kto jest za?, oraz na zaplataniu palców (żeby się przypadkiem nie pomylić) na hasło: kto przeciw? kto się wstrzymuje?

Nieliczny procent zdobywa się na coś w rodzaju protestu. W dobrze wykalkulowanej chwili wychodzą do klozetu albo czasem udaje im się wyjechać poprzedniego dnia na delegację służbową. Wiedzą że i tak w protokole ktoś napisze że „rezolucję cała załoga podjęła jednogłośnie” i że nie będą tego prostować. Czują się jednak dzięki temu swojemu klozetowemu wybiegowi troszeczkę mniej zeszmaceni.

Żeby nieco pomóc wyobraźni czytelnika zagranicznego, udratyzujmy ten ogólny schemat i przywołajmy jakieś konkretne sytuacje. Na przykład: Ojciec studenta zmasakrowanego przez milicję i aresztowanego za udział w ulicznej demonstracji podnosi rękę za rezolucją potępiającą nieodpowiedzialne ekscesy młodzieży inspirowane przez wrogie ośrodki zagraniczne i wyrażającą solidarność z ofiarnymi obrońcami porządku i współczucie dla tych funkcjonariuszy, którzy ucierpieli podczas przywracania porządku.

Starszy ekonomista, który kocha się w pannie Krysi z działu księgowości, podnosi rękę za rezolucją potępiającą syjonistów a następnie za drugą domagającą się wykluczenie syjonistów z naszej społeczności, przy czym tak się składa, że panna Krysia jest syjonistką.

Przyznaję ze skrucą że wybrałam przykłady cokolwiek melodramatyczne (co nie znaczy nieprawdziwe) ale jest to ukłon w stronę czytelników, których nuży abstrak-

cja. A poza tym samo życie okazuje się tak melodramatyczne, że trudno je w tym prześcignąć.

Praktyka (wieloletnia — jest kilka milionów ludzi w tym kraju, którym towarzyszyła od lat wczesnej młodości, górnej i chmurnej, po wiek dojrzały i przejrzały, naznaczony wysokim czołem i zaokrągloną figurą) zmuszania ludzi do łamania norm, które akceptują nie pozostaje bez wpływu na tych ludzi. Tak jak nie pozostaje bez wpływu na jednostkę żaden trening, żadna tresura, żadna dostatecznie często powtarzana czynność.

Co dzieje się z człowiekiem który trenuje zeszmacanie? Akt zeszmacenia się wywołuje nieprzyjemny stan napięcia, dysharmonii wewnętrznej. (Objawia się to między innymi wzmożoną skłonnością do szukania ucieczki w alkoholu; po zebraniu, na którym uchwalilo się rezolucję, znaczna część obecnych rozpada się na małe grupki które podążają do swoich ulubionych knajp i tam piją do upadłego). Napięcie i dysharmonia wynikają ze sprzeczności między istnieniem normy a działaniem niezgodnym z tą normą.

Pojawia się naturalna dążność do pozbycia się napięcia, uwolnienia się od dysharmonii. W jaki sposób? Są tylko dwie możliwości: albo pozbyć się normy i wtedy działanie nie będzie z niczym sprzeczne. Albo zrobić z działaniem coś takiego żeby jednak nie kłóciło się ono z normą.

Nie można zmienić fizycznego faktu podniesienia ręki, sprawić by stał się faktem niebyłym. Ale można nadać mu inne znaczenie, obojętne wobec normy. (Można szczęśliwie przeżyć całe długie życie ze świadomością, że się jest świnią w czyichś oczach; trudno przeżyć tydzień będąc tą świnią we własnym mniemaniu).

Materiał empiryczny dowodzi, że poszukiwania rozwiązań tego problemu zazwyczaj zmierzają jednocześnie w obu kierunkach. Przy czym pozbywanie się normy oraz nadawanie sprzecznemu z nią działaniu nowych znaczeń nie dokonuje się w postaci jednorazowego, dramatycznego

aktu a jest raczej procesem stopniowym, rozciągniętym w czasie, polegającym — zgodnie z zasadami dialektyki marksistowskiej — na przechodzeniu zmian ilościowych w jakościowe oraz obrazującym (również zgodnie z tymi zasadami) wszechzwiązek i wzajemną zależność zjawisk.

Tak więc likwidowanie normy narażającej człowieka na doznawanie przykrych stanów odbywa się etapami. Etap pierwszy: *z r e l a t y w i z o w a n i e* normy — ograniczenie jej ważności różnymi warunkami. Jeśli jest to norma sprzeciwiająca się wyrażaniu poglądów, których się nie wyznaje to można sobie kolejno powiedzieć że:

1. Nie wszystkie poglądy podlegają tej normie.
2. Obowiązuje ona nie w każdych okolicznościach.

Można na przykład podzielić poglądy na ważne i nieistotne i ograniczyć normę tylko do ważnych poglądów. Do nieistotnych można zaliczyć te, których wyrażanie nie może nikomu zaszkodzić. Komu może zaszkodzić pogląd wyrażający ujemną ocenę moralną kapitalistycznych rekinów z Wall-Street? Albo wyrażający przekonanie że wicher historii zmiecie ich z powierzchni ziemi? (Nie jest to zresztą dobry przykład bo wicher wszystko zmiecie, ale widzą Państwo o co mi tu chodzi: o koncepcję historiozoficzną, w tym wypadku tak zwany materializm historyczny, z którą niekoniecznie musimy się zgadzać).

Z tego samego punktu widzenia można rozważyć sprawę poglądu na syjonistów i rewizjonistów. Pojęcia syjonisty i rewizjonisty są tak ogólne, że przez tę swoją ogólność nic praktycznie nie znaczą. Potępienie czegoś co nic nie znaczy nie może nikomu zaszkodzić, to tak jakby się potępiło tulizm albo drwęcstwo — słowa które w tej chwili wymyśliłam.

Dopiero kiedy się powie, że ktoś określony, wymieniony z imienia i nazwiska, jest rewizjonistą albo syjonistą, to jest to wyrażenie poglądu, który może temu komuś zaszkodzić.

Ale czy rzeczywiście? Przecież jeśli już jest g o t o w e nazwisko, które upatrzył sobie ktoś z góry, to jaki

wpływ na losy noszącego to nazwisko mogą mieć poglądy wyrażane na jego temat? Jest on z góry skazany i nic go obronić nie może.

Proces relatywizowania normy prowadzi po pewnym czasie do jej unicestwienia, tak jak krojenie salami po plasterku sprawia, że po pewnym czasie salami przestaje istnieć.

Nadawanie nowego znaczenia działaniu sprzecznemu z normą jest także całkiem wdzięcznym zajęciem. Na przykład: ktoś wyraża pogląd, którego nie podziela ale który jest tak krańcowo odmienny od jego własnego poglądu, że nikt w jego środowisku nie uwierzy, że pogląd wyrażony mógłby być jego własnym. Można wtedy przyjąć, że o tyle o ile to dotyczy ludzi ze środowiska, pogląd ten właściwie nie został wcale wyrażony, akt jego wyrażania był tylko pozorny, był konwencjonalnym gestem nie kryjącym żadnych głębszych treści.

Podobnie mieć się rzecz może z poglądami wyrażnie absurdalnymi. Skoro wszyscy mnie znają jako człowieka obdarzonego trzeźwym i wnikliwym spojrzeniem, nikomu nie przyjdzie do głowy, że absurdalny sąd, który w pewnych okolicznościach wyraziłem, może mieć coś wspólnego z moimi rzeczywistymi poglądami. A więc wyrażenie go nie było naruszeniem normy którą uznaję.

Z czasem nabiera się dużej wprawy w interpretowaniu swoich działań tak, by nie kolidowały z normami które nadal się wyznaje i coraz bardziej zbliża się do momentu w którym jest się zdolnym do nadania każdemu swojemu działaniu dowolnego znaczenia. Ma to ogromną zaletę: wyznając zasady stosowne dla przyzwoitego człowieka, pozostaje się przyzwoitym człowiekiem zupełnie niezależnie od tego jak się w rzeczywistości postępuje.

W rozwiązywaniu przez jednostkę problemu niezgodności jej norm z działaniem wielce pomocnym bywa, z zasady, zjawisko które można określić jako rodzaj samopomocy koleżeńskiej. Osobniki dotknięte napięciem i dysharmonią na skutek sprzeczności norm z działaniem udzie-

lają sobie nawzajem pomocy w rozładowywaniu napięcia i przywracaniu stanu wewnętrznej harmonii. Pomoc ta polega na uznaniu relatywizacji norm i nowych znaczeń nadanych działaniom, co bardzo ułatwia i przyspiesza te procesy. Jesteśmy tacy za jakich nas mają inni — to w dużym stopniu prawdziwe.

Zeszmacanie się zbiorowe, kolektywne, jest znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze. W s z y s c y uchwaliliśmy rezolucję, ale k a ż d y z nas dobrze wie że właściwie wcaleśmy jej nie uchwalili, co więcej, wszyscy nasi znajomi, których nie było na tym zebraniu i którzy przeczytają tę rezolucję w gazecie, będą o tym wiedzieć. Tak jak my będziemy wiedzieć to samo o rezolucjach, które oni uchwalili a o których myśmy przeczytali w gazecie.

Współdziałanie na tej niwie, zwłaszcza wśród tak zwanych intelektualistów pobudza ich wyobraźnię do wyczynów niewiarygodnych. Wzajemnie się zapładniają coraz to śmielszymi koncepcjami i powstają z tego konstrukcje zdolne w mgnieniu oka przywrócić równowagę ducha zaprzysiężonemu vegetarianinowi, który zeżarł całe pieczone prosię, abstynentowi który wyzłopał gorzelnię, wyznawcy monogamii który zaprowadził sobie harem, buddyście który wyrznął w pień całą szkółkę niedzielną. Co więcej — konstrukcje te mają taką moc, że każdy z nich pozostanie tym czym był: nieskazitelnym vegetarianinem, abstynentem, monogamistą, buddystą. W swoim własnym przekonaniu i w przekonaniu swego otoczenia. Czegoż więcej nam potrzeba?

Jedną z takich konstrukcji jest modna ostatnio wśród polskich krajowych intelektualistów i twórców i d e o l o g i a p r z e t r w a n i a. Oto ona:

— M y się z tym wszystkim nie zgadzamy. Jesteśmy pod tym względem wyjątkowi. W całym tym morzu barbarzyństwa tylko my jedni i my ostatni przechowujemy w sobie te prawdziwe wartości, one w nas żyją. Jeśli my zginiemy — zginą i one, jeśli przetrwamy — one przetrwają razem z nami.

— Z tego wynika że: im bardziej ktoś ceni owe prawdziwe wielkie wartości tym bardziej powinien dbać o własne przetrwanie. Jest bowiem bezcennym naczyniem i pancerzem chroniącym niewymierne dobra.

— Jest rzeczą oczywistą, że bezcenne naczynie i pancerz nie powinny być narażone w najmniejszym stopniu na stłuczenie i zardzewienie, powinny być chronione i konserwowane z najwyższą pieczołowitością i znajomością rzeczy.

Tak więc nosiciel wartości ma szereg obowiązków wobec narodu i całej ludzkości: powinien mieszkać wygodnie, odżywiać się regularnie i utrzymywać zrównoważoną dietę, posiadać stałe dochody w odpowiedniej wysokości a nade wszystko powinien chronić swą równowagę ducha i zdrowie psychiczne. Jest rzeczą powszechnie znaną zbawienny wpływ jaki na zdrowie duszy wywierają różne niewinne igraszki sprzyjające relaksowi, nie powinno ich więc nigdy braknąć nosicielowi.

Niestety zdarzają się jeszcze wśród nas parszywe owce, które dla prywaty, dla zdobycia krótkotrwałego i zwoźniczego rozgłosu, dla nasycenia miłości własnej, gotowe są zapomnieć o swoim obowiązku wobec narodu, wobec historii i szkodzą sprawie swego i naszego przetrwania.

Taki Mrozek, taki Andrzejewski i tacy inni: proszę czego się oni dopuścili? Dla błysnięcia, dla chwili osobistej satysfakcji i dla poklasku gawiedzi narazili naczynia, pancerze, wartości, siebie i nas razem z sobą. Poszli na łatwiznę, kierując się czysto egoistycznymi motywami. Ale my nie tacy, to się po nas nie pokaże. My przetrwamy. (Niestety, zdaje się, że w tym punkcie mają rację. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że przetrwają. Ich gatunek jest nieśmiertelny).

W sumie: na skutek naszkicowanych tu procesów (a także zapewne w związku z innymi zjawiskami) obserwujemy w dzisiejszej Polsce masowe odejście od norm etycznych i moralnych regulujących działania człowieka. Normy te są zastępowane przez normy o charakterze ins-

trumentalnym, które można nazwać normami technicznymi. Określają one najsukuteczniejsze sposoby osiągnięcia pożądaných celów. Zasadę *fair play* zastępuje zasada kumoterstwa i tak dalej.

Do jakich celów się dąży? Po dwudziestu pięciu latach egzystowania w systemie biurokracji totalnej ludność nauczyła się realizmu w określaniu swoich celów życiowych. Dąży się do takich celów, które są osiągalne. W tej mierze każdy przeciętny obywatel przejawia zaskakująco wysoki stopień obiektywizmu, trzeźwości i bystrości. Żadnych tam psychologicznych subtelności, motywacyjnych dewiacji, mitologizowania, *wishful thinking*, ani krzty solipsyzmu i w ogóle — bez majaczeń. Tu się stoi na gruncie jednoznacznym ontologicznie. Byt jest materialny, poznawalny i przy niezbędnej dozie przytomności umysłu można bytować całkiem wygodnie. *Savoir pour prévoir* — *prévoir pour prévenir*, jak powiedział klasyk.

Nierealne są wszystkie te cele które dotyczą losu większych grup. Większych niż rodzina, grupa przyjaciół utrzymujących ściśle osobiste stosunki lub grupa sojuszników których łączy zbieżność ich osobistych celów. Bowiem los większych grup zależy całkowicie od biurokracji totalnej.

Realne są cele dotyczące losu jednostki i małych grup połączonych osobistymi więzami i na osiągnięciu takich właśnie celów koncentruje się przeciętny mieszkaniec PRL. Jeśli piszę „realne” nie chcę przez to powiedzieć, że są to cele łatwe do osiągnięcia. Większość stojących do wyścigu nigdy ich w pełni nie osiągnie ani nawet wyraźnie się do nich nie zbliży.

Degradacja stosunków międzyludzkich

Dalszym następstwem wieloletniego funkcjonowania systemu biurokracji totalnej jest degradacja stosunków międzyludzkich.

Obojętność

Chłodna obojętność w stosunkach między ludźmi jest jedną z dominujących cech obrazu świata zachodniego, fabrykowanego na użytek poddanych w kraju. Czytelnicy mają odbite w mózgach klisze współczesnych dziewczynek z zapalkami i staruszek mdlejących z głodu na ulicach kapitalistycznych stolic, trатовanych przez tłum zimnych egoistów prących niepowstrzymanie naprzód w pogoni za dolarem. A my tutaj w tym socjalizmie sami Samarytanie.

Ani źródła pisane — statystyki, prasa poszczególnych krajów, literatura piękna, literatura z zakresu nauk społecznych, materiał empiryczny nagromadzony przez socjologów i różnych innych badaczy życia społecznego, ani osobiste doświadczenia wielu osób, nie wydają się potwierdzać tej kliszy. Kontrast istnieje, ale biegunowo przeciwny. Tam stosunki są cieplejsze, bardziej ludzkie, u nas bardziej nacechowane obojętnością.

Jest to zupełnie zrozumiałe, obojętność wobec losu innych należących do tej samej społeczności wynika z trwającej przez lata świadomości, że nie ma się i nie może się mieć żadnego wpływu na warunki swojej społecznej egzystencji. Jednostka odwraca się od społeczności, traci zainteresowanie tą społecznością, koncentruje się na losie własnym i na losie najbliższych. W pozostałych dziedzinach życia w coraz większym stopniu przejawia fatalistyczną obojętność i zatracą poczucie współodpowiedzialności już nie tylko za losy kraju, miasta, powiatu ale i za losy swojego bezpośredniego otoczenia społecznego: swojego zakładu pracy, uczelni, grupy sąsiedzkiej, grupy zawodowej, klubu sportowego.

Poza małą grupą najbliższych pozostałe układy odniesienia w społecznej egzystencji współczesnego Polaka mają dla niego najczęściej już tylko znaczenie instrumentalne; są istotne o tyle, o ile mogą pomóc lub zaszkodzić w urzeczywistnianiu bezpośrednich celów życiowych ta-

kich jak kariera zawodowa, zwiększanie dobrobytu i prestiżu swojej rodziny. Wydaje się że jest to w tych warunkach proces naturalny i nieuchronny. (Różne badania socjologiczne, między innymi z zakresu socjologii miasta, socjologii wsi, socjologii pracy, prowadzone w ostatnich latach w Polsce dostarczają materiałów potwierdzających to spostrzeżenie. NB. wyniki tych badań albo znikają w szufladach katedr uniwersyteckich albo są publikowane w znikomych nakładach, często traktowane jako *reservata* i praktycznie niedostępne szerszej publiczności. Poza tym autorzy stosują autocenzurę i są bardzo ostrożni w wyciąganiu wniosków i formułowaniu uogólnień, jak zresztą i w samym doborze tematów).

Charakter życia społecznego, zdominowanego i zinfiltrowanego przez aparat biurokracji totalnej i najrozmaitsze jego agendy sprawia, że w świadomości jednostki granica oddzielająca „swoich” od „obcych”, „nas” od „nich” przesuwana się coraz bliżej jednostki i zatacza krąg obejmujący już tylko nielicznych, zaufanych i wypróbowanych, z którymi się utrzymuje stosunki „twarzą w twarz”. Cała reszta, w coraz większym stopniu, staje się w odczuciu jednostki obojętna, niebezpieczna lub wroga.

Znajduje to wyraz także w różnych szczegółach obyczajowych wpływających na atmosferę codziennego życia. W Londynie wystarczy stanąć na rogu ulicy, wyjść z kieszeni plan miasta i zacząć się rozglądać wokoło z niepewną miną, by po chwili podszedł ktoś i zapytał z uśmiechem: Czy mogę pani w czymś pomóc? Wskażą drogę, wytłumaczą szczegółowo a potem jeszcze patrzą i sprawdzają czy się poszło w dobrym kierunku. O wiele dziwniejsze jest to, że w mieście o tak potwornej ilości samochodów, gdzie wszyscy bardzo się spieszą, zawsze się znajdzie ktoś kto samorzutnie zaofiaruje się popchać samochód, który zatrzymał się na ulicy i nie chce zapalić. Tego rodzaju reakcje mają swoje głębsze przyczyny, łączące się z obrazem mechanizmu życia społecznego w

świadomości jednostek. Ludzie wiedzą że ich społeczeństwo funkcjonuje na zasadzie współpracy i wzajemnej pomocy i że dzięki temu jest się bezpiecznym i ma się zapewnione minimum wygod w każdej sytuacji.

W Moskwie, nie dalej niż 300 metrów od Kremla, o jedenastej rano na postoju taksówek natknęłam się na pijanego w sztok, leżał w śniegu. Usiłowałam wytłumaczyć taksówkarzom, że coś z nim trzeba zrobić, może za-telefonować po pogotowie. „Nic mu nie będzie, wyśpi się i pójdzie do domu”, uspokajali z dobrodusznym uśmiechem, zdziwieni tym wystąpieniem. Ja idę swoją drogą, ty bracie, swoją i lepiej niech każdy z nas pilnuje swego nosa. Te same sceny są typowe dla Moskwy, Warszawy, Krakowa.

Z tym że w Moskwie z pewnością częściej niż w Warszawie dodatkowym czynnikiem obojętności jest zwykły lęk. Pewien młody człowiek który przed kilku laty wrócił ze studiów w Związku Sowieckim, opowiedział następującą scenkę rodzajową: na ławkach w parku siedzą w południe babcie z robótkami na drutach, wypoczywający przechodnie, studenci. Nagle za plecami rozlega się krzyk, jacyś ludzie chwytają młodego człowieka pod ramiona i ciągną do samochodu. N i k t nie reaguje, nie zmienia się wyraz żadnej twarzy, żadna głowa nie odwraca się ani o centymetr. Tylko polski student zrywa się z ławki. Siedząca obok niego babuszka nie podnosząc oczu znad robótki mówi przenikliwym szeptem: *sadiś, nie twaio dieło!* Pilnuj swojej własnej głowy...

K o n k u r e n c j a

Charakterystyczną cechą życia w dzisiejszej Polsce są od dawna najrozmaitsze dysproporcje a najważniejszą jest chyba dysproporcja między rozbudzonymi potrzebami a możliwościami ich zaspokojenia na jakąkolwiek szerszą skalę. Jak próbowałam to poprzednio naszkicować, dys-

proporcje dotyczą wszelkich możliwych potrzeb i wszelkich dziedzin ludzkiego życia (z wyjątkiem chyba jednej — potrzeby alkoholu). Rozbieżność między uświadomionymi potrzebami obywateli a możliwościami ich zaspokojenia przez system społeczny w którym żyją występuje zarówno w sferze materialnej jak i intelektualnej, warunków i możliwości w pracy i w wypoczynku, w budownictwie mieszkaniowym i w szkolnictwie, w gospodarce komunalnej i służbie zdrowia — wszędzie i na każdym kroku.

Co się dzieje jeśli te dysproporcje pojawiają się w społeczeństwie dotkniętym kryzysem norm regulujących postępowanie człowieka wobec innych? Powstaje w tej sytuacji zjawisko morderczej konkurencji i rywalizacji. W taką właśnie morderczą konkurencję i rywalizację jest uwikłany na codzień przeciętny obywatel dzisiejszej Polski. Dysproporcje są potężnym bodźcem tej rywalizacji, kryzys norm unieruchamia hamulce narzucające jednostce jakieś zasady *fair play*.

Biurokratyczne państwo stanowi mur nie do przebicia dla rozproszonych jednostek i dla zdeintegrowanych grup. Świadomość tej elementarnej prawdy społecznej tkwi już we krwi współczesnego Polaka, stała się elementem jego intuicyjnego poglądu na świat. Pomysł że można by doprowadzić do lepszego zaspokajania potrzeb obywateli poprzez oddziaływanie na państwo, na jego gospodarkę, instytucje, urządzenia polityczne, nikomu „normalnemu” nie przychodzi w tym kraju do głowy. Pozostaje droga rywalizacji z innymi jednostkami.

Rywalizacja o lepsze zaspokojenie potrzeb swoich i swojej rodziny przybiera dziś w Polsce formy brutalnej walki, w której obowiązuje prawo pięści. W tej walce jednostka jest zdana sama na siebie i na chwilowych sprzymierzeńców w operacjach taktycznych.

Naturalną koleją rzeczy słabi idą na dno. Do nich dołączają ci którzy w działaniu są skrępowani nadmiernymi hamulcami natury etycznej i moralnej. Jak łatwo

zauważyć dokonuje się przy tej okazji selekcja windująca po szczeblach hierarchii społecznej pewne specyficzne typy jednostek.

Ten stan rzeczy, na zasadzie ujemnego sprzężenia zwrotnego, wzmacnia pozycje ulokowanych na szczycie piramidy biurokratycznej i zmniejsza szanse przeciwstawienia się społeczeństwa systemowi biurokracji totalnej, zmniejsza jego zdolność oporu.

Jednym z mechanizmów wzmacniających władzę jest w tej sytuacji instytucja szczucia jednych kategorii społecznych przeciw drugim. Ludzie łatwo dają się podszczuwać na innych, bo ożywia ich wtedy jeden z głównych motywów ich egzystencji: motyw pozbycia się konkurentów. Dlatego właśnie zawsze mają zapewnione powodzenie takie imprezy jak ostatnie kampanie przeciw rewizjonistom i syjonistom. Hasła tych kampanii są zupełnie nieistotne, bo w mózgach tych którzy się do nich przyłączają i tak zawsze i niezmiennie figuruje tylko jedno hasło: u t r a c i ć k o n k u r e n c j ę.

Każda czystka pozostawia po sobie pewną ilość białych plam: wolnych posad, synekur, stanowisk, które rzuca się między najgłośniejszych i najofiarniej gryzących uczestników nagonki.

Na zebraniu słuchaczy Centralnej Szkoły Partyjnej w Warszawie Zenon Kliszko wyjaśniał aktualną sytuację w kraju, ze szczególnym uwzględnieniem prasy, radia i telewizji. Z dość znudzonymi minami słuchano banałów o tym kto według najnowszej mody jest rewizjonistą i na czym to polega i w czym się objawia i jak można odróżnić syjonistę od Żyda i kto jest najniebezpieczniejszy. Dopiero kiedy w konkluzji obwieścił, że na skutek tego wszystkiego zwolni się w najbliższym czasie kilkaset stanowisk w prasie, radiu i telewizji które trzeba będzie obsadzić towarzyszami o właściwym obliczu politycznym, zerwała się burza oklasków i fala entuzjazmu ogarnęła ten marksistowski cheder.

Przed kilku laty w miastach uniwersyteckich posłano

przymusowo na emeryturę całą grupę profesorów wyższych uczelni. Było to posunięcie w oczywisty sposób godzące w interes nauki polskiej, ale nie spotkało się z żadnym niemal sprzeciwem w kołach uniwersyteckich. Opróżniły się stanowiska! Pora myśleć jak się na nie wywindować a nie na próżne wysiłki zawracania koła historii.

Znamienne, że właśnie w niektórych środowiskach uniwersyteckich spotkaliśmy się z brutalnymi próbami usunięcia konkurentów przy pomocy zdyskontowania anty-rewizjonistycznej nagonki i nacjonalistycznych uniesień zarządzonych przez partię. Zdarzały się na przykład wypadki atakowania kolegów asystentów w miejscowej codziennej gazecie partyjnej i oskarżania ich o odstępstwa od marksizmu i o niepatriotyczną postawę.

Sztuka wykorzystywania koniunktury nie obca jest i studentom. Na ćwiczeniach i seminariach niektórzy usilnie wykazują swoją właściwą postawę polityczną i dojrzałość ideologiczną recytując i rozwijając fragmenty tekstów w których właśnie wyłożono narodowi aktualną linię partyjną. Jest szczególnie interesujące i przykre zarazem, że to nowe dla obecnego pokolenia studentów zjawisko pojawia się najczęściej spontanicznie, oddolnie. Za czasów zetempowskich takie wystąpienia odbywały się zazwyczaj na komendę organizacji i pod jej batutą, były zaplanowane i stanowiły część zsynchronizowanej akcji. Teraz jesteśmy świadkami ochotniczego zaciągu hunweybinów, którzy nauczyli się wyciągać wnioski z przeszłości i mają wielkie apetyty na przyszłość.

Bowiem jedną z pierwszych rzeczy jakich się uczy młode pokolenie o otaczającym je świecie i o życiu które się dla niego zaczyna jest to że na każdym kroku czeka twardy opór konkurencji.

Nie wszyscy są tacy. Ale tym którzy tacy nie są często przychodzi gorzko płacić za swoją odrębność.

Młodzież jest ulubionym, żelaznym tematem krajowej publicystyki, podobnie zresztą jak na całym świecie.

Główna troska autorów tych publikacji sprowadzała się do stwierdzenia: Młodzież nie jest dostatecznie zaangażowana i dostatecznie ideowa.

Rzeczywiście, w latach „naszej małej stabilizacji”, kiedy lansowano raczej pozytywistyczne ideały i kiedy najważniejszym hasłem prezentowanym młodzieży było „ucz się i pracuj”, obserwowaliśmy zupełny spadek napięcia emocjonalnego które jest niezbędne dla zaangażowania ideowego.

Dzisiejsi osiemnastolatki nie mają nic wspólnego ze swymi starszymi braćmi którzy w zielonych koszulach i czerwonych krawatach Związku Młodzieży Polskiej głodni i niedomocy, z płonącymi oczyma, po osiemnaście godzin na dobę agitowali chłopów za kołchozami, ratowali plany produkcyjne w fabrykach, dyskutowali o „Kapitale” Marksa i „Materializmie a empiriokrytycyzmie” Lenina, a nocą czytali jeszcze „Poemat pedagogiczny” Makarenki. (Tych nie znajdziecie wielu na szczytach partyjnej hierarchii. To inteligenckie mięczaki, to oni po referacie Chruszczowa strącającym z piedestału Wielkiego Chorażego Pokoju zapijali się na śmierć z rozpacz albo zażywali czterdzieści tabletek luminalu. Niektórzy podzielili los Robespierre’a, pozostali usunęli się w cień, zgorzkniali, przedwcześnie postarziali, apatyczni, odchоровujący teraz krótkie lata rewolucyjnej euforii. „Do przodu” są zawsze ci o twardych łokciach i zimnych spojrzeniach, ci którzy po zebraniach zetempowskich pisali raporty do UB — nie dające się wykorzeńić, rozplenione plemię Fouché’go).

Cyniczna prowokacja którą eufemistycznie określa się jako „wypadki marcowe” powinna była uszczęśliwić publicystów zatroskanych o morale młodzieży: oto nareszcie te nasze socjalistyczne pieszczoszki, obojętne na wszystko poza ciuchami, *big-beat*’em, gablotą, cizią i kamerą, oto ci potulni, bezideowi, konformistyczni — nareszcie w coś się na serio zaangażowali!

Publicyści wczółgali się ze strachu pod redakcyjne

biurka, zaszyli się w najbardziej zakazanych knajpach przedmiejskich, skąd zresztą zaraz ich wyciągnięto za kołnierz i kazano pluć na komendę salwami w tych nareszcie zaangażowanych.

Młodzież, niemal wyłącznie studenci i małe grupy uczniów szkół średnich, przeżywała krótkie, wspaniałe dni. Mieli świadomość że walczą o słuszną sprawę, że nareszcie są naprawdę potrzebni, że są ofiarnymi bojownikami w obronie człowieczeństwa, humanizmu, wszystkich bezspornych wartości które — jak się okazało — miały dla młodzieży niebagatelne znaczenie.

Wiemy jak to się skończyło. Z młodzieżą która pełna dobrej wiary i entuzjazmu wyszła na ulice by d a ć coś z siebie społeczeństwu nie podjęto nawet pozornej dyskusji. Potraktowano ją jak zgraję niebezpiecznych kryminalistów którzy wyłamali się z Sing-Singu. Milicja wsparta przez chuliganerię łamała kości i wybijiała zęby każdemu kto znalazł się w polu widzenia (najchętniej dziewczynom, słabszym, mniej sprawnym fizycznie; bito też z upodobaniem staruszki które na wieczornym spacerze przypadkiem znalazły się w okolicach uniwersytetu).

A z trybun wiecowych, z radia, telewizji i z łamów gazet popłynął na nareszcie zaangażowanych stek najniewybredniejszych oszczerstw i obelg, wylewano im na głowę całe kubły z nieczystościami.

Zaraz potem przyszły represje, aresztowania i przesłuchania, relegowanie z uczelni, wyrzucanie z pracy rodziców i krewnych.

Przeżyli szok. Najpierw wyprowadzono ich na ulicę, potem sponiewierano, by w końcu pozostawić samym sobie i kazać zaprzeć się wszystkiego, w imię czego się zaangażowali, samokrytycznie przyznać się do winy.

Takie doświadczenia bywają punktem zwrotnym w biografii człowieka. Wiele tygodni spędziłam niemal wyłącznie w środowisku studenckim i nabrałam zupełnej pewności, że wypadki marcowe dla młodzieży która w nich uczestniczyła, a pośrednio dla całego pokolenia dzi-

siejszych dwudziestolatków, będą miały zasadnicze znaczenie w ukształtowaniu ich charakteru, poglądu na świat, stosunku do życia i społeczeństwa.

Po doświadczeniach marca zaangażowani mają tylko dwie drogi przed sobą: walczyć dalej albo ugiąć się zupełnie i prawdopodobnie już raz na zawsze.

Ilu wybrało i wybierze drogę walki? Obawiam się, że można ich policzyć na palcach. (Kuroń i Modzelewski są przykładem takiego wyboru, ze stoickim spokojem przyjmują kolejne wyroki dyktowane sądowi przez UB, odsiadują swoje i mówią: przecież wy, komuniści, którzy dzisiaj jesteście u władzy, za sanacji pół życia spędziliście w więzieniu. Teraz kolej na nas).

Pozostali poszli drugą drogą. Ani się dziwić, ani mieć im tego za złe, nie można. Działa szereg czynników, wśród których presja rodziny i z kolei troska o tę rodzinę, tak zwany zdrowy rozsądek, instynkt samozachowawczy, grają istotną rolę.

Ale co z tego wyniknie? Mielśmy szereg faktów świadczących, że brutalna i cyniczna lekcja nie poszła w las. Roczniki które w indeksach będą miały zapisany rok akademicki 1967/68 roić się będą za dziesięć lat od skrajnych konformistów, arraywistów, karierowiczów, kolaborantów każdej władzy uzbrojonej w pałę. A także od depresyjnych, sfrustrowanych nerwicowców, pełnych lęku przed życiem, chowających głowy w piasek lub szukających ucieczki w alkoholu i seksie. (Tylko niektórzy wyciągną z tych wydarzeń najlogiczniejszy wniosek i przy pierwszej nadarzającej się okazji przedostaną się na Zachód).

A g r e s j a

Z psychologicznego punktu widzenia odnosi się wrażenie, że ludzie w Polsce, w stopniu o wiele większym niż w innych społeczeństwach, naładowani są agresją.

Agresja jest następstwem frustracji, zjawiska pospolitego w społeczeństwie opanowanym przez totalną biurokrację.

Niewspółmierne do bodźców agresywne reakcje są stałym elementem codziennej polskiej egzystencji, co jest kolejnym czynnikiem obniżania się poziomu stosunków międzyludzkich w tym kraju. Obserwuje się stały regres poziomu współżycia z bliźnimi, obniżanie się kultury wzajemnych stosunków między ludźmi, nie tylko pod względem treści ale i formy. (*Not to grin is a sin* — szydzą sami z siebie Amerykanie. Akurat odwrotnie w Polsce. Bezwzględność, brutalność, chamstwo, stają się nieodzownym sprzymierzeńcem zarówno w zabiegach o awans w pracy jak i o miejsce w tramwaju. Liczenie się z innymi poczytywane jest za dowód słabości i prowadzi do porażki). Zewnętrzne oznaki agresywnych reakcji, jak ponury i wściekły wyraz twarzy, opryskliwy ton, szorstki sposób zachowania się stały się dla większości ludzi odruchem warunkowym występującym automatycznie w styczności z innymi, zwłaszcza z obcymi. Odwrotnie niż na Zachodzie i może także w innych krajach, gdzie pojawienie się innego człowieka, a zwłaszcza kogoś obcego, wyzwała zazwyczaj odruchowe uśmiechy i inne reakcje mające świadczyć o przychylniej, przyjaznej postawie. (Oczywiście, zazwyczaj jest to forma, która może o niczym nie świadczyć i podobno najczęściej nie świadczy o niczym, jak utrzymują niezadowoleni z tych swoich społeczeństw krytycy, choć osobiście nie jestem tego taka pewna).

Równolegle do tych form zachowania się w sytuacjach kiedy się wie, że można sobie na to bezkarnie pozwolić, występują formy uzupełniające (analogicznie do stosunku wzajemnego uzupełniania się jaki zachodzi między uderzającą pięścią i uderzanym nosem); uniżoność, płaszczenie się, merdanie ogonem, wszelkie możliwe objawy czołobitnej pokory i lizusostwo we wszelkich możliwych postaciach, oczywiście stopniowane odpowiednio do powagi sytuacji oraz do dystansu dzielącego obie strony na skali

społecznej hierarchii, oraz do stopnia dominowania jednej strony nad drugą. Lokajstwo bezgraniczne. Świat żywcem przeniesiony z Gogola, wypisz, wymaluj.

Wprowadza to do stosunków między ludźmi sztuczną, wymuszoną, napiętą i naprawdę trudną do zniesienia atmosferę.

Grupa działaczy szczebla wojewódzkiego udała się w teren w bliżej nieokreślonych lecz ściśle służbowych celach. Po męczącym dniu postanowiono wizytować prywatną kawiarnię w miejscowości uzdrowskiej, słynną z gustownego wnętrza i dobrego zaopatrzenia w napoje i zakąski. Był późny wieczór, lokal od dawna zamknięty. Wojewódzcy bonzowie przeraźliwym łomotaniem w okiennice podnieśli właścicieli na nogi w ciągu paru minut. Tak się złożyło, że byłem świadkiem i uczestnikiem tych wydarzeń i pozostanie to zawsze jednym z bardziej soczystych i pouczających wspomnień.

Właściciele kawiarenki dla wybranej klienteli (bariera cen trzyma resztę na dystans) są ludźmi kulturalnymi, nie pierwszej młodości, w typie BZ (byli ziemianie). Mimo że lecieli z nóg po całodiennej pracy przyjęli działaczy jak miłych, prywatnych gości. Przez pierwszych dwadzieścia minut sztywna niezręczność i przesadzona grzeczność gości kontrastowały ze swobodnym sposobem bycia gospodarzy. W miarę jak kosztowne trunki i zakąski znikały w zawrotnym tempie w żołądkach działaczy, dokonywała się efektowna metamorfoza. Zrelaksowani goście zaczęli być sobą. Tak jak król wszędzie w swoim kraju jest we własnym domu, tak aparaczyk z województwa wszędzie w powiecie czuje się jak na własnym podwórku.

Trzeba to było widzieć i słyszeć. Te dorożkarskie dowcipy, zawierające samą wulgarność i ani krzty humoru, ten ryk entuzjazmu kiedy Najważniejszy bawił towarzystwo konceptami w rodzaju „dupa — cipa he-he-he!”. Gospodarze robili dobrą minę do złej gry. Mieli tylko dwie rzeczy do wyboru: albo wziąć gości za kark i wy-

rzucić ich z domu ryzykując koncesję i narażając się na utratę podstaw egzystencji. Albo wytrwać na posterunku. Pani domu z zimną krwią i uprzejmym uśmiechem omawiała najnowsze plotki z życia gwiazd filmowych, podczas gdy Najważniejszy pchał jej jedną rękę pod spódnicę a drugą za dekolt, bekając przy tym donośnie. Pan domu napełniał kieliszki a w przerwach usiłował bawić gości anegdotami myśliwskimi.

Działacze ledwie trzymali się na nogach ale żadna ilość alkoholu nie była w stanie zamącić ich poczucia hierarchii. Gospodarze byli gdzieś na samym dole, całkowicie zależni od każdego z gości z osobna i od wszystkich razem, można ich więc było traktować jak manekiny, nie troszcząc się o to jak zareagują. Najważniejszy, najbardziej zalany ze wszystkich, był przedmiotem ciągłej czujności. Oczy spoczywały na jego wargach w oczekiwaniu na kolejne „dupa — cipa he-he-he”, po którym następowały wymuszone rechoty fagasów. (Jeden śmiał się szczerze, takie już miał proletariackie poczucie humoru). Kiedy Najważniejszy intonował sprośne śpiewki ludowe, przerywano żarcie i picie włączając się gorliwie do chóru.

Jeden z działaczy, starszy człowiek, jakiś mało ważny członek podrzędnej komisji, zaczął wzbraniać się przed piciem. Najważniejszy wlał w niego szklankę koniaku i wpychał mu w usta kanapki, polewając krawat i koszulę oliwą z sardynek. Gdy potem ów starszy pochylił się nad półką z książkami, Najważniejszy uniósł jego marynarkę i wymierzył mu potężnego klapsa w siedzenie. Ofiara wyrznęła głową w ścianę, spadły okulary, usta złożyły się do wymuszonego uśmiechu.

Najważniejszy skończył pod stołem, obdarzywszy przedtem sążnistymi klapsami pana i panią domu oraz nasikawszy do palmy stojącej pod oknem.

Nie muszę dodawać, że cała impreza odbyła się na koszt gospodarzy, którzy na odjezdnym włożyli jeszcze do teczki Najważniejszego butelkę francuskiego koniaku.

Żyjemy zanurzeni w oceanie chamstwa i brutalności.

Wystarczy przejechać kilka przystanków tramwajem, by być świadkiem co najmniej jednej dzikiej awantury między pasażerami. Kierowcy samochodów, pewni swej bezkarności, zrobili sobie sport z obrzucania przechodniów najbardziej wulgarnymi wyzwiskami. (Felietonisci prasy stołecznej lubią przytaczać te „rodzajowe scenki” nie kryjąc sympatii dla taksówkarzy, symbolizujących w ich oczach folklor i zdrową, narodową krzepę ludu warszawskiego). Przechodzień może też być pewien, że kiedy zechce przejść ulicę na skrzyżowaniu, kierowca doda gazu żeby go wypłoszyć. Wielu kierowców rozładowuje swoje kompleksy ochlapując przechodniów błotem z kałuży.

Osobnym rozdziałem jest to co dzieje się we wspólnych mieszkaniach dzielonych przez dwie lub więcej rodzin. Gdyby opisać wszelkie stosowane sposoby wzajemnego obrzydzania sobie życia, powstałby tom grubości encyklopedii. Mała próbka: gaszenie światła, kiedy sąsiad siedzi w klozecie; wsypywanie zawartości popielniczki do zupy sąsiada, którą gotuje się we wspólnej kuchni; włączanie odkurzacza kiedy sąsiad zaczyna patrzeć na telewizję (gwarantowane zakłócenia na ekranie) i włączanie radia na cały regulator, kiedy sąsiad chce spać. To tylko najniewinniejsze z łagodnych sposobów. Standardowa recepta to po prostu bicie słabszych po pijanemu.

Doprowadzona do ostateczności przez współlokatorów staruszka oblała się benzyną i podpaliła. Ktoś wyskoczył z szóstego piętra na bruk, rozbiwszy przedtem siekierą głowę współlokatorce.

Tego rodzaju rzeczy zdarzają się w każdym kraju na świecie, ale nie wszędzie — albo prawie nigdzie — nie są tak częste, nie nasycają w tak wielkim stopniu codziennego życia zwyczajnych obywateli, nie są tak pospolite.

Ogromnie rozpowszechnione są akty bezmyślnego wandalizmu, w których ludzie wyładowują swe agresje na martwych przedmiotach, jak ławki w parkach, latarnie uliczne, szyby, kanapy w kawiarniach, kosze na śmieci, kwiaty na skwerach.

Zwierzęta domowe nie są pewne dnia ani godziny. W wielkich miastach są dzielnice w których codziennie znajduje się koło śmietników psy i koty bestialsko pomordowane poprzedniego wieczoru. Milicja jest zbyt zajęta konfliktami między ludźmi, by jeszcze tym chciała sobie zawracać głowę.

Jednym z subtelniejszych i bardziej wyszukanych sposobów wyładowywania agresji jest instytucja anonimów, popierana przez władze jako skuteczny środek zwiększania kontroli nad ludźmi. Urzędowe przepisy obowiązujące w przedsiębiorstwach i instytucjach państwowych nie zezwalają na wrzucanie anonimów do kosza, wszelkie zarzuty zawarte w anonimowym liście muszą zostać skierowane na urzędową, biurokratyczną drogę i stać się przedmiotem drobiazgowego dochodzenia. Każdego (ze zwykłych śmiertelników, oczywiście) można narazić na podanie uciążliwemu i poniżającemu śledztwu, wystarczy kilka zdań nagryzmołonych na świstku papieru i wysłanych pod odpowiednim adresem. Zdarzało się, że prowadzono długie, kosztowne dochodzenia na skutek anonimów które zdradzały absolutnie niedwuznacznie, że ich autorzy cierpieli na poważne zaburzenia psychiczne.

Polaryzacja społeczeństwa

Rozważając zagadnienie tradycjonalizacji i racjonalizacji władzy charyzmatycznej Max Weber stwierdza, że istnieją dwie istotne przyczyny tych procesów:

— idealne i materialne interesy stronników charyzmatycznego przywódcy leżą w ciągłości i stałym odtwarzaniu swojej społeczności;

— personel administracyjny, uczniowie i inni stronnicy charyzmatycznego przywódcy są bardzo silnie zainteresowani, zarówno idealnie jak i materialnie, w kontynuowaniu istniejących stosunków oraz w oparciu własnego statusu na stałej, codziennej podstawie.

Wszelkie możliwe formy rutynizacji charyzmatu, zdaniem Webera, oznaczają zarazem przejście kontroli i korzyści ekonomicznych przez grupę stronników, a także regulowanie rekrutacji, dopływu nowych ludzi do tej grupy.

Weber zajmuje się też zagadnieniem prawowitości, prawomocności danego porządku. Legalność jakiegoś porządku może się wywodzić z dobrowolnej ugody zainteresowanych stron, na określonych stosownych warunkach lub może być narzucona przez to co uznaje się jako prawomocną władzę. W tym drugim przypadku jednostki, uznając władzę za prawomocną, zobowiązane są do posłuszeństwa. Weber podkreśla przy tym że różnica między porządkiem opartym na dobrowolnej ugodzie a porządkiem narzuconym jest tylko różnicą względną: jeśli uгода nie jest jednomyślna jej działanie wewnątrz grupy społecznej zależy od gotowości do podporządkowania się woli większości, co oznacza że porządek jest narzucony mniejszości. Weber zwraca uwagę że pospolitym zjawiskiem jest narzucenie jakiegoś porządku większości przez mniejszość stosującą bezwzględne metody; po pewnym czasie ci którzy opierali się narzuceniu tego porządku uznają go za prawomocny.

Procesy które zostały przedstawione w weberowskim typie idealnym znajdują w polskiej rzeczywistości konkretny, historyczny odpowiednik. Co więcej, występują z wielką siłą, w skrajnej postaci.

Porządek narzucony większości przy pomocy bezwzględnych metod został w końcu uznany za prawomocny. Opiera się na wyodrębnionej grupie stronników, których interesy są jak najbardziej ściśle i wszechstronnie związane z ciągłością i stałym odtwarzaniem tego porządku.

Bardzo nieliczna grupa decydujących posługuje się aparatem władzy składającym się z pretorianów, coraz bardziej izolowanych od reszty. Zasadniczym czynnikiem

polaryzacji społeczeństwa, rozbicia go na dwie nierówne grupy skupione na przeciwnych biegunach, jest udział we władzy. Na jednym biegunie — mniejszość która posiada władzę, na drugim — większość, całkowicie władzy pozbawiona.

W ślad za tym tak drastycznie nierównomiernym podziałem jednego z zasadniczych dóbr, jakim jest władza, następują dalsze podziały, sięgające bardzo daleko. Odgraniczają one elitę od mas, uprzywilejowanych od upośledzonych, opływających w dobra materialne od skazanych na niedostatek, cieszących się wysokim prestiżem i statusem od pogrążonych w niskiej kondycji.

Polaryzacja społeczeństwa jest najbardziej widocznym i może najdotkliwiej odczuwanym symptomem bankructwa rewolucji, stanowi bowiem pełne zaprzeczenie jej haseł. Przy czym proces polaryzacji postępuje szybko, kontrasty się zaostrzają.

Orwell i Koestler opisali zjawiska, które istnieją rzeczywiście, istnieją w stopniu o wiele większym niż to się może wydawać wielu zachodnim czytelnikom. Nie zapomnę wstrząsu jakim była dla mnie lektura „1984” i moment w którym ujrzałam jasno, że otaczająca mnie rzeczywistość zawiera wszystkie najważniejsze przesłanki zbudowania makabrycznego świata odsłoniętego na kartach powieści (Książkę dostałam na jedną noc, następnego dnia już o ósmej rano czekał na mnie w kawiarni następny w kolejce. W ostatnich latach popularność tego typu lektur bardzo się wzmogła w Polsce, zwłaszcza wśród niektórych kręgów młodzieży licealnej i akademickiej. W ten sposób uzupełnia się edukację polityczną zapoczątkowaną przez milicyjne pały. Dla wielu „bibuła” przemycana z Zachodu — jeśli tak można nazwać czołowe pozycje światowej literatury — stanowi teraz odtrutkę na drętwą mowę, którą wtłacza im się do mózgów w dawkach nie do zniesienia, jak kluski do żołądków strasburskich gęsi).

To co dzieje się w Polsce, zwłaszcza ostatnio, jest

żywą ilustracją do „Nowej klasy” Dżilasa. Lapidarnie to ujął autor „Cichych i gęgaczy” w Pieśni Czerwonych:

— *Socjalizm w sam raz
Dla ciemnych jest mas
A dla nas rycerska jest kita!
Niech złączą się bale,
Niech jarzą się sale,
Muzyka, muzyka niech brzmi!
Zostanie wszak po nas pustynia czerwona
Lecz dzisiaj — panowie to my!*

Żółte firanki zniknęły po październiku z witryn sklepów dla elity. Zastąpił je znacznie efektywniejszy system rozdzielania przywilejów. Wzorcowym urządzeniem jest Warszawa. Ciemne masy zażywają socjalizmu: po pięć lat muszą czekać na spółdzielcze mieszkanie, w którym na głowę przypada siedem metrów kwadratowych powierzchni, korzystają z miejskich środków lokomocji gdzie w czasie dojazdu do pracy panuje tak niewyobrażalny tłok, że pasażer po dwudziestu minutach podróży traci 80 procent energii życiowej na cały dzień. Panowie mieszkają w willech subwencjonowanych przez władze albo, w najgorszym wypadku, w bardzo wygodnych mieszkaniach, których koszt budowy jest co najmniej dwukrotnie wyższy niż mieszkań dla socjalistycznego pospólstwa.

Instytucją słynną w całej Polsce jest tak zwana pula Cyrankiewicza. Do tej „puli” należały na przykład wszystkie warszawskie mieszkania, położone w centrum miasta i przydzielane poza wszelką kolejnością osobom „szczególnie potrzebnym” lub „szczególnie zasłużonym”.

Panowie rozbijają się drogimi samochodami prowadzonymi z Zachodu. Samochody te też należą do puli Cyrankiewicza, są niedostępne na rynku dla normalnego klienta a przydziela się je po stosunkowo niskich cenach szczególnie uprzywilejowanym i protegowanym, na bardzo dogodne raty. O samochód łatwo i bez Cyrankiewicza jeśli się zajmuje odpowiedni szczebel w biurokratycz-

nej hierarchii. Niejaki towarzysz Zawadka, przez szereg lat prezes Zarządu Głównego Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” — monopolistycznego wydawcy prasy krajowej — kazał wystawić prawie nowe samochody osobowe, przydzielane stołecznej prasie hojną ręką, na licytację, za grosze. Następnie na tej „licytacji” kupili sobie te samochody czołowi funkcjonariusze ZG RSW „Prasa” płacąc 20 procent ceny wolnorynkowej za sztukę. Wszystko byłoby w porządku i towarzysz Zawadka zapewne do dziś piastowałby swoje eksponowane stanowiska, gdyby umiał się zdobyć na pewien umiar. Zgubiła go przesadna zachłanność. Kolegom przydzielił bowiem po jednej licytacyjnej „Warszawie” a sobie dwie, które natychmiast sprzedał warszawskim taksówkarzom a za gotówkę nabył ślicznego „Fiata”. Koledzy nie mogli tego znieść, doniesiono i rozrobiono prezesa, który w rezultacie poszedł na grzybki. Nie sam, w towarzystwie zawistnych kolegów.

„W terenie” — poza Warszawą, funkcjonuje system dokładnie skopiowany ze stołecznych wzorów. Z tym że mieszkania, samochody, domy wypoczynkowe itd. dla elity wojewódzkiej są już mniej luksusowe niż dla stołecznej śmietanki, a dla „szlachty powiatowej” — odpowiednio skromniejsze niż dla bonzów wojewódzkich. Warszawa — koniak francuski; stolica województwa — radziecki z 5 gwiazdkami; sekretarze powiatowi — czysta wyborowa pod piwo żywieckie. (Też dobra rzecz).

Cały ten korupcyjny system jest sprzeczny nie tylko z duchem ale bardzo często i z literą obowiązujących w kraju praw i przepisów. Ta sprzeczność bywa chyba w tym samym stopniu powodem oburzenia „ciemnych mas”, co sam fakt tak drastycznie nierównomiernego podziału dóbr.

Pretorianie (można też użyć terminu oprycznicy) wiedzą, że wierna służba im się opłaci. Na dziś zapewnia się im lepsze warunki materialne niż mogliby uzyskać poza aparatem. Na jutro — względnie wygodną i bezpieczną przyszłość i minimum dobrobytu.

Zupełnie specjalną wartością, która nie da się wyrazić ekwiwalentem materialnym, jest władza. Aparatczycy rosną w kulcie władzy, są zacządzeni władzą, znarkotyzowani. — No dobrze — powiedziałam w jednej z rzadkich szczerych rozmów z przedstawicielem tego gatunku — przyjmijmy że władza to taka świetna rzecz, ale przecież pan ma tylko mały jej kawałek, a ilu jest jeszcze ponad panem. Czy panu to nie psuje przyjemności? — Warto przez jeden dzień w tygodniu być niewolnikiem i słuchać, by potem przez resztę tygodnia być panem którego się słucha.

Dla zapewnienia uprzywilejowanych warunków materialnych „aparatu” uruchamia się różne osobliwe przedsięwzięcia. Na przykład: pracownicy komitetu wojewódzkiego partii potrzebują porządnych płaszczy dla siebie i eleganckich butów dla swoich żon. Domyślny dyrektor instytucji handlowej gromadzi odpowiedni towar a potem urządza komisijną przecenę. Buty z 800 zł. na 80 zł. Płaszcze z 2.800 na 340. No a towarzysze chętnie wyświadczają mu drobną uprzejmość i ułatwiają pozbycie się tych „bubli”.

Inaczej radzą sobie wyżsi funkcjonariusze ministerstwa handlu. Żona jednego z nich coraz to zwałała się na głowę dyrektorowi ogromnej fabryki butów i zabierała całe paki z modelami, przygotowywanymi na eksport. Żeby je przygotowywać na termin dyrektor odrywał najlepszych speców od bieżącej produkcji i kłął babę w żywe kamienie. — „Dyrektorze, pan rozumie, jadę za granicę, to musi być wszystko gotowe, te modele będą na moich nogach reprezentować polski przemysł obuwniczy, sprawa państwowa”.

Pracownicy aparatu partyjnego, milicji i innych organów bezpieczeństwa mogą po stosunkowo krótkim czasie wiernej służby i w młodym jeszcze wieku, a w każdym razie w pełni sił, odejść na bardzo wysoką, specjalną emeryturę (często w wysokości otrzymywanej poprzednio pensji) i mają prawo pracować bez ograniczenia wysoko-

ści zarobków. Stawia ich to w sytuacji nieporównanie bardziej uprzywilejowanej niż wszystkich innych pracowników.

System rozdzielania miejsc przy złobie obejmuje całą gamę takich urządzeń. (Odwrotna strona medalu przedstawia jeszcze bogatszą gamę sposobów wywierania presji na człowieka). Kij i marchewka, a właściwie gigantyczna pała i potworne marchwiszczce. Do takich urządzeń należą też renty specjalne, dla zasłużonych. Nadzieja na taką rentę bywa silnym motywem skłaniającym do uległości co wybitniejszych w swojej specjalności inteligentów: pisarzy, uczonych, artystów. Jest bowiem faktem, że nawet bardzo dobrze wynagradzany pracownik po przejściu na rentę musi po pewnym czasie zacząć żyć na krawędzi nędzy.

W ostatnich latach szczególnie smacznym i pożądanym kawałkiem gigantycznej marchwi, którą władza przesuwa przed nosem swych popleczników, jest szansa wyjazdu zagranicznego i różne ułatwienia związane z tymi wyjazdami. Oczywiście, p r a w d z i w y wyjazd zagraniczny to wyjazd do kapitalizmu. Jest wiele kategorii takich wyjazdów, począwszy od opłacanych całkowicie przez państwo ludowe, obfitujących w luksusy i pozwalających na szybkie zabicie małej fortuny, po takie do których trzeba dokładać samemu, ciężko i w dewizach. Na bardzo wysokich szczeblach ma się paszport na każde zawołanie, diety i bilety lotnicze załatwione przez sekretarkę. Jeśli wyjazd ma być prywatny, kupuje się w banku nieograniczone praktycznie ilości dewiz po najniższym kursie (dziesięciokrotnie niższym od sweterkowego — jeśli dygnitarz wyjeżdżając na wakacje kupuje dolary po 24 złote i za część tych dolarów kupuje na przykład sweterki w Anglii, to po powrocie dostaje w komisie mniej więcej dziesięć razy tyle za dolara. Transakcje tego typu są jednym z głównych zajęć wielu dygnitarzy i ich rodzin).

Na niższych szczeblach, powiedzmy dla aktywu wojewódzkiego, dostępny jest jeden zachodni wyjazd w ro-

ku, ilość dewiz jest ograniczona (ale dosyć hojnie obliczona) i kurs odpowiednio wyższy, nie 24 zł a 50 zł za dolara.

Wielkim, obiecującym i coraz modniejszym ostatnio terenem łowieckim, na który wpuszcza się odpowiednio zasłużonych, jest tak zwane w języku technicznym zagospodarowanie przestrzenne kraju, w połączeniu z budownictwem jednorodzinnym. Zwierzyna jest gruba i zazwyczaj polują na nią żubry ale trafia się że i sprytne pieski unoszą w zębach całe połcie słoniny.

Funkcjonariusz dysponujący niezłą pensją, pozwalającą na względnie dostatnie życie, lecz zbyt małą żeby jakąkolwiek jej część kapitalizować, może się stać z dnia na dzień człowiekiem zamożnym, otrzymując od władz lokalnych parcelę z zezwoleniem na budowę willi. Człowiek zamożny, posiadający parcelę, może z dnia na dzień stracić wszystko, jeśli władze uznają że parcela znajduje się na obszarze przeznaczonym do wysokiej zabudowy, a więc nie może na niej budować domu jednorodzinnego. W ostatnich latach wśród pracowników „aparatu”, zwłaszcza na wyższych szczeblach, rozwinęła się zupełnie nie licująca z rewolucyjną prostotą życia tendencja do dorobienia się czegoś konkretnego, do posiadania, najlepiej własnej willi. Ponieważ władza decyduje o przydzieleniu terenu, więc im kto bliżej władzy i bliżej z władzą, ten ma większe szanse na urzeczywistnienie takich z gruntu mieszczańskich marzeń.

Różne są sposoby wchodzenia w posiadanie własnej willi. Można dostać dogodną pożyczkę z banku; można wejść w cichą spółkę z prywaciarzem zasobnym w gotówkę, wnieść do interesu parcelę, wszelkie niezbędne zezwolenia i papierki oraz przydziały reglamentowanych materiałów budowlanych, w rezultacie powstaje dom dwurodzinny, połowę dostaje prywaciarz, połowę aparatczyk.

Dzieją się rzeczy najdziwniejsze, nie wyłączając jawnych i cynicznych naruszeń interesu publicznego i podstawowych, formalnie przyjętych zasad gospodarowania te-

renami miejskimi. W Gdańsku, przy jednej z głównych arterii wiodących do portu, przeznaczonych pod zabudowę służącą celom publicznym lub przynajmniej pod duże bloki dla wielu rodzin, można sobie obejrzeć kilka luksusowych domów jednorodzinnych, wystawionych dla bonzów czy też dla ich protegowanych. Marzeniem wyższych sfer i dowodem osiągnięcia dostatecznie wysokiej pozycji wśród elity jest własny domek w Zakopanem (jest to też doskonałe źródło dodatkowych dochodów, kiedy domek wynajmuje się letnikom). O gangsterskich sposobach wydzierania ludziom parcel, rujnowaniu jednych, by wzbogacić innych, o naruszaniu interesu miasta jako całości, o łamaniu prawa, protekcjonizmie, korupcji — pod Gie-wontem, można by napisać grubą Czarną Księgę.

Zastanawiałam się wielokrotnie na czym właściwie polega w Polsce rzeczywista funkcja sektora prywatnego — owej osławionej inicjatywy prywatnej, której istnienie jest sprzeczne z doktryną, „tępionej” przez ćwierć wieku a jednak niezniszczalnej i niezmiennie kwitnącej w granicach ściśle wyznaczonych przez władze. Jej znaczenie ekonomiczne jest zupełnie nieistotne, całkowicie marginesowe. Towary jakie dostarcza na rynek są kiepskiej jakości, z jednakowym powodzeniem mogłyby je dostarczać firmy państwowe i spółdzielcze (często sklep prywatny handluje na przykład skarpetkami elastycznymi wyprodukowanymi przez państwo, które kupił spod lady hurtem od ekspedientki sklepu państwowego w innym mieście, pottrzymał kilka miesięcy na półce i sprzedaje teraz o 50 procent drożej). Sektor prywatny jest włączony do gospodarki planowej i produkuje głównie z materiałów, surowców reglamentowanych i przydzielanych przez państwo. Słowem, nie ma żadnego ekonomicznego uzasadnienia dla istnienia tak rozbudowanej sieci placówek inicjatywy prywatnej, gdyż w zasadzie nie daje ona społeczeństwu żadnych towarów i usług których — na tym samym lub lepszym poziomie — nie mogłyby dać placówki uspołecznione.

Jest jedno, najbardziej wyraźne i brzemiennie w konsekwencji następstwo funkcjonowania tak rozbudowanej inicjatywy prywatnej: istnienie grupy społecznej p o z a a p a r a t e m w ł a d z y cieszącej się przywilejem wielokrotnie wyższej stopy życiowej niż obywatele gdziekolwiek zatrudnieni (zwłaszcza zatrudnieni przez państwo, głównie robotnicy przemysłowi) i dysponującej względnie dużymi i słabo kontrolowanymi środkami materialnymi.

Istnienie takiej grupy jest o g r o m n i e w y g o d n e dla rządzącej elity. Po pierwsze skutecznie pomaga odwrócić uwagę mas od uprzywilejowanej konsumpcji jakiej zażywa elita, tworzy parawan, zasłonę dymną. Kto puszcza tysiące po knajpach? Kto się rozbija luksusowymi wozami? Kto się tłoczy na plażach Sopotu i na oślich łączkach w Zakopanem kiedy cały naród pracuje w pocie czoła? Oczywiście, inicjatywa prywatna, m y jesteśmy przecież przeciw prywaciarzom, wszyscy o tym wiedzą, gnębimy ich podatkami, nie dopuszczamy, żeby się rozplenili i potężnieli, żeby wyzyskiwali, w o g ó l e b r o n i m y społeczeństwo przed tymi przeżytkami minionej epoki.

Po drugie funkcjonariusze aparatu mają zazwyczaj, zwłaszcza na średnich i niższych szczeblach, znacznie więcej władzy niż pieniędzy, a życie dopiero wtedy zaczyna być naprawdę przyjemne kiedy w jednych rękach łączy się obie te wartości. Otóż istnienie inicjatywy prywatnej stwarza dla funkcjonariuszy aparatu władzy doskonałe źródło czerpania korzyści materialnych, przepompowywania części gotówki jaką zbijają prywaciarze do swoich własnych kieszeni. Ma to tę dodatkową zaletę że są to dochody niekontrolowane. Prywaciarze płacą za wszystko co im daje władza, a skoro całość życia jest przez władzę kontrolowana, więc niewiele pozostaje rzeczy, za które nie muszą płacić. Płacą za koncesje i za przydziały lokali, za surowce i za to że wymierza się im niższy domiar, niżby się mogło wymierzyć, za przydział samochodu i za wycieczkę zagraniczną, w związku z wiosną i w związku

z jesienią a także, i może przede wszystkim, na wszelki wypadek.

W ostatnich latach dochodzi nawet do (sporadycznych jeszcze, to prawda) tak monstrualnych z punktu widzenia orotodoksyjnego marksisty wynaturzeń jak łączenie statusu prywaciarza i statusu pretorianina w jednej osobie. Pewien warszawski fabrykant plastików jest jednocześnie aktywistą partyjnym i lektorem Komitetu Dzielnicowego PZPR. Czyż można być nad Wisłą bardziej idealnie „ustawionym”?

Rozpiętość między dochodami w socjalistycznej Polsce jest wielokrotnie, nieporównanie wyższa niż na przykład w kapitalistycznej Anglii. W Anglii dyrektor ogromnej firmy, zaliczany do kategorii najwięcej zarabiających w kraju, dostaje na rękę, po zapłaceniu podatku, około 7,5 tysiąca funtów rocznie, niecałe cztery razy więcej niż wynosi przeciętny dochód pracującego w tym kraju. W Polsce taki dyrektor dostaje co najmniej 30-40 razy więcej niż wynosi średnia pensja. (Jest to fakt zgrabnie ukryty w niskiej pensji takiego dyrektora, do której dodaje się najrozmaitsze mniej lub bardziej ciche premie, nagrody, dodatki i fundusze specjalne). Jest to zresztą tendencja właściwa całemu obozowi socjalistycznemu. Jak pisze prof. Ossowski („Struktura klasowa w świadomości społecznej”) w Rosji carskiej pobory urzędnika na najwyższym szczeblu wynosiły kilkanaście razy więcej niż pobory urzędnika najniższej szeregowej; w Rosji sowieckiej — około sześćdziesięciu razy więcej.

W uliczce przylegającej do uniwersytetu jeden ze studentów parkuje codziennie nowy, zachodni samochód. O kilkadziesiąt metrów dalej w barze mlecznym, gdzie śmierdzi rozkładającym się białkiem, dyżuruje dwu starców w czystych, połatanych koszulach i rozlatujących się lecz wyprasowanych starannie ubraniach. Z wprawą nabytą przez kilkuletnią praktykę wychylają niedopite kubki mleka, pożerają resztki potraw z talerzy i porzucone kawałki chleba i bułek. (Obrazek jest typowy — może to

być równie dobrze Warszawa, Kraków, Szczecin, Lublin).

Są to fakty które każdy spostrzegawczy obserwator może stwierdzić naocznie ponad wszelką wątpliwość. Trudności pojawiają się dopiero przy próbie uogólnienia tych faktów. Zarówno bowiem stwierdzenie, że studenci w Polsce przyjeżdżają własnymi samochodami na wykłady jak i stwierdzenie, że starzy ludzie w Polsce głodują nic nikomu nie mówi dopóki się nie sprecyzuje ile mianowicie osób należy do każdej z tych kategorii. Statystyki, które pozwalałyby ująć dokładniej te zjawiska, nie są dostępne. Można więc tylko stwierdzić, opierając się na własnych doświadczeniach i na spostrzeżeniach innych, że znacznie częściej spotyka się głodnych starców niż zmotoryzowanych studentów. Oraz że kontrast między względnym dobrobytem człowieka za kierownicą własnego samochodu a nędzą starych ludzi spod baru mlecznego jest czymś coraz bardziej charakterystycznym dla dzisiejszej Polski.

Mój kolega gimnazjalny opowiadał mi o jednym z naszych profesorów, obecnie na emeryturze, którego zastał o świcie, kiedy ulice były jeszcze puste, koło kosza na śmieci i odpadki. Profesor wyławiał jakieś resztki jedzenia, kawałki bułek, obwarzanków i chował to do worka.

Występuje tendencja do instytucjonalnego potwierdzenia i zabezpieczenia ekonomicznych przywilejów ludzi z aparatu władzy. Objawia się to między innymi w coraz bardziej rozwiniętej „bazie materialnej” służącej zaspokajaniu ekskluzywnych potrzeb rządzących. Powstają osiedla willowe gdzie przydziela się mieszkania z tytułu stanowiska zajmowanego w aparacie władzy, znaczną część kosztu utrzymania willi pokrywana jest przez państwo. Specjalną pulę mieszkaniową otrzymuje milicja.

Rośnie armia uprzywilejowanych pasożytów otrzymujących wysokie pensje, korzystających ze służbowych samochodów z kierowcą, z pałacików urządzonych i utrzymywanych za społeczne pieniądze, w których wykonują niezbyt dokładnie określone i raczej symboliczne funkcje

„społeczne”: we władzach organizacji młodzieżowych i najróżniejszych innych „organizacji społecznych”. Utrzymywanie takiej kadry pasożytów spełnia dwie funkcje: pozwala od czasu do czasu awansować co aktywniejsze jednostki do ich uprzywilejowanego grona, co automatycznie uwalnia od tych jednostek ich pierwotne środowisko (zakład pracy, fabrykę, szeregi zwykłych członków organizacji) i usuwa niebezpieczeństwo utworzenia się wokół nich jakiejś nonkonformistycznej, potencjalnie opozycyjnej grupy; po drugie — stwarza rezerwę wiernych, dostatecznie skorumpowanych i żądnych dalszych awansów. Przy pomocy takiej grupy można trzymać w szachu właściwy aparat władzy, który zdaje sobie sprawę że w razie potrzeby natychmiast znajdą się następcy, przygotowani ideologicznie i godni zaufania partii.

Symptomy polaryzacji, pogłębiającego się rozwarstwienia, rosnących dysproporcji w społeczeństwie występują też wyraźnie na mapie gospodarczej kraju. Zaznacza się coraz wyraźniejszy podział na Polskę A i B. Stolica i okręgi uprzemysłowione — oraz Polska powiatowa. Kontrasty są tak szokujące, że mimowoli szuka się odpowiednika gdzieś indziej na świecie i nasuwa się pewna analogia z klimatyzowanymi pałacami i Cadillakami kacyków i poddanymi koczującymi pod gołym niebem i gotującymi strawę raz na dzień w puszcze po konserwach, na ognisku roznieconym z nawozu.

Oknem wystawowym jest Warszawa, wielokrotnie nie bez uznania i sympatii opisywana przez zachodnich autorów. Ale jak przedstawia się reszta?

O socjalistycznym planowaniu i jego skutkach można by napisać osobną rozprawę. Podsumowując możliwie najkrócej osiągnięcia naszej planowanej gospodarki w okresie przeszło dwudziestu lat wystarczy użyć jednego słowa: d y s p r o p o r c j e. We wszystkich dziedzinach. Symboliczna fotografia mogłaby wyglądać tak: osiedle nowych bloków mieszkalnych a między nimi wiejska chałupa. Zresztą jest to ulubiony temat na pierwszą stronę

naszych tygodników ilustrowanych. Podpisy jednak nie informują że w chałupach nie zainstalowano wodociągów i kanalizacji. A jest to typowe — w Nowej Hucie, w Nowych Tychach i wszędzie gdzie powstają nowe ośrodki miejskie.

Jedną ze smutniejszych jest dysproporcja między tym co wpakowano w ciężki przemysł i towarzyszące mu inwestycje dla zakwaterowania siły roboczej, a pogłębiającym się upadkiem małych miast w okręgach o słabo rozwiniętym przemyśle. Małe miasta w Polsce z zasady ogarnięte są stagnacją gospodarczą, średni dochód na głowę jest w nich dwukrotnie (czasem jeszcze bardziej) niższy niż w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych, gospodarka komunalna znajduje się o krok od ruiny, dzielnice mieszkaniowe to rozlatujące się slumsy.

Klasycznym przykładem losu małych miast w Polsce może być sławny i piękny Zamość. Już kilkadziesiąt kilometrów przed miastem na drogach panuje niemal zupełna pustka, samochód jest rzadkością i jeśli się pojawi to jest to „Warszawa” jakiegoś dygnitarza z Lublina. Wozów prywatnych nie widzi się wcale, czasem tylko w sezonie zaplącze się turysta.

Sam Zamość jest umarłym miastem. Na ogólną ilość przeszło 30 tysięcy mieszkańców znajduje się tu około 2.000-2.500 stałych bezrobotnych. Liczba ta równa się 20-30 procentom mieszkańców ludności w wieku produkcyjnym. Jeśli wziąć pod uwagę rodziny to okaże się że w Zamościu około jedna trzecia mieszkańców pozbawiona jest stałych dochodów, żyje na skraju nędzy, a spora część tej grupy od czasu do czasu wręcz przymiera głodem.

Sytuację pogarsza to, że wbrew oczywistym faktom oficjalnie nie przyjmuje się do wiadomości istnienia bezrobocia, nie wypłaca się zasiłków bezrobotnym, a tak zwany fundusz pomocy społecznej (który w różnych ośrodkach faktycznie spełnia funkcje funduszu dorywczo wspierającego osoby bez pracy) przekazywany do dyspo-

zycji władzom Zamościa, jest tak znikomy, że może mieć znaczenie raczej tylko symboliczne.

Dodatkowym zasadniczym czynnikiem wpływającym na upadek miasta jest fakt, że sytuacja na rynku pracy nie zmienia się tu od bardzo wielu lat i trwa bez większych zmian od zakończenia wojny. Nowe roczniki wchodzące w wiek produkcyjny w całości niemal zasilają społeczność pozbawioną stałej pracy, utrzymującą się z dorywczych, sezonowych zajęć i procederów.

Przez cały okres powojenny nie powstała w Zamościu praktycznie żadna inwestycja, która mogłaby mieć istotny wpływ na zwiększenie ilości miejsc pracy i podniesienie poziomu życia mieszkańców. Zacołanie gospodarcze całego otaczającego miasto regionu przekreśla możliwości dojeżdżania do pracy.

Prasa chętnie fotografuje Zamość i drukuje o nim rodzajowe reportażyki. Jakie to śliczne i szacowne zabytki, jakie oryginalne i ciekawe postacie na tej naszej polskiej prowincji! Dla stworzenia pozorów obiektywizmu dodaje się parę akapitów o „problemie przyszłej pracy dla tutejszej młodzieży” i „pobudzaniu do działania lokalnych talentów obecnie trochę sennych”. Że to niby jak sobie pościelesz tak się wyśpisz.

Tego rodzaju oświadczenia są jednymi z bardziej cynicznych, jakie można spotkać na łamach naszej prasy. Przewodniki turystyczne rozpisują się obszernie o pięknie renesansowych zabytków, ale kazałabym autorom pomieszkać w domu z czasów królowej Bony, nie odnawianym od pół wieku. Zabytkowe kamieniczki, podobnie jak i znaczna część pozostałej zabudowy, to slumsy pozbawione elementarnego komfortu: wilgotne, zagrzybione, rozsypujące się.

Uczciwy reportaż z Zamościa nie mógłby pominąć takich zjawisk, jak nędznie ubrani, nieraz obdarci ludzie, całymi dniami podpierający beczynnie ściany na rynku lub to, że człowiek przyjeżdżający własnym samochodem

wywołuje zbiegowisko i staje się przedmiotem sensacji na cały następny tydzień.

Pogłębiające się przedziały między grupami uprzywilejowanej elity a masą zwykłych obywateli znajdują odpowiednik w coraz wyraźniej zaznaczającym się podziale terytorium kraju na obszary uprzywilejowane, jak Warszawa, przemysłowy Śląsk, czy Nowa Huta i na Polskę B, której Zamość dzisiejszy jest typowym, reprezentatywnym obrazem.

Zacofane obszary Polski B są w pewnym sensie rezerwatem, z którego wydostanie się jest coraz trudniejsze. Stworzono bariery administracyjne broniące większych i lepiej prosperujących miast przed najazdem uchodźców z ubogiej prowincji. Żeby móc gdziekolwiek mieszkać musi się być zameldowanym; żeby móc się zameldować w takim mieście jak Warszawa czy Kraków, musi się mieć specjalne zezwolenie. Zezwolenia takie wydaje się w ściśle ograniczonych ilościach, istnieją kontyngenty kontrolowane przez władze różnych szczebli. Z zasady, żeby otrzymać zezwolenie na zameldowanie na stałe trzeba mieć w tym mieście pracę — zaś żeby otrzymać pracę trzeba być najpierw zameldowanym; przerwanie tego błędnego koła nie jest niemożliwe, ale wymaga pokonania tylu biurokratycznych barier i zazwyczaj uruchomienia dobrych kumoterskich powiązań, że udaje się to stosunkowo nie-licznym.

5. Coraz szerszy margines

Ubočnym ale niepokojącym produktem mechanizmów działających we współczesnym polskim społeczeństwie jest ostre narastanie zjawisk z zakresu patologii społecznej oraz brak sił i środków zdolnych skutecznie przeciwdziałać tym zjawiskom. Margines społeczny jest coraz szerszy, przesuwając się już niekiedy ze sfery cienia w blask oświetlonej pełnym słońcem śródmiejskiej ulicy.

Po pierwsze — alkoholizm. Wódka jest nieodłącznym elementem naszego codziennego życia. Pije się przy każdej okazji oraz bez okazji. Piją wszyscy — licealiści i urzędnicy, przekupki i dyrektorzy departamentów, pracownicy miejskich przedsiębiorstw usług cmentarnych i pieśniarki estradowe. Krakowiacy i górale. Lekarze i pacjenci. Bywalcy izb wytrzeźwień i ich personel. W dzielnicach robotniczych zdarza się, że na popołudniowej zmianie w szkołach podstawowych dwunastoletni uczniowie przychodzą na lekcje w stanie zamroczenia alkoholowego. Kiedyś byłam przypadkowo świadkiem jak dyrektor szkoły wraz z gronem pedagogicznym i aktywnym z komitetu rodzicielskiego zalali się zupełnie, w samo południe, z okazji zakończenia roku szkolnego. Dyrektor wisił głową na dół na parapecie okna w swojej kancelarii i rzygał na grządkę kwiatów, które przed dwiema godzinami plewiła siódma klasa.

Z zalanymi w pestkę osobami przeciętny obywatel PRL spotyka się w miejscach publicznych po kilka razy na dzień. Ze dwa razy w tramwaju i autobusie, obowiązkowo w knajpie, jeśli wstąpi tam na flaki i małe jasne, w kolejce przed kinem, w publicznym parku. O ósmej rano otwierają się obskurne bary drugiej i trzeciej kategorii w mniej reprezentacyjnych dzielnicach wielkich miast. Zazwyczaj już od 7.30 kilku nieogolonych mężczyzn o błędnych oczach czeka niecierpliwie pod drzwiami.

Kraj alkoholików? Chyba tak. Na pewno tak. Jeśli można jakiś kraj na świecie tak nazwać, to tym krajem jest nasza PRL. Zapewne może z nami konkurować jeszcze tylko Związunio, który jak wiadomo przoduje w każdej dziedzinie.

A może to ja jestem histeryczna, gołosłowna, wdaję się w bezpodstawne uogólnienia, podstawiam jakieś marginesowe, wyjątkowe zjawiska pod to co typowe w tym naszym biednym i pięknym kraju?

Złudzenia krótkowzrocznego optymisty rozwiewa oficjalna informacja: w przeliczeniu na czysty spirytus, stu-

procentowy, jeden mieszkaniec naszego kraju w wieku powyżej 15 lat (!) w roku 1954 wypił 3,5 litra alkoholu, w 1955 — 3,8 litra, a w roku 1968 — 4,8 litra. Koniec. Kropka.

Nawet jeśli się nigdy nie było w tym kraju wystarczy dodać do tych liczb trochę wyobraźni, by powstał obraz przeraźliwy.

Groźna jest nie tylko ilość szklanek wody przypadających na głowę ale i rosnąca w zawrotnym tempie krzywa spożycia, która wskazuje między innymi że pije młodzież — wyż demograficzny, stanowiący wzrastający w ostatnich latach procent populacji.

Jak wobec tego wytłumaczyć fakt, że zjeżdżają do Polski oficjalne delegacje z różnych krajów, na przykład ze Skandynawii, by „uczyć się na naszych doświadczeniach skutecznej walki z alkoholizmem”? Goście przyjeżdżający po naukę, jeśli rzeczywiście poważnie traktują swą misję, to padają ofiarą złudzenia, biorąc pozory za rzeczywistość (typowe!). Stworzono Społeczne Komitety Przeciwalkoholowe, uchwalono doskonałą ustawę przeciwalkoholową, funkcjonuje przeciwalkoholowa propaganda, co nie ma żadnego związku z faktem, że alkoholizm w Polsce rośnie zastraszaingly z roku na rok. Tzw. akcja przeciwalkoholowa ma jedną tylko funkcję: służy jako zasłona dymna, która ma ukryć obiektywne warunki popychające ludzi do picia.

Nie jest łatwo o wyczerpującą odpowiedź na pytanie: dlaczego się u nas pije? Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że istotną rolę odgrywają tu m.in. takie czynniki: struktura cen i niedostatki rynku oraz charakter stosunków społecznych.

Po opanowaniu elementarnych potrzeb nie zostaje ludziom praktycznie niemal nic a skoro butelka wódki kosztuje tyle co para tanich pończoch, decyzja wydania pieniędzy na wódkę jest bardzo łatwa. Po wszystko niemal trzeba stać w kolejce, wszystkiego niemal brak, wódka jest dostępna zawsze i wszędzie (mimo formalnych ogra-

niczeń). Z ekonomicznego punktu widzenia te 35 miliardów złotych które wydaliśmy w poprzednim roku na wódkę, to dla naszych rządów absolutne błogosławieństwo. Gdybyśmy rzucili te pieniądze na rynek poza sklepami monopolowymi, to nie znalazłyby pokrycia w towarach i usługach i doszłoby do ciężkich zaburzeń gospodarczych w kraju. Państwowy Monopol Spirytusowy jest jedną z ważnych form tzw. drenażu. A sytuacja zatrudnionego przez państwo przypomina sytuację, w której kapitalista wypłacał najemników bonami na alkohol w fabrycznym sklepie. Warto przypomnieć, że praktyka opłacania i premiowania Polaków alkoholem była stosowana na szeroką skalę przez Niemców w czasie okupacji.

Rozmawiałam prywatnie z jednym ze znanych polskich psychiatrów. „Proszę pani, w naszych warunkach alkohol to doskonały euforyzator. Gdyby pani pozamykała knajpy w tym mieście, to musiałaby pani zbudować nowe szpitale z tysiącami łóżek psychiatrycznych. Cała masa ludzi bez alkoholu wypijanego od czasu do czasu w dużych dawkach nie byłaby w stanie znieść na dłuższą metę tych wszystkich napięć, nacisków, jakie u nas przynosi im codzienna egzystencja”.

Agresja, napięcie, wrogość, brak poczucia bezpieczeństwa, jakie panują w naszym kraju, są jednym z istotnych czynników współczesnego polskiego alkoholizmu. Według nowoczesnej definicji alkoholik to po prostu człowiek cierpiący na określoną chorobę. W skali społecznej jest to jeden z objawów głębokiego schorzenia organizmu społecznego.

Inny czynnik — brak pewności jutra. Oczywiście reakcja — żyj dziś. *Carpe diem*. Żyje się tylko raz. Chluśniem bo uśniem. Jan Sebastian — bach! No to na drugą nóżkę! *Bob Trojcu Ljubiti!* Dom ma cztery węgly! Zdrowie pięknych pań po raz pierwszy!

Zaś tak szumnie reklamowana akcja przeciwalkoholowa nie ma praktycznie żadnego znaczenia bo dysponuje śmiesznie ubogimi środkami materialnymi, np. ustawa

mówi o obowiązkowym leczeniu alkoholików, przy czym każdy może wystąpić z takim wnioskiem wobec pijącego obywatela, nawet sąsiad czy ktoś nieznajomy i nie reprezentujący żadnej instytucji. Bardzo to mądre, naprawdę. Tylko — że zdobycie miejsca na oddziale odwykowym ma równie małe szanse jak zdobycie miejsca w sanatorium w Krynicy (jeśli nie znacznie mniejsze).

„Na odwyk” posyła się z zasady uprzywilejowanych — aparatczyków, intelektualistów i artystów o znanych nazwiskach, dyrektorów.

Człowiek względnie szczęśliwy, mniej więcej zrównoważony i pogodzony z życiem i jeszcze wiele od tego życia oczekujący, w zasadzie nie pije i ma znikome szanse stania się alkoholikiem. Wie o tym każdy początkujący pracownik społeczny i każdy student po wykładach z psychiatrii. Picie jest ucieczką przed swoim prawdziwym życiem, przed problemami, których nie potrafi się lub nie może się rozwiązać. Sądzę że to jest zasadnicza przyczyna sprawiająca, że tak stromo i ochoczo pędzi w górę krzywa spożycia alkoholu w Polsce. Ludzie chcą uciec od tego wszystkiego choćby na chwilę.

Występuje, w skali społecznej, problem zaburzeń psychicznych. Wynika to z czynników naruszających lub sprzyjających naruszeniu równowagi psychicznej jednostek, charakterystycznych dla biurokracji totalnej panującej w PRL i wiąże się z warunkami życia i charakterem stosunków między ludźmi. Wśród tych czynników najsilniej działają agresja, napięcie, wrogość, brak poczucia bezpieczeństwa oraz frustracja wynikająca z tego, że większość celów w życiu okazuje się nieosiągalna. Jednocześnie panująca biurokracja pozostaje obojętna wobec tego problemu, nie dostrzega go i nie czyni żadnych poważnych prób rozwiązania go przez umożliwienie skutecznej pomocy.

Działają też czynniki cywilizacyjne, wspólne dziś wielu krajom na świecie, na przykład następstwa szybko postępującej urbanizacji, wyrywającej człowieka ze środo-

wiska jakie odziedziczył na wsi czy w małym mieście i przenoszącej go w zupełnie nowe warunki. Operacja taka jest zawsze swego rodzaju wstrząsem, procesowi przystosowania się muszą towarzyszyć zaburzenia, ale w PRL nie robi się praktycznie nic by wstrząs ten możliwie złagodzić.

Z urbanizacją zupełnie jak z motoryzacją. Motoryzuje się kraj, tylko że brak części zamiennych, warsztatów napraw, stacji benzynowych i w rezultacie po drogach krążą wraki samochodów. Urbanizuje się kraj — pędząc ludzi do miast, a na problemy jakie się przed nimi wyłaniają w tej nowej sytuacji — znajduje się jedną odpowiedź — brutalną i wszechobecną policję. Operatywność i zdecydowanie policji działają jak balsam na problemy wyrastające przed władzą; w odniesieniu do jednostek są jeszcze jednym czynnikiem podminowującym równowagę psychiczną.

Same zasady na których opiera się porządek społeczny w PRL są głęboko psychopatologiczne i bardzo wiele wskazuje na to, że właściwości społeczeństwa poddanego biurokracji totalnej wpływają na zwiększanie się procentu psychopatów i socjopatów w tym społeczeństwie.

Zagadnienie naruszonej równowagi psychicznej można rozpatrywać w odniesieniu do kilku różnych kategorii ludzi, z których każda znajduje się w nieco odmiennej sytuacji niż pozostałe, dzieląc jednak z nimi pewne cechy wspólne.

P a c j e n c i, ludzie którzy byli lub są objęci którąś z istniejących form opieki psychiatrycznej znajdują się w stosunkowo najszcześniejszej sytuacji, mają największą szansę pozbycia się zaburzeń i przystosowania do życia z pomocą lekarza. Ale: drzwi wszelkich zakładów psychiatrycznych trzeszczą pod naporem osób potrzebujących pomocy, brak łóżek psychiatrycznych jest coraz dotkliwszy, opieka psychiatryczna z prawdziwego zdarzenia trudno dostępna.

Szczęśliwy pacjent, który trafi na klinikę psy-

chiatryczną którejś akademii medycznej. Jest to placówka naukowa, dysponująca lepszymi warunkami i znacznie większą ilością lekarzy i personelu pomocniczego na jednego pacjenta. W innych jednak zakładach psychiatrycznych personel nie jest w stanie odpowiednio zaopiekować się pacjentem, jest zagubiony w tłumie chorych, którzy z konieczności, przez znaczną część czasu są pozostawieni sami sobie, stłoczeni w wielkich, zamkniętych oddziałach gdzie ciężkie przypadki często z konieczności sąsiadują z lekkimi. W takich zakładach nie należą do rzadkości przypadki brutalnego traktowania chorych przez pielęgniarzy, nie tyle na skutek sadyzmu, ile dlatego, że przy zbyt wielkiej ilości chorych personelowi wydaje się, że wojskowa dyscyplina oparta na fizycznym przymusie jest najłatwiejszym sposobem utrzymania porządku na oddziale.

Brak pracowników którzy systematycznie zajmowaliby się sprawami pacjenta poza szpitalem, pomagali mu je uporządkować i wyprowadzić na czyste wody — w zakładzie pracy, w rodzinie, w szkole, na studiach. Często pacjent doprowadzony do całkiem dobrego stanu w szpitalu wraca w swoje środowisko i po paru tygodniach, z winy tego środowiska, nadaje się znowu już tylko do przewlekłego leczenia.

Zupełnie niewyobrażalny jest stopień ciemnoty i ignorancji społeczeństwa we wszystkim co dotyczy zaburzeń psychicznych a postawa wobec ludzi o których się wie lub których się podejrzewa o to, że się leczą u psychiatry, znacznie bliższa jest średniowieczu niż postawie jaką reprezentuje dziś przeciętny obywatel cywilizowanego kraju. Chlebem powszednim bardzo wielu pacjentów psychiatrycznych są szykany i chamstwo z jakim spotykają się i w pracy i w wielu kontaktach z ludźmi na innych płaszczyznach.

Bardzo trudna jest sytuacja ludzi dotkniętych zaburzeniami psychicznymi a nie objętych żadną opieką psychiatryczną. Stan ich się pogarsza, degradują się społecz-

nie i w miarę upływu czasu mają coraz mniejszą szansę na powrót do normalnego życia. Działa kilka przyczyn sprawiających, że bardzo wielu ludzi potrzebujących opieki psychiatrycznej jest jej pozbawionych: 1. Dotkliwy brak łóżek psychiatrycznych, psychiatrów i fachowego personelu pielęgniarstwa; 2. Ignorancja i ciemnota w społeczeństwie, sprawiające że chory zazwyczaj za wszelką cenę unika psychiatry, uważając to za coś wstydlivego, albo że nie szuka pomocy psychiatry bo nie wie, że mu jest potrzebna; 3. Ignorancja lekarzy nie-psychiatrów w elementarnych sprawach zdrowia psychicznego.

W rezultacie wielu ludzi trafia do psychiatry dopiero na skutek konfliktu z prawem, często na skutek ciężkiego przestępstwa. Wiele nie trafia nigdy i zamienia w piekło życie sobie i swemu otoczeniu, często kończy się to samobójstwem, którego z łatwością można było uniknąć oddając chorego we właściwe ręce.

Osobny rozdział to zaburzenia psychiczne i przestępczość nieletnich. Jest to chyba rozdział najbardziej tragiczny i stanowiący najcięższy akt oskarżenia wobec rządzących.

Fakt pierwszy: zaburzenia psychiczne i przestępczość nieletnich w dzisiejszej Polsce rosną z roku na rok, w tempie zastraszającym. (Nie robi się zresztą z tego tajemnicy, publicyści działów społecznych w dziennikach i tygodnikach od lat biją na alarm, wystarczy przez parę tygodni uważniej czytać gazety, żeby się o tym przekonać. Skala tych zjawisk przerasta wszystko z czym można się spotkać na Zachodzie).

Fakt drugi: społeczeństwo w Polsce jest dziś tak urządzone, że działają w nim, wmontowane w nie i stanowiące część jego mechanizmu, czynniki obiektywnie sprzyjające wykolejaniu się młodzieży.

Pozostawienie znacznego odsetka młodzieży samej sobie. Rodzice nie mają czasu, bo oboje muszą harować od świtu do nocy żeby dzieci nie chodziły głodne. Nauczyciele nie mają czasu, bo na jednego pedagoga przypadają

tlumy wychowanków, a poza tym na ogół każdą wolną chwilę zużywają na dorabianie korepetycjami czy pracami zleconymi. Duży procent (tysiące i tysiące w każdym większym mieście) młodzieży w wieku około 15 lat zostaje w sposób automatyczny w y r z u c o n y na pewien okres poza nawias społeczeństwa — DOSŁOWNIE — bo nie zostali przyjęci do szkoły średniej, bo brakło dla nich miejsca, do pracy nie mogą iść, bo są nieletni, a poza tym nikt ich nie chce, bo nie mają żadnych kwalifikacji. Dodajmy do tego wpływ świata dorosłych na psychikę młodzieży: powszechny brak norm, agresję, itd. a zaczniemy się dziwić, że nie jest jeszcze znacznie gorzej.

Fakt trzeci: Jednym lekarstwem na problem młodzieży, stosowanym na większą skalę, jest policja. Pozostawia się młodzież samą sobie, dopóki nie ma przestępstwa. Potem: milicja, sąd, więzienie lub dom poprawczy. Tam skazany dostaje się pod wpływ nie nadających się do rehabilitacji i resocjalizacji recydywistów i ma wszelkie szanse opuścić bramy zakładu przed ukończeniem lub w chwili ukończenia osiemnastu lat, jako zawodowy przestępca.

Istnieją zakłady opieki nad młodzieżą, prowadzone w wielu wypadkach przez oddany i wysoko wykwalifikowany personel. Umieszczenie w takim zakładzie mogłoby wyprostować biografię skrzywioną u progu życia a społeczeństwu zaoszczędzić późniejszych kosztów ścigania i sądzienia przestępcy i utrzymywania go w więzieniu. Ale liczba miejsc w takich zakładach jest jak kropla w morzu w stosunku do rzeczywistych potrzeb. Miasta roją się od chłopców i dziewczyn posiadających skierowanie do takiego zakładu i czekających miesiącami i latami nawet, aż się zwolni miejsce. Wielu z nich popełni w tym czasie cięższe przestępstwo i trafi do więzienia. W więzieniach nigdy nie brakuje miejsca, najwyżej kładzie się po dwu więźniów na jednym łóżku (bardzo częsta praktyka).

W jednym z miast na wiosnę 1969 r. wybuchła wśród młodzieży gimnazjalnej epidemia wachania tri. Tri jest to

płyn do wywabiania plam, ktoś odkrył, że wężając tri można się narkotyzować. Przerażeni psychiatrzy stwierdzili, że po dwu miesiącach wężania pacjent ma tak zniszczoną wątrobę i tak uszkodzony mózg jak alkoholik po kilkunastu latach nieustannego picia. Obojętność władz była tak daleko posunięta, że nawet nie wycofano ze sprzedaży płynu tri, którego buteleczka kosztuje trzy złote — mniej niż paczka najtańszych papierosów.

Są ludzie dobrej woli, ludzie mądrzy, którzy dostrzegają te problemy, są tacy którzy pracują po 18 godzin dziennie, bez urlopów, żeby powstrzymać groźną falę. Nic się nie da zrobić, niczemu zapobiec, można uratować jednostki, a chodzi o setki i tysiące. Nic nie można zrobić bez odpowiednich środków materialnych, których władza nie daje i dać nie chce. Urządzenie najzwyczajszego, najskromniejszego klubu młodzieżowego w dzielnicy natrafia na niepokonalne przeszkody, nawet jeśli znajdzie się (co jest rzadkością) ktoś kto zechce bezinteresownie poświęcić swój czas: brak lokalu, nawet zdobycie piwnicy bywa niepodobieństwem. U podstaw narastających, patologicznych zjawisk społecznych w Polsce (daruję już czytelnikowi oklepane, lecz niemniej w stu procentach prawdziwe, historie o tym jak to wszyscy kradną i o tłumach nieletnich prostytutek monopolizujących całe kawiarnie w centrum miasta) leży zjawisko znane socjologom od dawna i określone jako *a n o m i a*.

A n o m i a — czyli brak norm. (Pojęcie anomii wprowadził Durkheim). Zdaniem Durkheima poczucie bezpieczeństwa, zbliżania się do swych celów życiowych zależy nie tylko od panowania nad środkami osiągnięcia tych celów ale od jasnego *o k r e ś l e n i a* tych celów. Otóż dla poczucia, że odnosi się w życiu powodzenie, dla zadowolenia z życia, konieczna jest dyscyplina ograniczająca i precyzująca ludzkie apetyty i dążności, ze swej natury nieograniczone. Tę dyscyplinę, taki wyraźnie zdefiniowany zespół celów daje jednostce społeczeństwo. Lecz by spełniały one swą funkcję, nie mogą być narzu-

cone siłą. Jednostka nie może osiągnąć zadowolenia poprzez przyjęcie ograniczeń nałożonych jej siłą; dla zadowolenia niezbędne jest uznanie tych ograniczeń za „sprawiedliwe”, słuszne, dyscyplina musi mieć poparcie moralnego autorytetu. Dopiero wtedy przybiera postać przyjętych społecznie norm moralnych definiujących cele ludzkiego działania. Załamanie się tych norm prowadzi do różnych postaci załamania się jednostek, a w krańcowych przypadkach do samobójstwa.

Parsons pisze: „Zrównoważone stosunki społeczne oraz osobista równowaga członków grupy społecznej zależą od istnienia normatywnej struktury odnoszącej się do działania, uznanej powszechnie za autorytet moralny przez członków społeczności i od skutecznego podporządkowania się tym normom. Normy te nie tylko regulują wybór przez jednostkę środków dla osiągnięcia celów, ale określają jej potrzeby, dążenia, cele. Kiedy ta kontrolująca, normatywna struktura zostaje naruszona, ulega dezorganizacji, załamuje się też działanie jednostki”.

Otóż, jak to próbowałam poprzednio naszkicować, jedno systemy norm w dzisiejszej Polsce ulegają dezorganizacji, załamaniu, inne zostają społeczeństwu narzucane przemocą nie niosąc z sobą żadnego moralnego autorytetu. Wynikająca stąd *a n o m i a* zatacza coraz szersze kręgi wywołując w społeczeństwie fale patologicznych zjawisk, od przestępstw po depresje i samobójstwa.

Załamanie się norm jest bezpośrednim skutkiem wprowadzenia w Polsce systemu biurokracji totalnej, częściowo w wyniku celowego, zorganizowanego działania władzy wymierzonego przeciw starym systemom norm, częściowo zaś na skutek narzuconych społeczeństwu warunków życia.

Z a c o f a n i e

Następstwem działającego w Polsce systemu biurokracji totalnej jest także pogłębiające się *z a c o f a n i e*

kraju, w porównaniu z bardziej cywilizowanymi krajami świata. Zacołanie to obejmuje wszystkie najważniejsze płaszczyzny życia, poczynając od produkcji, poprzez organizację usług, po życie umysłowe i kulturę. (Pod niektórymi względami PRL tkwi jeszcze głęboko w dziewiętnastym wieku: w gospodarce dziewiętnastowiecznym przeżytkiem jest współczesne polskie rolnictwo, w sferze obyczajów i stosunków między ludźmi mamy wiele przeżytków feudalnych, żywych po dziś dzień).

Sięgijmy choćby po najnowszy rocznik statystyczny (dokument oficjalny, wydany w Warszawie) i spojrzmy na obraz życia w jaki układają się cyfry. (Nie biorąc nawet poprawek na fakt, że jest to statystyka niekompletna i nie budząca zaufania. Na przykład: uważny czytelnik dostrzeże w kolejnych wydaniach rocznika statystycznego daleko idące poprawki, korygujące dane z lat poprzednich, w niedwuznacznym celu bardziej optymistycznego przedstawienia rzeczywistości. W najnowszym wydaniu jedna z szeregu takich poprawek polega na obniżeniu wskaźnika spożycia masła w Polsce w latach 1957-59, dzięki czemu dane z lat sześćdziesiątych dowodzą wyraźnej poprawy. Gdyby opierać się na danych z poprzednich wydań okazałoby się, że spożycie masła wcale nie rośnie).

Obserwujemy w ostatnich latach w Polsce dość gwałtowny spadek urodzin, a jeszcze nie tak dawno Polska była krajem o rekordowym przyroście naturalnym. W zestawieniu z innymi wskaźnikami jest to objawem trudnych warunków życia, zastoju gospodarki i odzwierciedla pesymizm ludności, która przestała poważnie traktować gigantomanię kolejnych pięćdziesiątek i obietnic świetlanej przyszłości.

Na bardzo wysokim poziomie utrzymuje się wskaźnik zgonów niemowląt na 1.000 urodzonych dzieci. Wprawdzie w okresie 1963-1967 zmniejszył się z 48,9 do 38 ale, jak stwierdził jeden z czołowych demografów, „państwo cywilizowane zaczyna się od spadku wskaźnika śmiertelności niemowląt poniżej 20 na tysiąc”. W Anglii wy-

nosi on dziś 18, w Szwecji 12, w Czechosłowacji nieznacznie przekracza 20. Polska jest pod tym względem daleko w tyle za bardzo wieloma krajami, w tej samej grupie krajów zacofanych co Grecja, Bułgaria, Hiszpania. Trzeba też wziąć pod uwagę, że zmniejszenie się tego wskaźnika w ostatnich latach wynika nie tyle z poprawy ogólnych warunków, ile wiąże się ze znacznym spadkiem urodzin, dzięki któremu istniejące urządzenia opieki nad dzieckiem zostały bardzo wyraźnie odciążone.

Wymowną miarę zacofania kraju daje wskaźnik wydatków na żywność ujętych jako procent całości wydatków gospodarstw domowych. W latach 1960-1967 zanotowano tylko minimalny spadek tego negatywnego wskaźnika: z 53 % na 47 %. W społeczeństwach zaawansowanych wskaźnik ten mieści się w granicach 10 % - 25 %. Zarówno wysokość tego wskaźnika jak i uporczywe utrzymywanie się go na tak wysokim poziomie przez tyle lat jest symptomem głębokich schorzeń gospodarki.

O tym jak bardzo anachroniczna jest gospodarka dzisiejszej Polski świadczy wymownie ilość koni używanych jako siła robocza i siła pociągowa w całym kraju. Konie są mało wydajne i bardzo kosztowne w utrzymaniu, pożerają sporą część tego, co udaje się wyprodukować w gospodarstwie rolnym. W ostatnim okresie liczba koni wzrastała z roku na rok, zwiększając się z 2.620 tys. w 1963 r. do 2.643 tys. w 1967.

Przejawy zastoju, a nawet cofania się, można wyraźnie obserwować w gospodarce komunalnej. W wielu miastach, zwłaszcza małych, pozamykano różne urządzenia użyteczności publicznej, jak hotele, łaźnie, pralnie. Na przykład spośród 23 miast liczących powyżej 100 tys. mieszkańców w 1963 r. nie posiadało łaźni trzy — a w 1967 — pięć miast.

Uderza niski poziom budownictwa mieszkaniowego i wielka liczba bardzo starych domów. Porównanie liczby nowozbudowanych mieszkań z ilością przybywających izb mieszkalnych wskazuje wyraźnie, że wielkość izby stale

maleje. Ten niewesoły obraz uzupełniają dane dotyczące wsi, gdzie przeszło połowa wszystkich domów posiada tylko jedną izbę.

Jednym z dowodów zacofania i niskiego poziomu kultury technicznej są dane dotyczące motoryzacji. Już sama liczba zaledwie około 300 tys. samochodów różnego typu jest wymowna i wskazuje jak bardzo wyprzedziły Polskę pod tym względem inne, zaawansowane kraje. Niemniej charakterystyczna jest liczba obrazująca dostawy nowych samochodów na rynek, wynosząca zaledwie 20-25 tys. sztuk rocznie. Wynika z niej, że istniejący park samochodowy jest eksploatowany wielokrotnie dłużej niż w krajach zaawansowanych, że samochody muszą służyć po 15 i więcej lat (przy kiepskim stanie dróg) i że wobec tego na drogach spotyka się na ogół żałosne wraki. (Utrzymanie parku samochodowego, który znajduje się w tak rozpaczliwym stanie jest ogromnie kosztowne).

Oto zarysy obrazu jaki wyłania się z oficjalnych danych statystycznych, o których wiadomo z całą pewnością, że są niekompletne i których prawdziwość budzi uzasadnione zastrzeżenia.

Można łatwo wyodrębnić kilka zasadniczych czynników zacofania kraju:

- OGRANICZENIE ZDOLNOŚCI I MOŻLIWOŚCI TWÓRCZEGO DZIAŁANIA CZŁOWIEKA
- ZAWROTNY KOSZT UTRZYMANIA SYSTEMU BIUROKRACJI TOTALNEJ
- CHAOS, DEZORGANIZACJA, WYSOKI STOPIEŃ ZALEŻNOŚCI OD PRZYPADKU
- IZOLACJA OD ŚWIATA.

1. Mózgi na śmietniku

Na podstawie obserwacji wielu różnych środowisk i dziedzin życia w Polsce doszedłem do wniosku, że jednym

z zasadniczych następstw biurokracji totalnej w tym kraju jest zabijanie zdolności i możliwości twórczego działania człowieka. Jest to następstwo — dysfunkcja — o charakterze destruktywnym, w odniesieniu do wszelkich dziedzin życia w kraju, z wyjątkiem jednej: samego systemu biurokracji totalnej.

Spośród całego wachlarza niezbędnych warunków twórczego działania człowieka wystarczy, sędzę, dla celów tego opracowania wybrać tylko cztery. Tworzą one obiektyw uwypuklający niektóre istotne cechy systemu. Warunki te, to:

- koncentracja energii na celu twórczości
- dostęp do niezbędnych środków działania
- swoboda wyboru drogi
- prawdopodobieństwo uzyskania pożądanego ekwiwalentu.

Żaden z tych warunków nie może być spełniony, nawet w minimalnym stopniu, w systemie biurokracji totalnej.

Kliniki psychiatryczne i rynsztoki w okolicach knajp najniższej kategorii są dziś w Polsce najbardziej obiecującym terenem poszukiwania twórczych talentów. Nie jest to ani metafora ani stwierdzenie przesadzone. Mogłabym zestawić dość długą listę osobiście mi znanych ludzi, którzy albo stoczyli się na margines społeczny, albo coraz bardziej ku niemu grawitują, na skutek obiektywnej niemożności wyładowania swych sił twórczych.

W nowej powieści *Sołżenicyna* spotykamy uczonych, którzy w pełni mogą się skoncentrować na celu swego twórczego działania. W więzieniu. Na celu wyznaczonym ściśle przez rządzącą biurokrację. W Polsce współczesnej też nie marnuje się ani jeden erg energii twórców pracujących dla potrzeb policji i wojska. Ale nie wszyscy chcą i nie wszyscy mogą pracować w tej dziedzinie. Co się dzieje z pozostałymi?

Kto wybiera drogę twórcy-indywidualisty, pracującego samodzielnie i na własny rachunek (łudząc się, że w ten sposób zapewnia sobie maksimum swobody), ten albo rozpoczyna tym samym powolne samobójstwo albo, w najlepszym wypadku, zamyka się w celi klasztoru o najsurowszej regule. Klasztor — dla tych co pracują w dziedzinie nie wymagającej koniecznie oparcia o czynnik gospodarczy i organizacyjny, a więc dla artystów i myślicieli. Jeśli ktoś godzi się z perspektywą tworzenia do szuflady, akceptując wszystkie życiowe konsekwencje tej decyzji, ten na ogół może się bez większych przeszkód skoncentrować na swojej pracy. W pozostałych dziedzinach — w nauce, technice, tam gdzie twórczość wymaga coraz bardziej rozwiniętej bazy materialnej, indywidualista skazuje się na szybkie bankructwo, na klęskę finansową i na załamanie psychiczne. W pierwszym etapie swych prac może się wprowadzić swobodnie skupić na osiągnięciu celu, ale przychodzi moment, kiedy społeczna akceptacja tego co osiągnął jest niezbędna dla dalszej twórczości. Na tym etapie wyrasta przed nim mur obojętności. Częsty przypadek polega teraz na tym, że zaczyna się bicie głową o mur. Zazwyczaj pęka głowa.

W systemie biurokracji totalnej po prostu nie ma miejsca na działanie nie objęte aparatem biurokratycznym.

Wielu ludzi to rozumie i chcąc zapewnić sobie realniejszą możliwość działania podporządkowuje się temu aparatowi, staje się jego częścią. Padają teraz ofiarą innego złudzenia: że za cenę rezygnacji ze swobody będą mogli przynajmniej skupiać energię na urzeczywistnianiu niektórych celów. Na przykład na tworzeniu lepszych podręczników szkolnych, na budowaniu lepszych mieszkań, na lepszym organizowaniu pracy przemysłu, na sprawniejszym przewożeniu ludzi do pracy. Szybko jednak okazuje się, że tylko znikomą część energii mogą skupić na tych celach. Ogromna jej część spala się w jałowych działaniach usiłujących bezskutecznie pokonać biurokratyczny opór.

Spółród elementów biurokratycznego oporu warto wyróżnić dwa.

Jak pisałam poprzednio, każda forma zbiorowego działania w Polsce służy jednemu, zasadniczemu celowi: spełnianiu woli ulokowanych na szczycie piramidy biurokratycznej. Cały aparat władzy i cały system organizacji społecznej podporządkowany temu aparatowi służy umocnieniu i utrwaleniu ich pozycji.

Twórca ulokowany wewnątrz aparatu biurokratycznego pada ofiarą nieporozumienia; jego cele są inne niż cele rządzących. On chce rzeczywiście zrobić podręcznik umożliwiający lepsze i szybsze uczenie się, zaprojektować lepsze, wygodniejsze mieszkanie. Biurokratyczna agencja, która go zatrudnia, wydawnictwo czy biuro projektów — jest jednak przede wszystkim narzędziem sprawowania władzy, utrzymania jej i utrwalenia. Zawsze przesłanki wynikające z tego faktu górują nad przesłankami fachowymi.

W rezultacie twórca wewnątrz aparatu biurokratycznego jest skrępowany niezliczoną, absurdalną wręcz ilością ograniczeń i przepisów i znajduje się w sytuacji w której każda innowacja zależy od decyzji podejmowanych w górnych rejonach aparatu, często na samym jego szczycie. (Decydują zaś ludzie kompetentni w swoistej technice rządzenia, ale zupełnie niekompetentni w sprawach pisania podręczników czy projektowania mieszkań).

— Drugi element oporu biurokratycznego polega na immanentnym zrutynizowaniu biurokratycznego aparatu. Jest to zjawisko od dawna znane w socjologicznej teorii biurokracji, które w Polsce współczesnej występuje ze szczególną siłą.

Przedstawiłam na wstępie mechanizm przemieszczenia celów w organizacji biurokratycznej: scentralizowana organizacja biurokratyczna narzuca personelowi przepisy mające na celu zapewnienie niezbędnego konformizmu działania w odniesieniu do programu tej organizacji.

W toku działania biurokratów następuje u nich emocjonalne przesunięcie celów: wierność przepisom, skrupulatność w ich wykonywaniu, stopniowo przestają być *środkiem* do osiągnięcia celu organizacji, do wypełnienia jej oficjalnie sformułowanego programu, staje się natomiast *celem samym w sobie*. Otóż w ogromnej większości istniejących dziś na świecie organizacji przepisy są z natury rzeczy statyczne, zakładają kontynuowanie jakiegoś *status quo*. Przesunięcie celów jeszcze bardziej usztywnia organizację, prowadzi do jej zrutynizowania, ogranicza zdolność przystosowania się do zmian. Jeśli użyć terminu z dziedziny polityki, to można powiedzieć, że mechanizm przemieszczenia celów nadaje organizacji charakter *reakcyjny*.

Każda twórczość zawiera bowiem element innowacji, *zmiany*.

Obok oporu biurokratycznego występuje też z dużą siłą inny czynnik uniemożliwiający koncentrację energii na celach twórczości. Czynnikiem tym jest *opór ludzi* którzy się czują *zagrożeni konkurencją*. Sam fakt, że w tej samej dziedzinie, w tej samej instytucji pojawia się i wyrasta ktoś wybitny, odczuwany jest przez środowisko jako potencjalne niebezpieczeństwo. Żeby zrozumieć mechanizm tej reakcji, trzeba sobie uświadomić jakie procesy selekcji dokonują się przy przechodzeniu na wyższe szczeble hierarchii społecznej, w *każdej* dziedzinie. Decydują dwa kryteria — przydatność jednostki dla siedzących na szczycie biurokratycznej piramidy oraz stopień jej bezwzględności w dążeniu do celów. Talent, zdolności twórcze, pracowitość etc. mają niekiedy pewne znaczenie, ale nigdy nie decydują (jest jeden wyjątek — fizyka teoretyczna i matematyka, dziedziny hermetyczne i zupełnie izolowane od społeczeństwa. Choć bywa, że i tutaj odwołuje się sezon ochronny — *vide* afera Instytutu Badań Jądrowych).

Zagrożeni konkurencją są jak amerykańska policja — najpierw strzelają.

Pokonywanie oporu zagrożonych konkurencją pożera resztę energii twórczej, nie zużytej na walkę z oporem biurokratycznym.

Tak więc, poza systemem organizacji biurokratycznej skoncentrowanie energii na celu twórczego działania jest praktycznie niemożliwe. Zaś wewnątrz tego systemu też nie jest możliwe. W pierwszym przypadku przeszkodą jest monopol biurokratyczny. W drugim — współczesne c z y n o w n i c t w o w poprawionym, nadwiślańskim wydaniu.

Brak środków

W drugiej połowie dwudziestego wieku nie zmienia się świata przy pomocy pomysłowych przyrządów, zmajstrowanych w starym garażu, choć filmy *science-fiction* z uporem eksploatują ten wątek. W większości dziedzin objętych twórczym działaniem człowieka, postęp jest dziś uwarunkowany dostępem do wielkich środków materialnych. Nie tylko postęp w technice, ale i w bardzo wielu innych dziedzinach.

Jeszcze kilka dziesięcioleci temu jeden człowiek, wyposażony w tani mikroskop i kilka innych przyrządów z gimnazjalnego laboratorium, ołówek i wystarczającą ilość niezapisanego papieru, mógł dokonać w pojedynkę kompletnego przewrotu w jakiejś dziedzinie nauk, mógł nawet zmienić całą naszą koncepcję świata materialnego. Dziś ten etap należy do historii. Geniusz z ołówkiem i kartką papieru w ręku skazany jest na dreptanie po śladach mniej genialnych może, ale uzbrojonych w komputery badaczy.

Problemy współczesnej cywilizacji stały się tak skomplikowane, że można je rozwiązywać w sposób twórczy tylko w dużych zespołach ludzi, wyposażonych w niezmiernie kosztowne urządzenia.

Współczesna Polska ma wiele wspaniałych mózgów, które są praktycznie odcięte od nowoczesnego warsztatu pracy. Genialne koncepcje sprawdza się przy pomocy maszynek do liczenia na korbkę, jakie trudno dziś znaleźć nawet na pchlim targu w Paryżu.

Zejdźmy z Olimpu, zostawmy uczonych ich troskom i spójrzmy na prozaiczny dzień powszedni z perspektywy szarego człowieka. Uderzą nas zjawiska, które w głowie nie mogą się pomieścić człowiekowi już po kilku miesiącach pobytu na Zachodzie. Na każdym kroku brak najprostszych, elementarnych przedmiotów, jakie w krajach bardziej cywilizowanych walają się niemal na każdym rogu ulicy. Architekci podróżują z miasta do miasta, żeby zdobyć jakieś tam kalki, kartony, przyrządy kreślarskie; ba, całe agregaty w wielkich fabrykach zatrzymują się nagle z braku jakiejś prymitywnej części, której nie wyrabia się w kraju. (Często po kilku tygodniach okazuje się przypadkiem, że zapas takich części leży wśród rupieci przeznaczonych na złom w sąsiedniej fabryce). Cały kraj jest w wiecznej pogoni za jakimiś przedmiotami, których nigdy nie ma w dostatecznej ilości a jak się je zdobędzie, to się okazuje, że są tak kiepskie, że tylko z trudem można się nimi posługiwać.

Konsekwencje obiektywnego braku dostatecznej ilości odpowiednio skomplikowanych i porządnie wykonanych przedmiotów potęguje w olbrzymim stopniu absolutne zamieszanie, bezplanowość i przypadkowość w gospodarowaniu tym, co się uda wyprodukować czy sprowadzić z zagranicy. To co teraz napiszę nie jest anegdotą, lecz faktem który można łatwo sprawdzić przy okazji pobytu w Warszawie. W partyjnym instytucie kształcenia kadr kierowniczych zainstalowano przed kilku laty komputer, całkiem nowoczesny, z importu. W każdym innym kraju takie doskonałe narzędzie pracy oddaje się natychmiast w ręce specjalistów, którzy marzyli, by otrzymać wreszcie tę szansę rozwiązania swych problemów. Godzinę przestoju liczy się jako stratę sięgającą zawrot-

nych sum. Warszawski komputer miesiącami stał beczynnie aż wreszcie znudzony nieróbstwem personel zaczął się rozrywać, każąc mu komponować muzykę.

Twórcze działanie w każdej niemal dziedzinie w Polsce współczesnej jest paraliżowane przez brak dostępu do niezbędnych środków materialnych.

S w o b o d a w y b o r u d r o g i

Mózg człowieka jest zdolny do rzeczy niesłychanych, pod warunkiem, że może pracować swobodnie. Ceną jaką cały kraj płaci za nieustanne dążenia biurokracji totalnej do zdobycia kontroli nad świadomością społeczeństwa, a szczególnie nad świadomością jednostek twórczych, jest postępujący paraliż mózgów, wynikający z ograniczeń swobody myślenia.

Tylko nieliczne jednostki w Polsce mogą się cieszyć przywilejem swobody myślenia. Przymus konformizmu, w mniejszym lub większym stopniu, dotyczy niemal wszystkich i działa w sposób unicestwiający twórcze myślenie.

Ulubionym tematem w powieściach z dreszczykiem jest skończony łądak, wyzuty z wszelkich hamulców, a wyposażony w znakomicie działający mózg. Nic z tych rzeczy w Polsce. Człowiek zmuszony do ciągłego czuwania nad swym mózgiem (często podświadomie) by nie zaprowadził go na niebezpieczne manowce nonkonformizmu, podobny jest do kierowcy sportowego samochodu wciskającego do końca dźwignię gazu na pierwszym biegu; niszczy znakomite, precyzyjne narzędzie. Mózg pod presją autokontroli po pewnym czasie przestaje nadawać się do użytku.

Dlatego wszystkie dziedziny w Polsce, gdzie praca mózgu ludzkiego decyduje, są do tego stopnia zacofane i dlatego w przyszłości czeka nas jeszcze większa degrengolada.

Ekwiwalent

Całkowicie bezinteresowna twórcza działalność zdarza się częściej niż to sądzą cynicy, nie tylko w dziedzinie sztuki i nauki. Ale w skali społecznej, tam gdzie decydują wielkie liczby, istotny jest procent urzeczywistnienia potencjału twórczego. Tu działa m.in. pewna prawidłowość której nie można pominąć milczeniem — że stopień realizacji potencjału twórczego jest także funkcją społecznego zapotrzebowania, wyrażającego się ekwiwalentem ofiarowywanym twórcom.

Poza nielicznymi wyjątkami (artyści zdobywający powodzenie w świecie) ekwiwalent ten jest odwrotnie proporcjonalny do jakości i ilości twórczego wysiłku. Jeśli technik chce zabezpieczyć sobie byt, zaspokajając swe zróżnicowane potrzeby, podróżować etc. to zaangażowanie się w twórczą pracę, przedsięwzięcia nowatorskie, z zasady prowadzi go w odwrotnym kierunku. I przeciwnie — jeśli nastawi się na seryjną robotę, na powielaną sztamę, to przy niezbędnej dozie hochsztaplerstwa ma spore szanse powodzenia. Jeśli architekt jeździ porządnym samochodem i buduje sobie domek, to w 99 wypadkach na sto jest to partacz, odwalający robotę od metra. Nieskorumpowani geniusze klepią biedę.

Nad Polską od Tatr pod Bałtyk unosi się koszmarnie widmo wszechobecnej i wszechwładnej chałtury, rozwalonej na wszystkich piętrach: na katedrze uniwersyteckiej i w biurze projektów, w instytucie przemysłowym i krawieckiej spółdzielni pracy.

Z punktu widzenia statystyki ludzie robią to, za co im się płaci. W Polsce nie płaci się ani za dobre pomysły ani za dobrą robotę. Trzeba sporej siły charakteru by nie stać się w tym kraju chałturszczykiem. Liczba osobników obdarzonych takim charakterem kształtuje się w społeczeństwie według krzywej Gaussa: jest więc ich zawsze dość mało. Większość to średniacy pod każdym względem.

W jednej tylko dziedzinie Polska współczesna jest krajem, który z pewnością nieliczne tylko prześcignęły — w dziedzinie najbardziej wyszukanego, doprowadzonego do perfekcji hochsztaplerstwa. Bowiem hochsztapler jest we współczesnej Polsce jedyną postacią która może sobie pozwolić na maksymalne zaspokojenie potrzeb przy zachowaniu maksymalnej swobody i niezależności. Jest to przy tym postać która cieszy się niejaką sympatią społeczeństwa, trudno bowiem zaprzeczyć że hochsztapler jest sympatyczniejszy niż agent policji politycznej. Chociaż, niestety obie te rzeczy coraz częściej idą w parze.

K o s z t o w n a z a b a w a

Można sobie wyobrazić wielką ilość różnych sposobów produkowania gwoździ, przewożenia ludzi z miejsca na miejsce, albo zaopatrywania ich w ciastka. Można następnie zbadać stopień wydajności każdego z tych sposobów, to jest ocenić (lub obliczyć) jak wielki rezultat przynoszą wydatkowane środki w zależności od tego jaki system się stosuje. Jaka ilość wyprodukowanych gwoździ, przewiezionych pasażerów, skonsumowanych ciastek przypada na jednostkę pracy ludzkiej, zainwestowanej w każde z tych przedsięwzięć. (Trzeba też wziąć pod uwagę jakość gwoździ, stopień wygody pasażerów, smak ciastek).

Otóż Polska jest dziś z tego punktu widzenia jednym z najkosztowniejzych krajów świata. Każdy produkt ludzkiej działalności, w najszerszym pojęciu, wymaga tu nieporównanie większego nakładu pracy niż w krajach bardziej cywilizowanych. Społeczeństwo płaci tak zawrotną cenę za istnienie biurokracji totalnej, że brak już sił i środków które mogłyby zapewnić rozwój i postęp.

Oficjalne dokumenty z wszelkich zjazdów, plenów i innych konwentykli partyjnych dają wyraz prześladowanej władców obsesji zbyt niskiej wydajności, z której władze zdają sobie sprawę, lecz którą zwalczają środkami przy-

noszącymi z natury rzeczy skutek odwrotny od zamierzonego.

Minimalna wydajność, niesłychanie wygórowany koszt wszelkiego działania, wynikają z dążenia rządzących do zapewnienia sobie maksimum biurokratycznej kontroli. Taka kontrola jest jedynym naprawdę skutecznym środkiem utrzymania pełni władzy i niedopuszczenia do powstania konkurencji, ale jest jednocześnie kamieniem młyńskim uwiązany u szyi każdego przedsięwzięcia, czy to będzie produkcja obrabiarek czy zwalczanie chorób wenerycznych.

Zbyt daleko posunięta centralizacja oraz przesadnie drobiazgowo przepisy są najważniejszymi środkami zacieśniania biurokratycznej kontroli. Wywierają jednocześnie wpływ paraliżujący działanie organizacji i utrudniający przystosowanie się tej organizacji do zmian. Istnienie tej prawidłowości wykazały badania socjologiczne różnych organizacji na świecie.

Crozier, opisując stosunki w Paryskiej Agencji Obliczeniowej, zwraca uwagę na to, że bezosobowe przepisy określają tam w najdrobniejszych szczegółach różne funkcje i narzucają sprawującym je osobom określone zachowanie się w możliwie dużej liczbie ewentualnych przypadków. Zachowanie się wszystkich urzędników i niższych kierowników jest drobiazgowo przewidziane. Przewidziane są wszystkie operacje jakie mają wykonać i wskazany jest sposób wykonania tych operacji, jedyny „sposób operacyjny” do którego muszą się przystosować, wskazana jest także kolejność operacji. Niczego nie pozostawiono dowolności lub inicjatywie indywidualnej. Dość dokładnie można przewidzieć z góry codzienne zachowanie się każdego pracownika, jego szanse otrzymania innych zadań, jego status i przyszłość w organizacji.

W tych warunkach występowała alienacja, wyobcowanie członków personelu oraz utrwałała się ich słaba motywacja.

W innych badaniach zajęto się tym problemem bardziej szczegółowo. Aiken i Page zbadali zależność między alienacją a dwiema właściwościami i organizacji: centralizacją i formalizacją. Pojęcie alienacji, którym się posłużyli w tych badaniach, obejmowało alienację od pracy i alienację od stosunków, w których wyraża się uczucia. Alienacja od pracy odzwierciedla uczucie rozczarowania w związku z karierą i rozwojem zawodowym oraz rozczarowanie z powodu niezdolności do wypełnienia norm zawodowych. Alienacja od stosunków, w których wyraża się uczucia, odzwierciedla niezadowolenie ze stosunków społecznych z przełożonymi i towarzyszami pracy.

Formalizację pojęto w tych badaniach jako stopień standaryzacji pracy i liczbę dozwolonych odchyień od standardów.

Wyniki badań wskazują, że dużemu stopniowi formalizacji, szczegółowym przepisom i rygorystycznemu narzucaniu tych przepisów towarzyszyła wywołana przez nie alienacja. Autorzy badań powołują się na Grossa, stwierdzającego że duży nacisk na przepisy w organizacji wywołał u pracowników poczucie, że praca ich jest bezsensowna, i na Worthy'ego, który doszedł do wniosku że zwiększanie nacisków ze strony nadzoru dawało w wyniku zmniejszanie się morale robotników. Gouldner pisze, że przepisy biurokratyczne zmniejszają napięcie wywołane przez podporządkowanie i kontrolę ale jednocześnie utrwalają napięcia, które sprawiają że podporządkowanie i kontrola stają się niezbędne a w szczególności przyczyniają się do utrwalenia słabej motywacji.

Zajmując się skutkami nadmiernej, przesadnej, zbyt daleko posuniętej centralizacji, Blauner stwierdził, że w przemyśle tekstylnym i samochodowym, gdzie robotnicy mają znikomy wpływ na warunki pracy, występuje wśród załóg intensywne poczucie bezsilności i bezradności. Pearlin stwierdził występowanie większej alienacji wśród pielęgniarek w warunkach zbyt sztywnej struktury władzy. Aiken i Hage w wyniku swoich własnych badań do-

chodzą do wniosku, że centralizacja jest istotnym czynnikiem alienacji pracowników. Alienacja przejawia się wtedy, gdy członkowie personelu nie mają możliwości uczestniczenia w decyzjach dotyczących polityki własnej organizacji i w decyzjach dotyczących przydzielanych im zadań.

Centralizację uznano za ważny element opisanego błędnego koła dysfunkcji. W tym ujęciu ma ona następstwa, które ujemnie odbijają się na sprawności w osiągnięciu celów jak i na elastyczności organizacji w przystosowywaniu się do zmian.

Crozier stwierdza, że gdy centralizacja decyzji jest tak ustabilizowana, że stała się integralną częścią równowagi wewnętrznej organizacji, wówczas jest elementem biurokratycznego błędnego koła. Decyzje zapadają wtedy na tych szczeblach hierarchii, gdzie większą wagę przywiązuje się do stabilizacji wewnętrznego systemu „politycznego” organizacji niż do jej operacyjnych celów. Decyzje dotyczące przepisów, ich interpretacji, uzupełnienia i wydawania nowych przepisów, podejmowane są jak najdalej od komórek wykonawczych, od tego szczebla hierarchii, na którym będą wykonywane. (Jest to podyktowane dążeniem do zachowania bezosobowych stosunków w organizacji i w związku z tym do zabezpieczenia podejmującego decyzje od zbyt osobistych nacisków ze stron tych, których decyzje dotyczą).

W decyzjach tych odzwierciedla się więc priorytet wewnętrznych problemów organizacji nad problemami przystosowania się jej do środowiska. Problemy przystosowania wymagałyby decyzji na niższych szczeblach hierarchii, na których lepiej zna się ich specyfikę i ewolucję. Ci którzy decydują nie znają bowiem bezpośrednio problemów, które mają rozstrzygać, ci którzy pracują w terenie i problemy te znają nie mają niezbędnej władzy, aby przystosować decyzje do potrzeb i wprowadzić innowacje które stały się konieczne. (Dysfunkcje które wskutek tego wynikają nie mogą doprowadzić do reformy systemu bo, obok wprowadzania nowych przepisów, umacnianie

centralizacji jest jedynym środkiem działania dostępnym dla kierownictwa).

Blau dopatruje się związku centralizacji z rytualistycznymi postawami członków personelu. Wysoki stopień centralizacji władzy w organizacji prowadzi do dużej zależności urzędnika od przełożonych i powoduje brak poczucia bezpieczeństwa. Z poczucia braku bezpieczeństwa wynika przesadna skrupulatność w przestrzeganiu przepisów.

W systemie polskiej biurokracji totalnej centralizacja i skrępowanie drobiazgowymi przepisami doprowadzone są do szczytów, które dawno już przekroczyły granice absurdu.

Nie prowadzono systematycznych, socjologicznych badań tego zagadnienia w naszym kraju, ale praktyka codziennego życia wskazuje, że wyniki badań zagranicznych, m.in. przytoczone przed chwilą, dostarczają pojęć i schematów, które dobrze mogą służyć analizie polskiej rzeczywistości. Mechanizmy odkryte przez badaczy biurokracji w różnych krajach działają także i u nas i to działają z nieporównanie większą siłą, wyolbrzymione przez monopol biurokratyczny i podporządkowanie jednemu systemowi biurokratycznemu wszelkich możliwych dziedzin życia, czyli przez biurokrację totalną. *Biurokratyczna kontrola w nadwiślańskim wydaniu niesie z sobą skrajne osłabienie motywacji personelu — robotników w fabryce, urzędników w biurze; ociążałość systemu i wręcz zupełną niezdolność przystosowania się do nowych sytuacji i do konieczności wprowadzania zmian; oderwanie decyzji od potrzeb życia; rytualizację personelu.*

Koszty i straty wynikające z takiego systemu zarządzania są nieobliczalne. Obejmują — wśród wielu innych — koszt utrzymywania całych armii funkcjonariuszy zajętych zbędnymi biurokratycznymi czynnościami; straty wynikające ze zwolnionego, żółtwiego tempa reakcji; straty wynikające z błędów, które powodują decyzje podejmowane przez niefachowych aparatchyków.

Polska firma wykonywała roboty budowlane za granicą. Działający na miejscu, za granicą, kierownik budowy stwierdził, że na skutek jakiegoś błędu przysłano mu ogromne ilości cementu, którego nie będzie mógł wykorzystać na budowie. Skrępowany centralizacją decyzji i drobiazgowymi przepisami biurokratycznymi musiał zwrócić się o zezwolenie na sprzedaż cementu do Warszawy. Zwracał się wielokrotnie, odpowiedź nie nadchodziła. Tymczasem cement skamieniał. (Za „spowodowanie straty” dyrektora zdjęto ze stanowiska. Utrzymywanie systemu w równowadze wymaga, by zawsze był jakiś winny. Oczywiście, przy tak wielkim stopniu centralizacji wina najczęściej spoczywa na ludziach z bardzo wysokich szczebli hierarchii, bo to o n i o wszystkim decydują. Karze się jednak i piętnuje wykonawców z niższych szczebli, co zarazem ma wybielić tych naprawdę odpowiedzialnych i wzmocnić dyscyplinę w szeregach).

Całe nasze życie składa się z serii takich wydarzeń, jak ta historia z eksportowym cementem.

Władze jednak z żelazną konsekwencją trzymają się zasady maksymalnej centralizacji decyzji w każdej dziedzinie i skrępowania wszelkich przejawów życia maksymalną kontrolą biurokratycznych przepisów. *Żadna cena nie jest zbyt wygórowana jeśli tylko może zapewnić, że pełnia władzy ani na chwilę nie wysliznie się z rąk rządzącej grupy.*

C h a o s

Szttywność i ociążałość mechanizmu biurokratycznego, permanentny kryzys gospodarczy, dwoistość postaw ludzi, w połączeniu z migracją mas ludności do miast i wyłaniającymi się z niej problemami, pogrążają kraj w chaosie, sprawiają że dezorganizacja życia jest zjawiskiem normalnym.

Na czym polega ten chaos? Na braku koordynacji ludzkich wysiłków; na tym że nie zostają spełnione oczekiwania jednostek wobec siebie i oczekiwania jednostek i grup ludzi wobec instytucji; na niedostosowaniu podaży do popytu — we wszelkich dziedzinach.

Klasycznym, najbardziej może rzucającym się w oczy, najczęściej przytaczanym przykładem chaosu (szczególnie dotkliwie dającego się we znaki w codziennym życiu) jest rynek. W systemie biurokracji totalnej istnieje tylko bardzo niewiele mechanizmów automatycznie zaspokajających ludzkie potrzeby, samoczynnie dostosowujących podaż do popytu, przy czym działają one na peryferiach życia. Jest to sfera działania niektórych ogniw inicjatywy prywatnej. Na przykład, kiedy dość szybko rozprzestrzenia się moda hodowania kotów syjamskich albo złotych rybek, tak jak to się działo w ostatnich latach, zawsze znajdują się prywatni dostawcy którzy wykorzystują koniunkturę i potrafią zrównoważyć podaż z popytem, wydobywając koty syjamskie i złote rybki choćby spod ziemi.

Tam jednak gdzie kończą się takie peryferie, zaczyna się sfera ściśle kontrolowana przez biurokrację, gdzie działać może tylko to, co zostało uruchomione przez biurokrację. Potrzeba stwarza popyt. Ale popyt na nowe maszyny do pisania, których dostarczyć może tylko panująca biurokracja — jest czystą abstrakcją dopóki nie zostanie u r z ę d o w o stwierdzony. Stwierdzenie występowania jakiejś potrzeby, określenie zakresu i sposobu jej zaspokojenia, zdecydowanie o wysokości ceny za towar lub usługę, określenie kto będzie mógł z nich korzystać są aktami administracyjnymi, stanowiącymi część procesu sprawowania władzy.

Jeśli sądzić na podstawie wyników, taka metoda zaspokajania potrzeb poprzez administrowanie rynkiem prowadzi do chaosu graniczącego z absolutem.

Brak dostatecznej liczby towarów i usług, wieczne nienadążanie podaży za popytem jest tylko jednym z czyn-

ników sytuacji na rynku. Drugi czynnik to dezorganizacja, potęgująca stopień niezaspokojenia potrzeb i zwiększająca społeczny koszt ich zaspokajania.

Towary trafiają nie tam, gdzie się ich oczekuje i gdzie są najbardziej potrzebne. Książki które w większych miastach znikają z księgarni spod ludy, zanim zdążą trafić na okna wystawowe, przekazane przez ekspedientów bezpośrednio do rąk zaprzyjaźnionych, wtajemniczonych klientów, leżą miesiącami i latami na półkach wiejskich sklepików. Narzędzia rolnicze których nie można dostać na wsi, zalegają magazyny sklepów w centrum wielkiego miasta.

Kiedy się szuka jakiegoś towaru lub usługi, okazuje się z zasady, że przyszło się za późno lub za wcześnie. Podręczniki szkolne można skompletować dopiero grubo po rozpoczęciu roku szkolnego, czasem dopiero w zimie. Zimowe płaszcze i swetry najłatwiej kupić latem, letnie buty i kostiumy kąpielowe — jesienią.

Cały system zaspokajania potrzeb jest krańcowo sztywny i nieruchawy. Kolejne pory roku, wraz z wynikającymi z nich nowymi potrzebami i sytuacjami, powtarzające się w tym kraju z niezmienną monotonią od setek i tysięcy lat, wywołują zamieszanie i rozprzężenie, nad którymi niesposób zapanować. Po „zimie stulecia” nadchodzi „lato stulecia”, potem kolejna zima — trochę łagodniejsza ale też wywracająca wszystko do góry nogami, potem lato — chłodniejsze, ale niemal tak samo brzemienne w kłopoty. W czasie „zimy stulecia” wielkie huty omal nie stanęły z braku węgla. Zapasy zgromadzone w hucie szybko się zaczęły wyczerpywać, pociągi z węglem zamarzały po drodze — tj. węgiel na odkrytych wagonach tworzył jednolitą, spójną masę, nie nadającą się do rozładowania. Trzeba je było rozmrażać w wielkich, sztucznie ogrzewanych halach — żeby było szybciej, podnoszono temperaturę do takiej wysokości, że drewniane burty wagonów stawały w płomieniach. Za bramą czekali strażacy i gasili płonące wagony sikawkami, po czym moż-

na już było łatwo posyłać węgiel do wielkich pieców. Prasa, szczegółowo referując te kompromitujące perypetie, dowodzące zupełnego braku elementarnej organizacji i rozsądnego porządku, z triumfem obwieszczała że „plan został uratowany” i podnosiła bohaterstwo robotników, nie schodzących z posterunku po 60 godzin. Oczywiście, robotnicy byli godni podziwu, ale co z szefami? Z ludźmi którzy dopuścili do takiego stopnia dezorganizacji, że mróz utrzymujący się przez parę tygodni dłużej niż zazwyczaj zagroził zatrzymaniem wielkich pieców i miliardowymi stratami?

W lecie brak napojów chłodzących. Lodu nie ma na lekarstwo. W dolnośląskich uzdrowiskach spływają do potoków miliony hektolitrów wód mineralnych, nie dlatego że nie ma ich kto pić, ale dlatego że brak butelek. Jednocześnie w każdym mieście istnieją liczne punkty skupu butelek i każdy przechodzień może sobie obejrzeć hałdy szkła, nagromadzone tam od niepamiętnych czasów i czekające nie wiadomo na co.

Jest wiele lekarstw dostarczanych tylko do niektórych aptek. Lekarz przepisując lekarstwo często nie wie czy w ogóle jest ono w tej chwili osiągalne na rynku i oczywiście nie ma pojęcia w jakich aptekach. Żeby zdobyć przepisane lekarstwo trzeba często oblecieć dziesięć, piętnaście aptek, tracąc na to dwa dni.

Ta sama ulica bywa rozkopywana trzy razy w ciągu jednego tygodnia: najpierw przez brygadę od gazu, potem przez przedsiębiorstwo budowlane, potem przez elektryków. Często robotnicy którzy położyli ostatnią płytę nowego chodnika odpalają papierosy od robotników, którzy właśnie przyszli, żeby zdjąć ten chodnik i zmienić ukryty w ziemi kabel.

Niezbędnym elementem podejmowania decyzji administracyjnych jest i n f o r m a c j a. Przepływ informacji przez kolejne szczeble biurokratycznej hierarchii oraz poziomo — przez granice poszczególnych, wyspecjalizowanych sektorów biurokratycznych, jest tak powolny i skom-

plikowany, tak wiele informacji ulega po drodze zniekształceniu, że w ostatecznym rachunku nikt nic na pewno nie wie o bieżącej sytuacji. Decyzje jakie się podejmuje są więc w wielkim stopniu dowolne a następstwa tych decyzji powiększają ogólny chaos.

Przed kilku laty władze doszły do wniosku, na podstawie dokonanych szacunków, że pogłowie cieląt jest tak duże, że za pół roku można oczekiwać takiej to a takiej ilości mięsa na rynku. Na tej podstawie podjęto szereg decyzji. Po pół roku okazało się że szacunek był całkowicie błędny, mięsa brakło a podjęte tymczasem decyzje jeszcze ten brak zaostrzały.

Na skutek administracyjnych decyzji rozwijano produkcję radiodbiorników do ilości wielokrotnie przekraczających popyt. Teraz, od paru lat, dziesiątki tysięcy aparatów, w których utopiono część dochodu narodowego, poniewierają się po magazynach, a ponieważ oczywiście kraj cierpi także na brak „powierzchni magazynowej” więc często przechowuje się je w takich warunkach, że już po kilku miesiącach nadają się do wyrzucenia.

Ogromne bogactwa, stanowiące wielką część dochodu narodowego przeznaczaną na inwestycje, w nieudolnych i nieodpowiedzialnych rękach partyjnych administratorów działających w dysfunkcyjnym systemie, przekształcają się w kulę u nogi krajowej gospodarki, zamiast przynosić w odpowiednim czasie dochody; pozostają zamrożone bezproduktywnie na długie lata a nawet dziesięciolecia. W otchłani marnotrawstwa toną miliardy. Spora część inwestycji prowadzi w efekcie do produkcji rzeczy „niezbywalnych”, dla których nie ma zastosowania w gospodarce, które nie znajdują nabywcę na rynku.

Inwestycje od 1960 roku wzrosły o około 100 procent. Co z tego wynikło? Przyrost produkcji materiałów budowlanych wyniósł, na przykład w bieżącej pięciolatce zaledwie 0,9 procenta, w ubiegłej — 0,7 procenta. Plan wykończenia inwestycji wykonano zaledwie w 70 procen-

tach. Przekroczenie cykli inwestycyjnych wyniosły: w zakresie inwestycji centralnych — 25 procent, tak zwanych priorytetowych (szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej) — 44 procent, w terenowych radach narodowych (m.in. szpitale, szkoły) — 40 procent. W przekładzie na potoczny język znaczy to, że nową fabrykę, elektrownię, szkołę, buduje się nie dwa lata, jak planowano, lecz trzy i więcej. (W skrajnych wypadkach i sześć lat, zamiast dwu).

W inwestycjach i w całej gospodarce panuje chaos n i e w y o b r a ż a l n y, nikt nic naprawdę nie wie, a jeśli się dowiaduje, to po niewczasie. Bilanse z zasady nie odpowiadają rzeczywistości; zupełnie zacofane techniki obliczeniowe w połączeniu z balastem formalności biurokratycznych sprawiają, że stało się rzeczą niemożliwą zebranie w porę dostatecznie dokładnych informacji na temat najważniejszych zjawisk w gospodarce oraz opracowanie tych danych zanim jeszcze staną się historią.

Niezapomniany Lejzorek Rojtszwaniec wyhodował miliony królików z jednej jedynej przydzielonej przez władze pary. Cała hodowla kwitła w szafie z kartotekami i aktami biurowymi i wyłącznie na papierze. Z pewnego punktu widzenia cała PRL jest swojego rodzaju hodowlą królików metodą Lejzorka Rojtszwańca.

Wystarczy pojechać do któregośkolwiek miasta wybranego z zamkniętymi oczyma na mapie kraju, stanąć na rynku, znowu zamknąć oczy, obrócić się kilka razy w kółko, otworzyć oczy i przejść sto metrów przed siebie, żeby odkryć nieprzebrane, niewyczerpane, surrealistyczne pokłady chaosu. Palec trafił w okolice Kołobrzega. Proszę bardzo — jedziemy. Trafiamy do państwowego przedsiębiorstwa połowów morskich. W przeciętnych warunkach kutry tego przedsiębiorstwa mogły złowić co najmniej 50 ton ryb na dobę. W warunkach sprzyjających, przy dobrej pogodzie i obfitości ryby, jakie wystąpiły owego lata na Bałtyku, zdolność połowowa wzrasta do 70 ton ryby na dobę. Takie są m o ż l i w o ś c i.

Tymczasem rzeczywiście uzyskiwane połowy wynosiły w tym sezonie maksimum 30 ton ryby na dobę. Przedsiębiorstwo w sztuczny sposób zaniżało swoją wydajność. W normalnych warunkach mniejsze kutry wychodziły w morze co najmniej na dwa-cztery dni, większe — na siedem-dziesięć dni. W tym sezonie wysyłało się kutry o świcie i kazało im się po południu wracać do bazy. W sezonie dorszowym dyrekcja nie pozwalała rybakom łowić dorsza, żądając śledzi. Zdarzało się, że kutry wracające z morza z ładunkiem dorsza przed wejściem do portu wrzucały cały ten połów do morza. (Praca rybaków była wtedy cięższa niż zazwyczaj, w związku z koniecznością codziennego wracania do portu, zarobki o wiele mniejsze, proporcjonalnie do zmniejszonych połowów. Niezadowolenie duże).

D l a c z e g o — na miłość Boską — wrzuca się złowione ryby z powrotem do morza? Czy dyrekcję objęli dezenterzy z zakładu psychiatrycznego? Co to ma wspólnego z ustrojem? Co to w o g ó ł e ma znaczyć?

Odpowiedź brzmi: tak, wrzucanie złowionych ryb do morza w Kołobrzegu jest bezpośrednim następstwem opanowania kraju przez biurokrację totalną. Wynika ze spowodowanego przez biurokrację totalną o g ó ł n e g o c h a o s u, jest prawidłowością logicznie uzasadnioną przez istniejący system.

To co działo się w państwowym przedsiębiorstwie połowowym w Kołobrzegu było (i zapewne jest nadal) następstwem prowadzonej przez szereg lat, a zadekretowanej na szczeblu centralnym, w Warszawie, polityki polegającej na inwestowaniu w sprzęt połowowy, zwiększaniu zdolności połowowej przy jednoczesnym n i e d o i n w e s t o w a n i u przetwórstwa i transportu ryby. Doszło do tego, że możliwości przetwarzania ryb na miejscu były już niedostateczne a także brak było odpowiedniego transportu do przewiezienia ryb na rynki w głębi kraju.

Osobne, wydzielone, przedsiębiorstwo państwowe zajmowało się w Kołobrzegu transportem ryby w głąb kraju, w samochodach-chłodniach. (Świeżej ryby nie można przewozić wolno kursującymi w Polsce kolejami, zepsułyby się przed dotarciem do klienta, a wagonów-chłodni brak). Przedsiębiorstwo to dysponuje siedmioma samochodami-chłodniami. Z zasady kilka z nich, a czasem wszystkie na raz, mają przestoje spowodowane awariami i przez kilka dni z rzędu są w remoncie (brak części zamiennych!). Poza tym, pod koniec miesiąca zdarza się często, że s p r a w n e samochody stoją bezczynnie przez kilka dni, bo przedsiębiorstwo wyczerpało fundusz płacy przeznaczony na ten miesiąc dla kierowców i nie ma im już z czego płacić.

Dyrektor przedsiębiorstwa połowowego w Kołobrzegu, wraz z sekretarzem ekonomicznym Komitetu Powiatowego PZPR wybrali się w podróż po Polsce, w poszukiwaniu zamówień na swoje ryby. Wyszły z tego nici, przywieźli tylko trochę zamówień na śledzia. Przedsiębiorstwa handlowe w kraju nie mają wprawdzie dostatecznej ilości ryb i b y n a j m n i e j nie zaspokajają zapotrzebowania klientów na ryby, uchylają się jednak od podpisania umowy na dostawę określonej ilości ryb przez dłuższy okres: ani personel ani dyrekcja nie są w dostatecznym stopniu zainteresowani ekonomicznie takim zwiększeniem obrotów, a nie chcą się obarczać dodatkowymi kłopotami i ryzykiem odpowiedzialności za zamykanie łatwo psującego się towaru.

Tymczasem ryba, świeża ryba, jest w polskim sklepie rzadkością. Cena mrożonych filetów z dorsza wynosi c o n a j m n i e j 30 złotych za kilogram, w Katowicach, w Częstochowie, w Krakowie ludzie ustawiają się w długich kolejkach po ten towar. Po ostatnich podwyżkach cen mięsa budżety, zwłaszcza budżety rodzin robotniczych, są bardzo napięte i coraz więcej klientów szuka na rynku możliwie najtańszych kalorii i najtańszego a jednak pełnowartościowego białka. Świeża, tania ryba mor-

ska mogłaby być właśnie takim masowo kupowanym towarem. Nie dociera jednak do sklepów.

Kierownik działu połowowego kołobrzeskiego przedsiębiorstwa oświadczył, że przedsiębiorstwu opłacałoby się sprzedawać złowionego dorsza nawet po cztery złote za kilo!

Przez szereg lat wydawano w Polsce dużo pieniędzy aby nauczyć obywateli, by jedli ryby. Początkowo naród przyjmował to bez entuzjazmu, krążyło głupawe powiedzonko „jedzcie dorsze — gówno gorsze”. Obecnie, kiedy wreszcie ludzie się przyzwyczaili do jedzenia dorszy i kiedy budżety rodzinne zmuszają do szukania tego taniego lecz pełnowartościowego pożywienia, dorsze złowione w Kołobrzegu wrzuca się z powrotem do morza.

Sytuacja w Kołobrzegu nie jest wyjątkowa, przeciwnie, jest to sytuacja typowa dla całego polskiego rybołówstwa morskiego. Zachwianie proporcji w inwestycjach doprowadziło do sytuacji kryzysowej. Słynne statki-bazy dla rybołówstwa dalekomorskiego, zbudowane ogromnym kosztem przy entuzjastycznych fanfarach propagandy, stały beczynninie w portach.

Nie należy sądzić, że sytuacja w rybołówstwie morskim jest jakimś szczególnym wyjątkiem. Jest to stereotypowy wzór chaosu, odtwarzany z małymi tylko wariantami, we wszelkich innych dziedzinach. Czasem odnosi się wrażenie, że wszystko dzieje się w tym kraju jak w specjalnie nieprzyjemnym rodzaju snów: kiedy koniecznie chcemy wykonać jakąś bardzo dla nas ważną czynność i okazuje się to zupełnie niemożliwe; uciekamy przed czymś i nogi stają się jak z waty, mimo tytanicznych wysiłków stoimy w miejscu, albo chcemy strzelić do napastnika i nagle widzimy, że pistolet jest wycięty z tektury.

I z o l a c j a

Potężnym czynnikiem zacofania kraju jest izolacja od świata. Dla większości obywateli, tych którzy nie wyjeź-

dżają nigdy z kraju, za granica jest zupełną abstrakcją. Świat realny, który się naprawdę liczy, który może mieć wpływ na moje życie, który daje miarę moich możliwości życiowych, aspiracji i sukcesów, kończy się na krawędzi sopockiego mołu i urywa się za ostatnim smrekiem przed słowacką stroną w Tatrach. Cała reszta jest jak z Marsa, w większym lub mniejszym stopniu.

Po pierwsze: ludzie nie rozumieją świata na zewnątrz, poza krajem. Nie rozumieją ani poszczególnych krajów, ani większych całości, jak Europa, tzw. kraje obozu socjalistycznego itd. Mają w głowach najfantastyczniejsze zlepki przypadkowych informacji, jakichś strzępków i odpadków, z których większość składa się z makulatury spreparowanej przez oficjalną propagandę.

Po drugie: nie interesują się tym światem. To znaczy — ich zainteresowanie niesłuchanie rzadko wybiega poza egzotyczne ciekawostki, takie jak gołe biusty kelnerek w niektórych amerykańskich restauracjach, szczegóły konstrukcyjne samochodów wyścigowych albo technika podróżowania na Księżyc.

Brak zrozumienia i brak zainteresowania są zupełnie naturalne, jeśli zważyć jak znikomy jest związek (dostrzegalny dla przeciętnego obywatela) między tym co dzieje się z życiem codziennym i z całą biografią współczesnego Polaka a tym co dzieje się za granicą. (Tym też w dużej mierze tłumaczy się bierność i obojętność wobec interwencji i wobec całokształtu wydarzeń w Czechosłowacji; na wiadomości z Pragi większość reagowała zupełnie tak samo jak na depesze z Wietnamu czy na sprawozdania o zamieszkach rasowych w Chicago. „Owszem, to może nawet i niesłuchanie ciekawe, ale co wspólnego może to mieć z moim życiem?”).

Anglik pasjonujący się wspólnym rynkiem ma w głowie konkretny obraz: jeśli nas wpuszczą, to będę mógł zabrać na wakacje nie 50 funtów, tylko tyle, ile mi się będzie podobało, albo: będzie mnie stać na to by jeździć nie do Hiszpanii lecz na Lazurowe Wybrzeże, albo:

wreszcie będę mógł dostać pożyczkę na nowy dom, której mi już dwa razy odmówiono. Dla Polaka, dla czytelnika polskich gazet, wspólny rynek, czy Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej to najzupełniej oderwane od jego życia tematy, będące ulubionym przedmiotem rozważań w gazetach, radio i telewizji, przy czym rozważania są w równym stopniu mętne jak i nie budzące zaufania.

Z jednej strony mamy więc do czynienia z wykształconym w ciągu całych dziesięcioleci brakiem poczucia przynależności do szerszej międzynarodowej wspólnoty, z drugiej — z krańcowo prowincjonalną, zaściankową mentalnością ze wszystkimi jej atrybutami i następstwami. „Niech na całym świecie wojna — byle polska wieś spokojna” i „Polska medycyna w czołówce nauki światowej” (to drugie to cytaty z transparentu na 1 maja 1969). „Jak można jeść ślimaki!!?” i „Amerykańska socjologia utonęła w kretynizmie matematycznym”. „My, Polacy, mamy wyjątkowy talent do języków” i „Francuzi nie lubią się myć”.

Ksenofobia i megalomania, ignorancja i ślepotą, zapatrzenie we własny pępek i zanik poczucia proporcji. (Ale jednocześnie: kompleks niższości i stany emocjonalne jak ze stacji Chandra Unyńska).

Powie ktoś: przecież w y j e ż d z a j ą, całymi tysiącami! No tak, wyjeżdżają — ale p o c o ? Studiować zagadnienia ekonomiczne, społeczne i polityczne? Przenosić doświadczenia? Czerpać? Rozumieć?

99 procent wyjeżdżających ma określony cel i na nim się koncentruje: dokonać korzystnych transakcji spirytusowo-kawiorowo-sweterkowych, opłacić w ten sposób koszty wyjazdu, zarobić ponadto tyle ile nie daje kilkumiesięczna ciężka praca w kraju, obsprawić się w ciuchy i tranzystory, by po powrocie pójść w górę na skali prestiżu i mieć bogatsze i przynoszące więcej satysfakcji życie towarzyskie i uczuciowe. Kto wyjeżdża w innym celu — ten na ogół prędzej czy później zostaje i już nie wraca.

Nie ma — bo pod panowaniem biurokracji totalnej być nie może — styczności ze światem zewnętrznym, z za granicą, polegającej na dążeniu do obiektywnego poznania i zrozumienia tego świata, na porównaniu go ze swoim krajem i na wyciąganiu praktycznych wniosków w urządzaniu swojego kraju i swojego życia — na podstawie tej nowej wiedzy. Odpada więc potężny czynnik zmiany. Zostaje zacofanie, uporczywe, tępe, ponure.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
I. BIUROKRACJA TOTALNA	19
II. NIEKTÓRE WARUNKI POWSTANIA I UTRZYMANIA SIĘ BIUROKRACJI TO- TALNEJ	61
III. NIEKTÓRE NASTĘPSTWA BIUROKRACJI TOTALNEJ	97

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL 1984 (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)

26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐILAS *Nova klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raję* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wiodrodzennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński* Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Wyd. 3-cie) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Kraszińskiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Skrzydła otarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ho-
dziackiej*

59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg Rewolucja Rosyjska (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej (wyczerpane)*
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie (Seria „Dokumenty”, Ze-*
szyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczесkie Powieści (wyczerpane)*
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza (Poezje) (wyczerpane)*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze (wyczerpane)*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi (wyczerpane)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosza do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi) (wyczer-*
pane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem (wyczerpane)*
83. Jerzy MOND *6 lat temu... (Kulisy Polskiego Październi-*
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)
(wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLIICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”,*
Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC *Lubimow (wyczerpane)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej*
literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Drugie przyjsście oraz inne opowiadania i*
szkice

94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*
95. . *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócen*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje) (wyczerpane)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami (Poezje) (wyczerpane)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia (wyczerpane)*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)*
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewulucjonizm (wyczerpane)*
107. Abram TERC *Mysli niespodziewane (wyczerpane)*
108. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-my)*
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat (wyczerpane)*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos (wyczerpane)*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany (Poezje) (wyczerpane)*
117. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)*
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)*
125. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)*
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*

127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni*
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?*
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIĄZEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry* (Wyczerpane)
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ .. *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-ty).
158. Alicja IWAŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*

160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi).
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI. *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEK .. *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen mara* (Poezje)
172. — *Polskie Przedwiośnie. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27-my)
173. Józef MACKIEWICZ .. *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść)
174. Andrzej BUSZA *Znaki wodne* (Poezje)
175. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Upiory rewolucji*
176. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty)
177. Czesław MIŁOSZ *Widzenia nad zatoką San Francisco*
178. Czesław MIŁOSZ *Miasto bez imienia* (Poezje)

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 10 OCTOBRE 1969
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1969

Dan
W. Sachniewski

Cena 18,50 F (dol. 4,00)